



KAY GREGORY



Rysy na lodzie

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Stopy. Wielkie męskie stopy w zabłoconych ciężkich butach. Wystawały spod kanapy. Nie poruszały się. Sara zamknęła oczy i otworzyła je. Stopy nie zniknęły. Jednak to złudzenie, pomyślała.

Rano, kiedy wychodziła do pracy, z pewnością ich tam nie było. Podeszła bliżej: spod kanapy wystawały nie tylko buty. Brązowe, wełniane skarpetki i sztruksowe spodnie opinały długie, szczupłe nogi o solidnych kostkach i mocnych udach. Jedna noga była lekko zgięta w kolanie, druga, wyprostowana, zajmowała prawie pół pokoju. Gdy Sara, zaskoczona tak niespodziewanym widokiem, podniosła wzrok, na tle jasnoszarego obicia kanapy ujrzała jeszcze opięte beżowym sztruksem wąskie biodra nieznanego.

Było na co popatrzeć. Przełknęła ślinę i przyglądała mały kosmyk włosów za uchem. Odetchnęła głęboko. Czy przypadkiem nie zwariowała? Jak jej nie wstyd? Znalazła w domu zwłoki nieznanego mężczyzny i zamiast wpaść w popłoch, co byłoby w tej sytuacji naturalne, wpatruje się w nie z dziwną przyjemnością. Jak jakaś niezrównoważona nastolatka o skłonnościach nekrofilskich.

Wstrzymując oddech wyciągnęła rękę i nieśmiało dotknęła palcem najbliższej nogi. Noga poruszyła się. Na miłość boską! Sara skoczyła jak oparzona. Ciało, które leżało na dywanie tuż przed nią, nie było martwe! Należało się tego domyślić od razu. Kurczowo zacisnęła palce na poręczy krzesła stojącego przy kanapie.

- Ty mały, włochaty diable - usłyszała stłumiony męski głos, który dobiegał gdzieś z dołu - niech tylko dostanę cię w swoje ręce. Na zawsze minie ci ochota na takie zabawy. Mam już tego absolutnie dość!

- Nie wiem, czego pan ma dość - oświadczyła Sara najspokojniej jak umiała - ale ja na pewno mam dość obecności pana w moim domu. Kimkolwiek pan jest.

Mężczyzna powoli gramolił się spod kanapy.

- Nie jestem specjalnie włochata, rozumiem więc, że tych słów nie

kieruje pan pod moim adresem. Zaszło jakieś nieporozumienie - dodała stanowczo. - Tak czy inaczej, mam nadzieję, że nie dostanie mnie pan w swoje ręce, panie...

Urwała. Górna połowa ciała nieznajomego nie ustępowała atrakcyjnością dolnej. Mogła się już o tym przekonać na własne oczy. Przez jedną szaloną chwilę w głowie Sary zaświtała obłąkańcza myśl, że nie miałyby nic przeciwko temu, gdyby stało się inaczej. I gdyby te długie mocne ramiona opłotły ją całą...

Intruz był wysoki i przystojny. Silną męską twarz okalały ciemne włosy o lekko rudawym odcieniu. A może to tylko wrześnie, zachodzące słońce dodawało im niezwykłego blasku? Sara zastanawiała się nad tym, patrząc na niego w milczeniu. Gdy zrobił krok w jej stronę, spostrzegła ogniki w złocistych oczach o ciemnej oprawie. Patrzył na nią łagodnie, a zarazem jakby z najwyższym podziwem. Zaskoczyło ją to i zirytowało. Miała na sobie brązowy tweedowy kostium. Włożyła go specjalnie po to, żeby wyglądać jak najskromniej, żeby nie rzucić się w oczy. Na twarzy mężczyzny pojawił się tymczasem szeroki uśmiech.

- Bardzo żałuję - odpowiedział łagodnie. Sara poczuła, że coś ściska ją w dołku.

- Czego pan żałuje? - przyjrzała mu się podejrzliwie.

- Tego, że nie ma pani ochoty dostać się w moje ręce...

Nie dokończył zdania.

- Panie... panie Nieznajomy - odparła Sara, oblewając się gwałtownym rumieńcem. - Powiedziałam już, że to mój dom. I że byłabym zobowiązana, gdyby go pan natychmiast opuścił.

- Nazywam się Jackson - przedstawił się krótko.

- Brett Jackson. I bardzo przepraszam za najście, pani...

- Malone - burknęła Sara. - Do widzenia panu, panie Jackson - dodała bez uśmiechu i nie wiadomo dlaczego wyciągnęła rękę na pożegnanie.

- Naprawdę bardzo mi przykro - powiedział, uściskawszy jej dłoń i wyglądało na to, że mówi szczerze. Minę miał poważną. Tylko śmiejące się oczy nie pozwalały tego, co mówił, traktować zupełnie

serio.

Sara wyrwała rękę.

- Przeprosiny przyjęte - odparła po chwili wahania.

- A teraz proszę już sobie iść, panie Jackson.

- Nie pozwoli mi pani niczego wytłumaczyć?

- O, nie. Z pewnością nie.

Była oczywiście ciekawa, dlaczego zjawił się u niej, ale wolała, żeby jak najszybciej zniknął jej z oczu. Czuła, że w jego obecności traci pewność siebie. Z wyjątkiem ojca i hydraulika, żaden mężczyzna od bardzo dawna tu nie gościł.

Intruz oparł się o ścianę i skrzyżował ręce na piersi.

- A jednak jestem winien pani kilka słów wyjaśnienia. Czy pani ma na to ochotę, czy nie - powiedział z prostotą. - Zwłaszcza że będziemy sąsiadami.

- Sąsiadami? - zdumiała się Sara. Pokiwał głową.

- Tak jest, sąsiadami - powtórzył. - Niedawno kupiłem dom obok pani.

- Pan... pan - jąkała się - pan ma na myśli dom starych państwa Francellich? Ale przecież sprzedano go jakiemuś samotnemu mężczyźnie, komuś prowadzącemu klinikę dla zwierząt w Port Angeles.

- Zgadza się. Oskarżony przyznaje się do winy.

- Intruz uśmiechnął się z wdziękiem i nisko skłonił głowę.

- Ale ja myślałam...

Co? Co właściwie myślała? Chyba tylko to, że skoro nowy właściciel pracuje daleko stąd, nie będzie go widywała i że, jak większość właścicieli domów na północnym wybrzeżu Półwyspu Olimpijskiego, niemal na granicy z Kanadą, będzie tu zaglądał jedynie w lecie. Ona mieszkała tu i pracowała od dawna. Ale ona to co innego. Należała do wyjątków.

- Nie przypuszczałam, że wprowadzi się pan tak szybko - wymamrotała, żeby jakoś zakończyć rozpoczęte zdanie.

Wzruszył ramionami.

- Przykro mi, ale muszę panią rozczarować. Została pani źle

poinformowana.

- Tak, rzeczywiście — przyznała niepewnie. - A co zrobił pan z synem?

- No, proszę, więc słyszała pani też o Tonym?

- Uniósł brwi.

- W takim miejscu jak to niewiele się dzieje - wyjaśniła zmieszana.

- Wiadomości krążą tu bardzo szybko.

- Domyślam się. Tony jest w szkole. Dziś pierwszy raz poszedł do nowej szkoły.

- No tak, rozumiem, oczywiście. - Była już spokojniejsza.

Wiedziała przynajmniej, z kum ma do czynienia.

- A co pan robił pod moją kanapą, panie Jackson?

Musiała w końcu zadać to pytanie.

- Na imię mi Brett. I ód tej chwili proszę się tak do mnie zwracać.

W końcu jesteśmy sąsiadami. A jak pani na imię?

- Sara - odpowiedziała, czując ucisk w piersiach.

- Piękne, prastare imię. Bardzo szlachetne i trochę . staromodne.

Czy tak jak jego właścicielka? - spojrzał pytająco.

-Nie, wcale nie - zaperzyła się Sara. - Panie, ' Jackson... To znaczy

Brett, co właściwie robiłeś w moim domu?

- Szukałem Fawcetta - jęknął. -Kogo?

- Fawcetta. To fretka mojego syna. Wielki i głupi albinos, myślący tylko o jednym: jak by nam uciec. To przez niego musieliśmy szybko kupić dom. Kiedy zmarła moja żona, przenieśliśmy się z Tonym do mieszkania w kamienicy. Mieszkaliśmy tam już trzy lata i wszystko układało się jak najlepiej, dopóki Tony nie dostał w prezencie Fawcetta. Gospodyni wymówiła nam, kiedy uciekł po raz trzeci i schował się u niej w kuchni, w pojemniku na chleb. Chyba nie lubiła fretek.

Uniósł dłonie, tak jakby był zakłopotany. Ale nie wyglądał na zakłopotanego.

- Domyślam się, dlaczego -mruknęła Sara, nie siląc się tym razem na uprzejmość.

- A ja nie. Tak czy inaczej, wtedy właśnie przenieśliśmy się na

wieś. W domu było więcej miejsca i Tony zapragnął psa.

- No, tak — bąknęła Sara.

Fretka i pies. Oczyma wyobraźni widziała już zwierzęta nie dające jej chwili spokoju we własnym domu.

- No, tak - powtórzył Brett - więc jeśli...

Urwał nagle i odepchnąwszy Sarę rzucił się na podłogę. Zanurkował pod stół do kawy, po czym z okrzykiem triumfu wstał ściskając w dłoni coś, co przypominało białą, futrzaną mufkę z czarnymi ślepkami.

Egzotyczna lampa stojąca przy stoliku zachwiała się niebezpiecznie, lecz jakimś cudem nie przewróciła się na podłogę.

- Brett, chyba już czas, żebyś sobie poszedł - stwierdziła Sara bez ogródek.

Skinął głową. Przyglądał się uważnie kosmatemu zwierzątku.

- Tak, masz chyba rację.

Kilkoma susami przemierzył pokój. Przy drzwiach odwrócił się na chwilę.

- Nawiasem mówiąc, jeśli chcesz ustrzec się przed nieznanymi mężczyznami, szukającymi zaginionych zwierząt, zamykaj dokładnie drzwi. Były otwarte, pewnie wiatr je otworzył.

- A ty, zanim wejdiesz, sprawdzaj dokąd wchodzisz - odparła Sara ze złością. Cały dywan mi ubłociłeś.

- Bardzo mi przykro, rzeczywiście - spojrzał niepewnie na podłogę. - Wybacz mi, jeszcze raz przepraszam. To pewnie dlatego, że zatrzymałem się u kogoś, kto hoduje świnie.

Świnie, pomyślała Sara, coraz lepiej.

- Nic nie szkodzi - powiedziała pojednawczo. - Wyczyszczę to bez wielkiego trudu.

Ale Brett nie wyglądał wcale na skruszony grzesznika. Obdarzył ją kolejnym zniewalającym uśmiechem i zniknął za drzwiami.

Zamknął je za sobą bardzo dokładnie, usłyszała szcęk zamka. Sara też zawsze zamykała drzwi na klucz, ale dziś mogła o tym zapomnieć, od samego rana robiła wszystko w pośpiechu. Zasnęła trochę, po jednej z bezsennych nocy, jakie zdarzały się jej ostatnio

dość często. I choć zwierchniczka, a zarazem przyjaciółka i powierniczka, Angela Baddeley, nie miałyby jej tego z pewnością za złe, nie chciała spóźnić się do pracy nawet minutę. Stąd ten obłądny pośpiech.

Przeszła kilka kroków po pokoju i usiadła na krześle w pobliżu kanapy. Kręciła głową z niedowierzaniem; Cóż za dziwne spotkanie! Straciła już nadzieję, że kiedykolwiek coś podobnego jej się przydarzy. Wprawdzie po Jasonie poznała jeszcze kilku mężczyzn, którzy próbowali zburzyć mur między nią a światem, byli nawet sympatyczni, przynajmniej niektórzy z nich, ale po kilku randkach rezygnowali. Mroził ich chłód z jakim odnosiła się do nich. Nie zależało jej na nich. W gruncie rzeczy było jej obojętne, czy zostaną, czy odejdą. Czuła się tak obolała, że przez myśl jej nawet nie przeszło, by wdać się z kimś w poważny romans. Kiedy rana w sercu zaczęła się goić, poczuła się bezpieczniej. Wtedy zrozumiała jednak, jak pożyteczny może być ten lodowy mur, który świadomie wzniosła wokół siebie. Wiedziała, że mówią o niej „panna z lodu”, ale nie przejmowała się tym. Przeciwnie, tak było lepiej. Nikt nie mógł już złamać jej serca. Owszem, często czuła się samotna, zatrzaśnięta w swojej zimnej skorupce. Ale tak było wygodnie. Poza tym przyzwyczajona była do tego.

Zmarszczyła brwi. Czuła się niespokojna, odczuwała jakby brak czegoś. Od wielu miesięcy, ba, od wielu lat, niczego takiego nie przeżyła. Wstała z krzesła i zupełnie bez powodu otworzyła piecyk w kuchence. Nie wiadomo dlaczego zdjęła z kuchni patelnię i wrzuciła ją do piecyka. Z całej siły.

Poruszyła głową na poduszce. Na twarzy czuła ciepło wpadające do sypialni. Zwykle nie zasuwiała zasłon w oknach. Cieszyła się na myśl o tym, że za chwilę wstanie z łóżka. Wrzesień był tego roku wyjątkowo ciepły i słoneczny. Miała sen. Bardzo miły. Przyśnił się jej wysoki mężczyzna, delikatnie trzymający w ogromnej dłoni białe kosmate zwierzątko. I, co ciekawe, tym mężczyzną wcale nie był Jason.

Przeciągnęła się leniwie i uśmiechnęła do siebie. Nagle uśmiech

zniknął z jej ust. Poranną ciszę przerwał potworny łomot. Sarze wydawało się, że co najmniej pluton wojska przy użyciu ciężkiego sprzętu szturmuje jej ogród.

Odrzuciła kołdrę, usiadła na łóżku. Napadnięto ją? Nie, to raczej niemożliwe. Okolica była bardzo spokojna. Ale co się w takim razie stało? Nie całkiem dobudzona chwiejnym krokiem podeszła do okna. Wyrzała do ogrodu. Zamiast nieprzyjacielskich armii ujrzała nagi tors nowego sąsiada. Umieśnione ramiona wznosił nad głowę. W rękach trzymał młot i energicznie walił nim w coś, co znajdowało się po drugiej stronie dzielącego ich posesję żywopłotu. Co gorsza, wydawał z siebie jednocześnie dźwięki, które zapewne miały przypominać śpiew. Ale nie przypominały żadnej melodii. Fałszował potwornie.

Przetarła pięścią oczy i przyglądała krótkie, zmierzwiłone włosy. Cóż ten półnagi mężczyzna tu wyprawia? Spojrzała na zegarek. I to w sobotę o ósmej rano. Po co wali młotkiem z hałasem, który podniósłby na równe nogi umarłego? No, może umarłego nie. Ale Sarę Malone na pewno.

- Dość tego - powiedziała do siebie stanowczo, gdy udało jej się przepędzić resztki snu. Była wściekła. Temu draniowi nie przyszło nawet do głowy, że w sobotę, po całym tygodniu pracy, miałyby ochotę pospać trochę dłużej.

Walenie młotkiem na chwilę ustało. Brett wytarł chustką pot z czoła. Podnosił właśnie młotek, żeby znów huknąć nim z całej siły, gdy Sara wychyliła się z okna.

- Hej, Brett Jackson, co robisz, do diabła! - krzyknęła z furją. - Nie wiesz, że jest dopiero ósma?!

Zaskoczony mężczyzna opuścił młotek i oparł ręce o żywopłot.

- Obudziłem cię? - spytał zdumiony.

- A jak myślisz? - odparła Sara.

- Hm. Myślę, że tak. Przepraszam. Ze względu na Tony'ego i zwierzęta zawsze wstaję wcześniej. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że o tej porze ktoś może jeszcze spać. Robię budę dla psa - wyjaśnił spokojnie, jakby już nic więcej nie pozostawało do

wyjaśnienia.

Przetarł kark chustką.

- No, ale teraz już nie śpisz. Więc wracam do pracy. Odwrócił głowę. Sara przez chwilę wpatrywała się w brązowe od słońca plecy. Czuła, jak wzbiera w niej złość. Cóż on sobie właściwie wyobraża? Trzeba doprawdy wyjątkowej bezczelności i bezmyślności, żeby zachowywać się w ten sposób.

- Mój odpoczynek dla ciebie oczywiście nic nie znaczy - powiedziała wyniośle.

Brett odwrócił się.

- No, w każdym razie nie aż tak wiele, żebym się tym musiał przejmować - odparł zuchwale, dobierając słowa tak, żeby rozżłościć ją jeszcze bardziej. - Ale jeśli chcesz znać całą prawdę, to owszem, obchodzi mnie to. Jednak co się stało, już się nie odstanie. Nic na to nie poradzę.

- A czy nie mógłbyś na chwilę przestać? I mówić, i walić młotkiem? Żebym w spokoju mogła zjeść śniadanie? - spytała Sara.

Popsuł jej pięknie zapowiadający się ranek, więc ona też miała ochotę pokrzyżować mu plany. Brett znów oparł rękę na żywopłocie.

- Śniadanie? - odrzekł z nadzieją w głosie. - Hm, sądzę, że mogę sobie pozwolić na krótką przerwę...

- To świetnie - zakończyła Sara. Śniadanie chciała zjeść sama. Zrozumiała aluzję, ale nie miała zamiaru być aż tak gościnna. Arogant z przeciwka dopiekł jej do żywego.

Brett odrzucił włosy do tyłu i po raz pierwszy tego ranka spojrzął na nią. Gdy na jego twarzy dostrzegła grymas uśmiechu, poczuła, że coś jest nie w porządku. Spojrzała na siebie i stwierdziła ze zgrozą, że stoi w oknie w przeźroczystej, nocnej koszuli. Dała mu niezłe przedstawienie. I to za darmo.

- Albo kończ tę budę dla psa, jeśli chcesz. Teraz to już bez znaczenia - powiedziała szybko i, czerwieniąc się po uszy, skryła się za firanką. Zaciągnęła zasłony. Zza żywopłotu dobiegł bez troski męski śmiech.

- Zadowolony z siebie ordynus - mruknęła pod nosem Sara. -

Bezczelny łobuz - dodała i nagle uświadomiła sobie, że gdzieś pod powiekami został jej obraz przystojnego mężczyzny, którego wilgotne ciało lśniło w słońcu.

Rozbiła dwa jajka i wrzuciła je na patelnię. Nie, nie, nie. Nie wolno ci niczego się spodziewać po tym mężczyźnie - powiedziała sobie w duchu stanowczo.

Jednak wieczorem, gdy otwierała bramę rodzicom, których samochód widziała już w oddali, ta myśl znów nie dawała jej spokoju. Postanowiła zapytać o nowego sąsiada. Może wiedzą o nim coś więcej. Kto jak kto, ale Clara Malone, czyli jej rodzona matka, ma przecież ogromny talent do zdobywania informacji na temat innych ludzi. Sara wiedziała o tym od dawna.

- Co ci jest, moje dziecko? Jesteś jakaś niespokojna.

- Bystre oko Clary natychmiast dostrzegło zmianę w sposobie bycia córki. Od dawna Sara nie pozwalała sobie na okazywanie uczuć komukolwiek. Od dawna, a dokładnie od dziesięciu lat, pomyślała Clara. Sara miała wtedy siedemnaście lat.

- Nic mi nie jest. - Sara otworzyła furtkę i poprowadziła rodziców świeżo zagrabioną ścieżką do ciemnych, dębowych drzwi, prowadzących do jej parterowego domu. - Nic się nie stało - powtórzyła.

- Ładna pogoda jak na wrzesień, prawda?

- Ciepło było przez całe lato. - Clara Malone zauważyła unik, jaki wykonała córka. - Coś nie w porządku, Saro?

- Nie, nic takiego. Naprawdę wszystko w porządku. Źle mi się zaczął dzień, nic więcej. I myślę, że mogę mieć kłopoty z nowym sąsiadem.

- Z Brettem Jacksonem? Moja droga, rzeczywiście słyszałam dość dziwne pogłoski na jego temat. Mam jednak nadzieję, że to tylko plotki.

Sara przymknęła oczy. No, oczywiście, była tego pewna. Matka zdążyła już nawet poznać nazwisko nowo przybyłego. Na pewno wie też, ile ma lat, czym się zajmuje, jakie ma hobby i ile zarabia. Nie mówiąc już o tym, że na pewno wie wszystko o jego kobietach.

Byłych i obecnych.

Wzięła od Clary żakiet i wskazała jej jasnoszarą kanapę. George Malone usiadł przy żonie, potrząsając siwą głową. Sara widziała, że patrzy na nią porozumiewawczo i z trudem opanowała uśmiech. Agencja Informacyjna Clary, jak oboje nazywali to, czym pasjonowała się matka, zawsze dawała im wiele powodów do radości,

Clara nigdy niczego nie przeoczyła, natychmiast więc dostrzegła ich porozumiewawcze spojrzenia.

- Jeśli macie zamiar bawić się moim kosztem - powiedziała z wyrzutem - nie powiem wam, czego się dowiedziałam.

- Jakoś to chyba przeżyjemy - mruknął George pod nosem.

Sara wcale nie była tego pewna, więc szybko przeprosiła matkę.

- Wcale z ciebie nie żartujemy - powiedziała,

- A ponieważ mieszkam koło niego, chętnie dowiedziałabym się czegoś o nim.

- Dobry Boże - jęknął George, zwracając oczy ku niebu. -

Rozumiem, że to musi być intrygujące. Stajesz się nieodrodną córeczką mamusi, Saro. Tak ładnie uzasadniłaś to, że koniecznie chcesz wetknąć nos w nie swoje sprawy.

- Czy naprawdę musisz być taki niegrzeczny? - zachnęła się Clara.

- Wcale niczego nie usiłowałam uzasadnić - wymamrotała Sara, wiedząc doskonale, że ojciec ma rację. George wziął z półki gazetę i zagłębił się w lekturze.

- Twój ojciec postanowił nas nie zauważać - rzekła Clara, najwyraźniej dotknięta, patrząc złowrogo na męża.

- Tak - przyznała Sara. - Kolacja będzie niedługo gotowa - dodała z miną niewiniątka. - Więc co się o nim mówi, mamó? - Nie usiadła na krześle, lecz cały czas kręciła się nerwowo po pokoju i przedpokoju.

Clara dostojnym gestem poprawiła siwe włosy i odchrząknęła.

- No, cóż, wiadomo, że jest wdowcem.

- Tak, mówił mi o tym. Wiem to też od Angeli. A ona słyszała to od handlarza nieruchomości.

- Na miłość boską - wymamrotał zza gazety ojciec.

- Gdybym był przestępcą, za nic na świecie nie chciałbym ukrywać się w Caley Cove.

- Ale nie jesteś przestępcą - zgasiła go żona. - Prawdę mówiąc, moja droga - powiedziała zwracając się do Sary - jego żona zmarła w dość tajemniczych okolicznościach. Zostawiła syna.

- Tak, wiem. Ma na imię Tony. Co to znaczy: w tajemniczych okolicznościach?

- Jeżeli pogłoski są prawdziwe - rzekła Clara ścisząc głos - to popełniła samobójstwo. Wzięła za dużo leków nasennych, biedactwo. Ale oni mówią, że to on ją do tego doprowadził.

- Naprawdę? A kim są „oni”?

- To przecież jasne. Chodzi o źródła informacji twojej matki - wtrącił się George. - Molly Bracken z poczty, Harry Koniski z biura handlu nieruchomościami, Doris Jakaśtam z centrali telefonicznej...

- Wystarczy, George. To nie moja wina, że ludzie lubią ze mną rozmawiać - prychnęła Clara.

- Ze Świętą Inkwizycją też rozmawiali. - Kolacja gotowa. Proszę do stołu - przerwała im Sara.

Rodzice kochali się bardzo, jedno wskoczyłoby w ogień za drugim, ale - jak daleko sięgała pamięcią - zawsze się kłócili. Miała nadzieję, że dziś przynajmniej nie dojdzie do awantury. Bardzo była ciekawa wiadomości, które zdobyła matka. Trochę się też ich obawiała.

Poczekwała, aż rodzice usiądą za owalnym stołem ze szkła i aluminium, na którym stały talerze pełne befsztyków, jarzyn i podsmażanych kartofli, i po chwili wahania powróciła do sprawy nowego sąsiada.

- W jaki sposób Brett miałby doprowadzić żonę do samobójstwa? - spytała, wbijając wzrok w ziarno fasolki na talerzu.

George znów pokręcił głową z dezaprobatą i wzniósł oczy ku niebu, ale Clara, nie zwracając na to uwagi i rozejrzawszy się, czy nikt nie podsłuchuje, pochyliła głowę ku córce.

- Najprawdopodobniej miał romans z recepcjonistką w swojej klinice dla zwierząt - powiedziała konspiracyjnym szeptem. - Żona nie mogła tego znieść. No i zabiła się.

- Boże święty! - Sara z największym trudem przełknęła kawałek befsztyka. Ten przystojny i miły mężczyzna, mieszkający obok niej, był aż takim niegodziwcem? - Jesteś tego pewna? - spytała z niedowierzaniem.

- No, cóż, nie na sto procent. Jednak Molly słyszała o tym z wiarygodnego źródła.

George parsknął śmiechem, a Clara spojrzała na niego gniewnie i zacisnęła wargi.

Dobry Boże, pomyślała znów Sara. Samobójstwo. Nie, matka musi się mylić. To tylko jedna z tych plotek, od których aż się roi w Caley Cove. Na pewno. Brett nie wygląda na kogoś, kto mógłby własną żonę doprowadzić do samobójstwa. Z drugiej strony jednak, wszystko możliwe. Był zabójczo atrakcyjny. Ta aura zmysłowości, którą wokół siebie roztaczał, musiała działać na kobiety jak magnes.

Przełknęła następny kęs. Na niej, na szczęście, od dawna nie robi to żadnego wrażenia. O, tak. Jeżeli o to chodzi, wystarczająco dobrą lekcję dostała od Jasona. Ale Bretta i Jasona sporo łączy. Byli do siebie podobni,

Nagle straciła apetyt. Nie miała już ochoty rozmawiać o Bretcie. Matka, przeciwnie, niczego bardziej nie pragnęła niż rozmowy o nowym sąsiedzie.

- Dlaczego powiedziałaś, że może ci sprawić kłopot? - spytała.

- Och, bez specjalnego powodu. On tylko rankami okropnie hałasuje. W każdym razie dzisiaj narobił straszego łomotu.

Clara nie poczuła się usatysfakcjonowana odpowiedzią córki, ale Sara nie chciała powiedzieć niczego więcej. Matka musiała więc dać za wygraną.

Później rozmawiali już tylko o tym, co widać za oknem. Po raz setny Sara zapewniała ich; że w swoim małym domu, stojącym nad skalnym urwiskiem, opadającym wprost do morza, czuje się wspaniale. W łagodne letnie popołudnia odzyskiwała tu spokój wewnętrzny, obserwując różowy blask słońca zachodzącego nad cieśniną Juana de Fuca. Po stokroć wolała mieszkać tu, na otwartej przestrzeni niż w mieście.

- Tak, kochanie. - Clara znów powróciła do najistotniejszego, jej zdaniem, wątku rozmowy. - Ale takie tu bezludzie. Właściwie tylko ty i ten twój tajemniczy sąsiad.

- No, nie tylko on. Są jeszcze państwo Mackenzie na końcu drogi. Zresztą on wcale nie jest tajemniczy.

- Może i nie jest. Jakkolwiek by było, czułabym się spokojniejsza, gdybyś nadal mieszkała obok państwa Francellich.

Sara nie wątpiła w to. Pani Francelli zdawała matce relacje dosłownie z każdego kroku córki. Sarze spadł kamień z serca, gdy dowiedziała się, że starzy państwo Francelli postanowili w końcu przenieść się bliżej Port Angeles.

- Mamo, nie masz się czego obawiać - powtórzyła Sara. - Mieszkam tu już sześć lat. I jakoś do tej pory nic mi się nie stało.

- Wiem. Na razie. Ale nie powinnaś tak szybko kupować sobie domu. Powinnaś była zostać jeszcze trochę z nami, kochanie. Tak dobrze było nam razem. - Clara powtórzyła znaną śpiewkę.

- Mnie też było z wami bardzo dobrze, przecież wiecie o tym - odrzekła Sara spokojnie, choć miała już szczerze dość powracania do spraw, przesądzonych przed sześcioma laty.

Clara rozejrzała się wokół. Szukała nowego powodu do narzekań.

- Twoje meble są zbyt surowe - stwierdziła ze smutkiem. - Wszystko białe i szare. Takie zimne, moja droga. Zupełnie jak kostium, który masz na sobie. I te dziwaczne modele statków, rozstawione pod ścianami. Mężczyzna nie mógłby się tu czuć jak u siebie.

- Nie chcę tu żadnego mężczyzny, więc nie ma o czym mówić, prawda, mamo? - twardo odrzekła Sara, zaciskając lekko wargi.

- To zupełnie inna sprawa. Wiem, że nie udało ci się z Jasonem, ale...

Sara postanowiła nie przerywać matce. Clara mówiła więc dalej. Cotygodniowe obiady z rodzicami, i u niej, i u nich w mieście, zawsze kończyły się długim monologiem Clary na temat niestosowności wszystkiego, co robiła jej córka. Wszystko było nie tak, jak być powinno. Źle prowadziła dom, źle go urządziła, źle się ubierała,

prowadziła niewłaściwy tryb życia. Wykład miał też zawsze taką sama puentę. Lekarstwem na wszystkie wady Sary, zdaniem Clary, było małżeństwo. Gdyby raz wreszcie dali jej święty spokój! Jeśli muszą, niech sprzeczną się sami. Ona nie chce być ani obiektem ich sporu, ani świadkiem.

Gdy Clara skończyła mówić, jak zwykle, zasiedli do scrabble'a. Odjechali niezbyt późno. Sara popracowała jeszcze trochę nad nowym modelem statku i w końcu zdecydowała się iść spać.

Następnego ranka znów obudziła się wcześnie, bo znów wyrwano ją z głębokiego snu. Zza płotu dochodziły znane odgłosy. Ale, nie, Pojawiły się też nowe. Usłyszała szczekanie rozentuzjzmowanego psa. Posłuchała dokładniej. Nie, nie psa. Psów. Dwóch przynajmniej. Jazgotowi zwierząt towarzyszyły wrzaski dziecka. Westchnęła i spojrzała na zegarek. Dziewiąta. Dzisiaj trochę później. Powinna być wdzięczna sąsiadowi za wyrozumiałość i dobre serce. Mamrocząc coś pod nosem podniosła kołdrę i wstała. Włożyła gruby szlafrok, a potem podeszła do okna.

ROZDZIAŁ DRUGI

Odsunęła zasłony i ujrzała Bretta. Stał pochylony nad dwoma, podskakującymi jak piłka, kłębkiem futra. Dotykał palcami ust i patrzył w jej stronę, usiłując uciszyć dokuczające psy i jasnowłosego chłopca; piegowatego i roześmianego od ucha do ucha.

Wrzaski i szczekanie stopniowo ustawały. Brett dostrzegł ją w oknie, była tego pewna. Wydawało jej się nawet, że widzi ogniki w jego oczach. Z bijącym sercem zaciągnęła zasłony. Niech go diabli, pomyślała. Niech go wszyscy diabli. Tak już najprawdopodobniej będą wyglądały wszystkie weekendy. Chciała zbuntować się, nakrzyczeć na niego, wypowiedzieć mu wojnę. Ale za każdym razem, kiedy już, już miała to zrobić, rozbrajał ją tym swoim nieprawdopodobnym, półdrwiącym, półdziecinym uśmiechem. Uginały się pod nią nogi, czuła serce w gardle.

Westchnęła ciężko, spoglądając na wąskie łóżko przykryte niebieską narzutą. Nieoczekiwanie przypomniała sobie inny poranek, dawno temu, kiedy zbudziła się w łóżku o wiele szerszym. Obok niej był mężczyzna, pod niejednym względem podobny do Bretta. Choć zewnętrznie różnili się bardzo. Tamten był namiętym brunetem, Brett miał włosy koloru miedzi i lubił żartować...

Weszła do łazienki i w bezsensownej furii zaczęła gwałtownie czyścić zęby szczoteczką, niemal do krwi. Dlaczego właśnie teraz przyszedł jej na myśl tamten odległy poranek? Było, minęło. Przecież cieszyła się, że ma to już dawno za sobą. I nie chciała angażować się w cokolwiek na nowo. Obiecała sobie to już dawno.

A gdyby nawet miała kiedyś złamać tę obietnicę, mężczyzna obarczony dzieckiem, dwoma źle wychowanymi psami i zwariowaną fretką, i który na dodatek uwielbiał hałasować, był niewątpliwie najgorszym z możliwych kandydatów.

Jedyną metodą, aby przetrwać przy Bretcie jako sąsiedzie, było nie zauważać jego istnienia. Sara nie mogła pojąć, dlaczego tak oczywisty wniosek przyszedł jej do głowy dopiero teraz. A może nie

był wcale oczywisty. Może zapowiadał nudę. I nic więcej.

W poniedziałek wieczorem wróciła po pracy jak zwykle do domu. Wyjmowała właśnie kluczyki ze stacyjki starego volkswagena, kiedy usłyszała głośnie szczekanie psów. Odwróciła głowę i stwierdziła, że płot oddzielający jej posesję od posesji Bretta trzęsie się niebezpiecznie. Szczekanie stawało się coraz głośniejsze, płot wyglądał tak, jakby za chwilę miał rozlecieć się w kawałki. Dwie błyszczące czarne łapy pojawiły się na nim na chwilę i zniknęły. Po chwili dwie szare kosmate łapy też pojawiły się na nim. I zniknęły po kilku nieudanych próbach pokonania przeszkody.

Sara pokiwała głową, dodając sobie otuchy i zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę furtki Bretta. Gdy zamknęła ją za sobą, natychmiast napadły ją dwa rozradowane i rozkołysane włochate psiska. Na jej widok zaczęły podskakiwać, lizać jej ręce i twarz na powitanie.

Brett przyjechał minutę albo dwie później. Opróżniał właśnie samochód z całej masy papierków, dziwacznych kamyków i resztek gumy do żucia, które swoim zwyczajem w różnych miejscach zostawił Tony, gdy nagle kątem oka dostrzegł błysk czegoś różowego. Zgrabna różowa kobieca łydka i eleganckie brązowe pantofelki należały do kogoś o znakomitej figurze. Usłyszał znajomy głos i śmiech dobiegający zza furtki.

- No, no, już, dajcie mi spokój! - błagała Sara, próbując opędzić się od dwóch kudłatych bestii, które nie zamierzały rezygnować z zabawy i czułości. - No, zabieraj łapę! Ja też cię kocham, ale nie do tego stopnia! - wołała zaśmiewając się.

No jasne. Powinien był od razu rozpoznać intruzkę. Psy uciszyły się na moment i uspokoiły. Sara podniosła głowę, ujrzała Bretta. Stał tuż przy niej i wpatrywał się w nią bez ruchu. Ręce wsparł na biodrach.

Gdy usiłowała wstać z ziemi, nachylił się do niej. Nie podał jednak ręki. Uśmiechnął się tylko.

- Jak mam to rozumieć, Saro? Czy jako zapowiedź stosunków dobrosąsiedzkich?

Patrzył na nią zachłannie, gdy niezgrabnie gramoliła się na nogi. Miała wrażenie, że za chwilę ją połknie. Psy znów opadły Sarę. Rzuciły się na nową panią z takim entuzjazmem, że różowa łydka znów mignęła w powietrzu. Spod tweedowej spódnicy błysnął też różowością odsłonięty kawałek uda.

- Czy mógłbym dołączyć do zabawy? - spytał Brett przymilnie. - Czy macie już komplet?

Sara prychnęła, gdy kolejny raz mokry ciepły język przejechał po jej nosie.

- Nie! - wydusiła z siebie, starając się odpędzić rozdokazywane czworonogi. - W żadnym razie nie wolno ci do nas dołączyć! Lepiej zabierz ode mnie te potwory!

Brett jednak nadal stał bez ruchu, śmiejąc się od ucha do ucha. W końcu Tony, robiąc fikołka na trawie, przyciągnął ku sobie uwagę psów.

- Dzięki ci, Tony! - krzyknęła już niemal bez tchu, gdy wreszcie Brett chwycił ją za rękę i pomógł wstać. Przez kilka długich sekund nie puszczał jej dłoni.

- Skąd wiesz, że mam na imię Tony? - zapytał chłopiec, biegając między psami jak szalony.

- Zgadłam! - odkrzyknęła Sara.

Brett przyglądał się z wyrazem twarzy, jaki znała już z poprzednich spotkań. Odwróciła głowę w obawie, że zarumieni się jak nastolatka. Nigdy dotąd nie czerwieniła się. Dopiero odkąd on się pojawił, przytrafiało jej się to raz po raz.

- Co się właściwie stało, Saro? - spytał miękko Brett. Jej imię wypowiedział ze szczególną delikatnością.

- Twoje psy tak bardzo chciały mnie zobaczyć, że o mały włos nie zwały płotu - odrzekła cicho, wpatrując się intensywnie w mały kopczyk torfu wyrwany z ziemi przez rozbrykane zwierzęta. - Przyszłam, żeby je uspokoić.

- Na pewno miałaś dobre intencje - stwierdził rzeczowo. - Dlaczego jednak pozwoliłaś, żeby przy okazji zniszczyły mi trawnik, tego nie rozumiem.

Kopnął kawałek torfu, który oderwał się od czegoś zielonkawego, co jeszcze do niedawna było eleganckim trawnikiem.

- Nie mogłam nic na to poradzić - odparła zimno.

- Próbowałam pomóc. Zresztą dopóki nie przyjechaliście, nie był to teren prywatny.

- Bardzo łatwo mogę udowodnić, że ogród w całości należy do mnie - powiedział Brett.

- No, cóż, jeżeli uważasz za stosowne... - Zaczęła strzepywać z siebie resztki trawy.

- Nie, bynajmniej.

Otrzepała spódnicę z trawy i ziemi. Brett wyciągnął rękę, jakby chciał jej w tym pomóc. Cofnęła się o krok.

- Wcale nie uważam za stosowne... - powtórzył.

- Sądzę nawet, że powinienem ci być wdzięczny. I bardzo mi przykro, jeśli moje psy wyrządziły ci jakąś krzywdę.

- Nie, skądże. Nic mi się nie stało. Choć rzeczywiście wylądowałam na ziemi. - Uśmiechnęła się kwaśno.

- Ale wszystko w porządku. Zresztą bardzo lubię psy.

Rzuciła spojrzenie w stronę dwóch wesołych czworonogich futrzaków. Sierść jednego była czarna i błyszcząca, drugi, w szaro-białe łaty, przypominał ostrowłosego owczarka. Oba tarzały się po resztkach trawnika i biegały za Tonym.

- Naprawdę? Myślałem, że nie lubisz psów.

- Dlaczego tak pomyślałeś?

- No, cóż, może dlatego, że sama nie masz psa. I może jeszcze dlatego, że zapamiętałem twoją minę, gdy wspomniałem o budzie dla psa.

- Nie mam psa, bo cały dzień nie ma mnie w domu. A wczoraj... - spostrzegła cień uśmiechu na twarzy Bretta, więc dokończyła zaczepnie: - A wczoraj w ogóle dzień zaczął mi się nie najlepiej. Zresztą zawsze, dopóki nie wypiję kilku filiżanek kawy, jestem w złym humorze.

- Nie wierzę. Jestem pewny, że jeśli chcesz, nawet rankami potrafisz być wspaniała. No i bardzo miła.

Patrzył na nią uwodzicielsko, nie mogła się mylić. Rozmowa zaczęła zbaczać na niebezpieczne tory. Sara potrząsnęła głową i postanowiła wracać do domu.

-Saro - usłyszała za sobą. Ciepło głosu Bretta sprawiło, że przez moment zawahała się, czy nie zostać. - Saro, dziękuję.

Odwróciła się. Ujrzała wyciągniętą do siebie męską dłoń. I twarz uśmiechniętą, a zarazem pełną goryczy.

- Chciałbym zaprosić cię do środka i poczęstować czymś albo zaproponować drinka. Ale obawiam się, że nie mam niczego w domu. Dopiero co wprowadziliśmy się. Nie zdążyłem jeszcze zorientować się, jak tu jest z zaopatrzeniem. Czy nie będziesz miała nic przeciwko temu, jeśli zaproszę cię nieco później?

- Ależ nie, skądże.

Patrzyła na niego nieufnie. Zastanawiała się, czy nie po to tylko starał się ją oczarować, żeby ona w rewanżu zaprosiła go na kolację. Jeśli tak, to teraz ona powinna odpowiedzieć sama sobie, czy ma ochotę, czy nie ma ochoty dać się oczarować.

Gdy podniosła wzrok, na jego ustach wciąż pełzał ten ekscytujący uśmiech. Oczy Bretta miały siłę niemal hipnotyczną. No i jak się to ma do plotek, które przyniosła matka? - pomyślała.

- Czy próbujesz mnie oczarować w nadziei, że zaproszę cię na kolację? - spytała wprost, dziwiąc się bardzo, że stać ją na taką obcesowość.

Zachichotał cicho, lecz nie było w tym śmiechu ani trochę zakłopotania.

- Nie miałbym nic przeciwko temu - przyznał otwarcie. - Nie jestem najlepszym kucharzem, ale obiecuję, że jak tylko zapełnię lodówkę, odwiedzisz ci się najlepiej, jak tylko będę umiał.

- Odwdzięczysz mi się? To brzmi złowrogo.

- Tak, może... Ale wiesz przecież, o co mi chodzi. Sara wiedziała; wszystko było jasne. Chciał, żeby nakarmiła go wraz z Tonym, a w zamian już niedługo poczęstuje ją porcją wysuszonego na wiór pieczonego kurczaka z przypalonymi frytkami. No i może jeszcze przedwczorajszą sałatką warzywną. Westchnęła cicho. Nie ma rady.

Skoro powiedziała „a” musi powiedzieć „b”. Był w końcu jej jedynym sąsiadem. A poza tym...

- Zrobione - stwierdziła krótko, jakby dogadali się w sprawie ważnej transakcji. - Bądźcie u mnie za godzinę. Jeśli wcześniej nie padniecie z głodu.

- A jeśli naprawdę padniemy?

- To nasza umowa przestanie być aktualna.

Pół godziny później rondel ze smaczką potrawką trafił z zamrażalnika do pieca. Sara przeglądała metodycznie zawartość szafy. Oczywiście nie mogła przyjąć Bretta ubrana w jeden z szytych na miarę kostiumów, w których chodziła do pracy. Nie czułaby się swobodnie. Więc może założyć wąską, obcisłą spódnicę? Nie, w żadnym wypadku. A spodnie? Wiedziała doskonale, że w spodniach wygląda najbardziej ponętnie. Spodnie więc odpadają, to jasne. Ciekawe, jak ubierała się żona Bretta, pomyślała. Miała jeszcze do wyboru trzy letnie sukienki i białą plisowaną spódnicę. Nie, biała spódnica nie. Z Brettem miał przecież przyjść mały Tony. Więc może granatowa sukienka w białe pasy? Tylko ona zakrywa ją całą, dwie pozostałe mają małe dekolty.

Wciągnęła na siebie granatową sukienkę, nie patrząc nawet w lustro. Wiedziała, co w nim zobaczy. Okrągłą twarz dobrej wróżki, długą szyję, szpiczasty podbródek, wielkie ciemnobrązowe oczy. I jeszcze krótkie włosy, niezbyt gęste i nigdy nie układające się tak, jakby się chciało. W sumie - nic nadzwyczajnego. Uroda i figura modelki, a tak się marnujesz - powiedziała kiedyś matka na wieść o tym, że Sara chce zostać sekretarką w miejscowym biurze porad prawnych, zamiast robić karierę w wielkim świecie, zdobywać pieniądze i sławę. Clara Malone nie знаła jeszcze wówczas prawdziwego powodu decyzji córki. Nie zdawała sobie sprawy z wielkości uczucia, jakim Sara darzyła przyszłego zwierzchnika. Zanim coś zaświtało jej w głowie, Sara oświadczyła rodzicom, że zamierza wyjść za mąż.

Posypała nos pudrem, poprawiła usta jasną szminką i jak wicher wpadła do kuchni. Przeszłość minęła i nie warto było do niej wracać.

Kolacja była już prawie gotowa.

Dokładnie o ustalonej porze dwóch wyświeżonych mężczyzn, mały i duży, w wyprasowanych ubraniach, zjawilo się na ścieżce przed domem. Buzia Tony'ego tryskała zdrowiem i lśniła czystością. Sara wyglądając przez okno zastanawiała się, jak długo musiał Brett pucować syna, gdy ten wrócił ze szkoły. Tak czy inaczej, musiała przyznać, że był skrupulatnym i troskliwym ojcem.

Tak przystojnie, jak tego wieczoru, nie wyglądał jeszcze nigdy dotąd. Ona w każdym razie nigdy go tak ubranego nie widziała. Miał na sobie świetnie skrojone szare flanelowe spodnie i jasnoszarą koszulę, rozpiętą pod szyją. Znakomicie też komponował się z jej nowymi meblami. Zdała sobie sprawę, że wpatruje się w niego jak w tęczę, gdy kąciki ust Brett'a drgnęły i leciutko uniosły się w górę.

- Czy można? - zapytał.

Dobrze wiedział, że można. Ale nie miała zamiaru mówić głośno tego, co i tak na pewno wyczytał z wyrazu jej oczu.

- No, przynajmniej tym razem jesteście czysti - odpowiedziała chłodno i spojrzała na Tony'ego.

- Co miałbyś ochotę robić, zanim kolacja będzie gotowa? - spytała chłopca. - Mam cały stos numerów „National Geographic”, możesz je sobie przejrzeć. No i mam też trochę książek o konstruowaniu modeli statków. Albo weź lornetkę i poobserwuj ptaki latające nad morzem...

- A mógłbym pooglądać telewizję? - przerwał jej Tony.

- Telewizję? No tak, jeśli chcesz... Tylko że mam bardzo mały telewizor.

- Rozmiar nie ma znaczenia - zauważył Brett. - Wystarczy, żeby działał. Mojemu synowi nic więcej nie trzeba do szczęścia.

Sara spojrzała na niego z wyrzutem i poszła włączyć telewizor. Stał w kącie pokoju na małym stoliku.

- No tak - rzekł Brett, gdy Sara zakrzętnęła się, by podać mu drinka. - Widzę, że jako ojciec skompromitowałem się w twoich oczach całkowicie. Ojcowie, którzy nie sprzeciwiają się, gdy ich dzieci gapią się na te wszystkie okrucieństwa, które pokazują teraz

w telewizji, zasługują, twoim zdaniem, na potępienie.

- Można to tak nazwać - wybąkała Sara.

- Uhm - mruknął pod nosem Brett. - Cóż, pozwól, że ci powiem coś, o czym prawdopodobnie nie wiesz. Otóż, jeśli miałabyś do czynienia przez dwadzieścia cztery godziny na dobę z dziewięciolatkiem, wierzącym się bez przerwy jak muchą w ukropie, dzieckiem, które ma bzika na punkcie zwierząt i którego w żaden sposób nie da się uciszyć, to wtedy, o tak, wtedy nie pogardziłabyś niczym, co mogłoby go zatrzymać w jednym miejscu choć przez pół godziny.

- Niewykluczone - z wahaniem przyznała Sara. - Jednak po pierwsze, ciebie też czasem trudno uciszyć, a po drugie, to nieprawda, że jesteś z Tonym bez przerwy.

- Z wyjątkiem weekendów - szybko poprawił się Brett. - A hałasuję tylko rankami.

- Dodajesz mi otuchy - zakpiła wychodząc do kuchni. — Bo to znaczy, że jeżeli jak grzeczna dziewczynka położę się spać o dziesiątej, to będę miała szansę jako tako się wyspać.

- Wszystko zależy od tego, co masz na myśli mówiąc: jako tako - zachichotał Brett.

Wyciągnął się wygodnie w fotelu i obserwował z widoczną przyjemnością, jak krząta się w kuchni. Gdy wróciła niosąc rondel, z którego wydobywał się aromatyczny, wspaniały zapach, spytał, czy może jej jakoś pomóc.

- Dam sobie radę - odrzekła chłodno. - Mógłbyś może tylko poprosić Tony'ego, żeby na chwilę oderwał się od telewizora. Kolacja gotowa.

Brett wstał, podszedł do telewizora, wyłączył go, wziął małego za rękę i usadził za stołem.

- Ale był fajny film - nieśmiało zaprotestował Tony. Jednak gdy Sara postawiła przed nim talerz z dymiącą, smakowitą potrawką, od razu się rozchmurzył.

- Ale pachnie! - wykrzyknął z podziwem i natychmiast zaczął pałaszować swoją porcję.

- Święte słowa - zgodził się Brett. - Ode mnie dostałby smażoną

fasolkę i jajka sadzone.

- No - przytaknął Tony, zlizując sos z policzka. - Tata zwykle robi makaron i hamburgera. Albo pieczonego kurczaka - dodał, potwierdzając najgorsze przeczucia Sary.

- Naprawdę? - spytała Sara uprzejmie.

- Uhm. Tata jest doskonałym kucharzem. Ale to też nie jest złe. A co to jest?

Sara roześmiała, się.

- Tajemnica.

Kiedy byli już po kolacji - na deser zjedli ciasto z jagodami, które także wywołało u gości pomruki zadowolenia - Tony wrócił do swego ulubionego zajęcia. Brett najpierw kazał mu wyłączyć telewizor, potem jednak machnął ręką i usiadł wraz z Sarą w drugim kącie przestronnego pokoju.

Od dawna nikt tak na nią nie patrzył. Trochę ją to peszyło. Mimo wszystko miło było jednak móc rozmawiać z mężczyzną, który nie był ani klientem Angeli, ani jej ojcem, ani znajomym rodziny.

- Jesteś podróżniczką, prawda? - spytał, wyciągając długie nogi daleko przed siebie.

- Podróżniczką?

- Uhm. Lubisz nowe miejsca i nowe twarze, prawda? No i nie lubisz nigdzie zapuszczać korzeni...

- Co ci przyszło do głowy? - spytała Sara. Była zdumiona. Jej korzenie tkwiły głęboko w Caley Cove. Ojciec prowadził tu aptekę na długo przed jej urodzeniem.

- To wszystko? - Machnął ręką w powietrzu. - To wszystko, co tu masz? Ładne, ale pozbawione charakteru, łatwo to sprzedać. Zresztą nie ma tego wiele.

- Mówisz zupełnie jak moja matka - przerwała Sara.

- I wszędzie modele statków - ciągnął Brett. - I to morze za oknem. Same Symbole uciezki. Chcesz uciec za siódmą górę i za siódmą rzekę.

- Doprawdy — zachnęła się Sara. - Jesteś może doskonałym weterynarzem, ale jako jasnowidz na chleb byś nie zarobił.

Wzruszył ramionami.

- W porządku. Myliłem się. Żyjesz tak, bo tak lubisz. A te statki i morze to czysty przypadek.

- Robię modele statków, bo zawsze lubiłam morze. I to, co po nim pływa. A poza tym jestem najczęściej sama. Więc mam czym się zająć.

Wiedziała, że nie powinna była tego mówić. Ale powiedziała, stało się. Było za późno, żeby zmieniać temat rozmowy.

Brett uśmiechnął się ciepło i jeszcze wygodniej usadowił w fotelu.

- Po co to wszystko, Saro? - spytał. - Po co ta granatowa zbroja w białe paski, którą masz na sobie? Po co ci ta samotność?

Na szczęście nie zapaliła górnego światła. W półcieniu Brett nie zobaczy, że znów zarumieniła się po same uszy. Siedzi w niewygodnym fotelu, udaje, że nic nie rozumie, ale zadaje niewygodne pytania. W dodatku mówi głosem tak niskim i miękkim, że Sara nie może słuchać obojętnie. I patrzy na nią tak, jakby nic nie miała na sobie. Sara zeszywniała, przepełniona lękiem i pożądaniem, a on ciągle siedział tuż przy niej, czekając na odpowiedź.

Przełknęła ślinę.

- Ja... ja wcale nie mówiłam, że czuję się samotna - wyjąkała. - Mówiłam tylko, że często jestem sama. A to różnica.

- Tak, czasami to bywa różnica. Ale myślę, że w twoim przypadku tak nie jest.

A niech go diabli! Miał rację, oczywiście. Przez wszystkie te lata budowała w sobie najróżniejsze tamy, bariery, zapory. Robiła wszystko, żeby przekonać samą siebie, że tak jest jej dobrze. A wystarczyło jedno spojrzenie złocistych męskich oczu, żeby wyszło na jaw to, co tak bardzo pragnęła ukryć. Tak, to jasne, była samotna i czuła się samotna. Ale nie zamierzała niczego zmieniać w swoim życiu. To jedyny sposób, żeby nikt już jej nie zranił, nie złamał jej serca.

- Może czasem bywam samotna - przyznała. - Ale przywykłam do samotności. Dobrze mi z nią. Poza tym - dodała - masz trochę racji z

tym podróżowaniem. Kiedyś miałam wielkie plany. Chciałam zwiedzić Indie, Chiny, pojechać do Europy. No, właściwie to chciałam objechać cały świat, naprawdę. Ale... - zawahała się - dzisiaj nie marzę już o tym. I nawet nie żałuję, że nigdy nie dojechałam dalej niż do Vancouveru.

- Rozumiem - powiedział Brett.

- Tak - dodała szybko. - Tutaj jest naprawdę pięknie. I tak spokojnie. Nic się tu nie dzieje. To lubię.

- Naprawdę?

Było ciemno, nie widziała wyrazu twarzy Bretta, ale nietrudno było się domyślić, że jej nie wierzy.

- Ależ tak, oczywiście. Zwierzęta też świetnie się tu czują. Sam o tym mówiłeś, prawda?

- Chcesz rozmawiać o zwierzętach?

- Czemu nie? - Zaśmiała się nerwowo.

W tej chwili miała ochotę rozmawiać o wszystkim. Byleby tylko nie mówili o niej.

- W porządku - powiedział Brett. Rozmawiali zatem o psach. O psach Bretta i jego

brata. Dostali je, gdy mieszkali w Seattle. Na długo, zanim Brett otworzył własną klinikę na półwyspie. Mówili też o psach, którymi później opiekował się w klinice. O suczce Sparky i Picklesie, wyrzuconych przez dawnych właścicieli za drzwi. Ciemności rozjaśniał tylko blask telewizora - Tony nie był posłusznym synem, nie wyłączył go mimo wyraźnej prośby ojca. Sara czuła narastające napięcie. Wiedziała, że za chwilę coś musi się wydarzyć. Głos Bretta uspokajał ją. Jego wielkie, męskie ciało majaczyło na tle ściany.

Przeciągnęła językiem po wargach i szybko wstała z fotela. Popełniła błąd, bo Brett też wstał i poszedł za nią do kuchni.

- Uciekasz? - spytał zwyczajnie, bez ironii, gdy zapaliła światło.

- Nie, skądże. - Nie spojrzała na niego. - Chcę zrobić jeszcze kawy, to wszystko.

- Wypiliśmy po dwie filiżanki. - Och.

Teraz musiała już na niego spojrzeć. Stał przed nią z rękami w

kieszeniach, lekko pochylony ku niej. Wydawało się, że waży w sobie decyzję. Nagle poczuła, że jego wielkie dłonie zaciskają się delikatnie na jej ramionach.

- Co robisz? - spytała sztywniejąc cała.

- Nic. Nigdy nie potrafiłem oprzeć się wyzwaniu. A ty jesteś dla mnie wyzwaniem, Saro.

-Ja...

Urwała, bo lewą ręką dotknął jej włosów. Czuła palce Bretta na szyi. Musnęły koniuszek ucha. Przeszedł ją dreszcz.

- Nie - szepnęła. - Brett, proszę cię... -Dlaczego nie? Czego się obawiasz, Saro? Ja naprawdę nie gryzę. No, chyba, że się mnie o to prosi...

Delikatnie wodził kciukiem po jej szyi. Sara zamknęła oczy, poczuła jego oddech na policzku.

- Czy się mnie o to prosi? - spytał cicho.

Sara otworzyła usta, żeby powiedzieć: nie. Ale nie zdążyła. Rozchylone wargi Brett przykrył pocałunkiem. Nie był namiętny, żarliwy, ale z pewnością był nieunikniony. Pocałunek na próbę. Brett przygarnął Sarę do siebie i przez chwilę była pewna, że wreszcie znalazła właściwe schronienie. Czuła się naprawdę bezpieczna. Nie zdając sobie z tego sprawy uniosła w górę ręce i zarzuciła mu je na szyję.

- Saro, nie masz jeszcze trochę chrupek...? Chłopięcy głos ucichł raptownie. Dało się natomiast słyszeć pełne wyrzutu westchnienie i słowa:

- Tato! Dlaczego ty teraz zawsze całujesz się z paniami w kuchni? Z mamą nigdy tego nie robiłeś.

ROZDZIAŁ TRZECH

Brett podniósł głowę i spojrzał na syna. Sara podskoczyła i schowała ręce za siebie, jak dziecko schwyte na kradzieży słodyczy. Chciała odepchnąć od siebie Brett, ale on jej nie puścił.

- Uspokój się - szepnął jej do ucha. - Robiłbym to samo z twoją matką, gdyby mi na to pozwalała - powiedział głośno. - I wcale nie zawsze całuję się z paniami w kuchni..

- A właśnie, że zawsze. Tak było i z ciocią Elise. Tak było i z Mary-Jo Kry... Kry... - zaciął się Tony.

- Brett! - krzyknęła Sara, która powoli dochodziła do siebie. - Naprawdę, jak możesz! Właśnie przyłapano cię w kompromitującej sytuacji z kobietą, a ty zamiast próbować to zatuszować, stoisz tu i przekomarzasz się z nim jak przekupka. Naprawdę wcale mnie nie interesuje, gdzie zwykle całujesz się z kobietami. Z twoimi kobietami! - Całą wzgardę, na jaką potrafiła się zdobyć, włożyła w ostatnie zdanie. - A teraz, czy byłbyś łaskaw mnie już puścić?

Brett spojrzał na nią, była zarumieniona i zagniewana. Ale na jego twarzy też malował się gniew. Popatrzył na nią z niedowierzaniem. Słowa Sary musiały dotknąć go w jakiś szczególny sposób, bo widać było, że z trudem panuje nad sobą. Po chwili wziął się w garść, spojrzał na nią z wyższością i uśmiechnął się.

- Aha. Znow mała dziewczynka - wycedził przez zęby. - Czuje się skompromitowana, biedactwo.

Tony stał ciągle w drzwiach, spoglądając to na jedno, to na drugie, i marszczył czoło.

- O czym ty właściwie mówisz? Jaka kompromituja-ca sytuacja? - spytał nagle Tony. - Przecież mój tata nie zrobił ci krzywdy. Nie ma połamanych krzesel, nie ma rozbitych filiżanek...

- Och! - wykrzyknęła Sara niemal bez tchu. Znalazła w sobie jednak dość siły, by strącić rękę Brett i uderzyć go w żołądek tak mocno, że ledwo utrzymał się na nogach.

- Atomowy cios! - wykrzyknął zachwycony Tony. - Prawie go

znokautowałaś. Jesteś supermanką czy co?

- Nie - wymamrotał Brett, z trudem łapiąc powietrze. - Ona jest diabłem w ciele kobiety. Mogłaś sama przekonać się, Saro, że psychika mojego syna nie jest tak delikatna, jak może przypuszczałaś. Myślę, że widok całującej się pary nie zakłóci jego rozwoju. Nawet jeśli tą parą byliśmy akurat my dwoje.

- Ja w ogóle nie mam psychiki, tato - zaproponował Tony. - Gdybym ją miał, wiedziałbym o tym. Pan w szkole by mi o niej powiedział. Naprawdę jesteś diabolicą, Saro? — Tony powrócił do tego, co zainteresowało go w całej sprawie najbardziej.

Sara musiała się poddać. Tony rzeczywiście nie sprawiał wrażenia dziecka, któremu wyrządzono krzywdę nie do naprawienia. Myśl o tym, że Sara jest diabolicą napełniała go nieopisaną radością.

- Nie, nie jestem diabolicą - powiedziała Sara, pozbawiając chłopca złudzeń. - Jestem zwyczajną kobietą, która popełniła fatalny błąd zapraszając twego ojca na kolację. A tutaj są chrupki, o które pytałeś. - Otworzyła lodówkę i wręczyła mu także kartonik z sokiem pomarańczowym. - Teraz idź i pooglądaj jeszcze telewizję, bo my z twoim ojcem mamy trochę do pogadania.

- Się robi - odpowiedział Tony. - Ale uważaj, bo on będzie próbował cię jeszcze raz pocałować.

- O, nie. Nie będzie próbował - rzekła Sara stanowczo, gdy malec znikł za drzwiami do pokoju.

- O, tak. Będzie próbował - sprzeciwił się Brett, robiąc dwa kroki w jej stronę.

Sara zwilżyła wargi.

- Naprawdę tłuczesz naczynia i łamiesz krzesła? - spytała, cofając się przed nim.

Nie to chciała powiedzieć, ale zupełnie niespodziewanie jej słowa odniosły pożądany skutek. Brett stanął jak wryty. Patrzył na nią nieruchomymi, błyszczącymi oczyma i nic nie mówił.

- Co się stało? - spytała wreszcie, gdy jego milczenie stało się już trudne do zniesienia. - Co ja takiego powiedziałam?

Pokręcił głową i uśmiechnął się z wysiłkiem, jakby próbował

wymazać z pamięci jakieś okropne wspomnienia.

- Nic złego - odrzekł. - Ale rzeczywiście raz w życiu zachowałem się jak słoń w składzie porcelany. Tony, niestety, przyłapał mnie na tym. I chciał robić to co ja.

- Nie wątpię - rzekła spokojnie Sara. Łatwo było sobie wyobrazić, jak bardzo uśmiechała się Tony'emu perspektywa uczestniczenia razem z ojcem w prawdziwej awanturze. Jednak Sara nie może sobie pozwolić, żeby coś podobnego powtórzyło się w jej kuchni.

Brett najwyraźniej czytał w jej myślach.

- Nie obawiaj się - zapewnił. - Od tamtej pory zmieniłem się bardzo. Nie tłukę już talerzy.

Chyba mówi prawdę, pomyślała Sara widząc, jak jego twarz wypogadza się i odpręża. Krzesel też już pewnie nie łamie. Za to bez trudu łamie serca. Mężczyzna tak atrakcyjny jak Brett zawsze dostaje to, czego chce. Tony bezwiednie zdradził ojca, wymieniając imiona kobiet, z którymi przyłapał go w kuchni, ale lista cioc, z którymi romansował, była na pewno o wiele dłuższa. Sara pokręciła głową. Brett oczywiście wszystkiemu zaprzecza, ale czy nie jest to z jego strony tylko wykręt? Chwył taktyczny? Ma wprawę w uwodzeniu. Nie, naprawdę nie chciała wierzyć plotkom. Nie wiadomo czemu czuła się nimi dotknięta. Ale potrafiła oddzielać marzenia od rzeczywistości. Była przecież realistką. Świetnie wiedziała, że piękne pozory najczęściej mylą.

Zamknęła oczy. Skoro jednak zdawała sobie ze wszystkiego sprawę, dlaczego tak błogo czuła się w jego ramionach? Choć tak niewiele o nim wiedziała w gruncie rzeczy. Choć miała prawo podejrzewać, że widzi w niej łatwą zdobycz.'

Brett przysiadł na krawędzi białego kuchennego stołu.

- Saro - zaczął.

- Lepiej już idź - przerwała mu, zła na niego i na siebie.

- Hmm. - Uniósł brwi w sposób szczególnie ekscytujący. Wyciągnął rękę, palcami lekko, pieszczotliwie dotknął jej uda.

- Dlaczego, Saro? Dlatego, że cię pocałowałem? Przecież ty też chciałaś mnie pocałować. A może dlatego, że Tony nas zobaczył? On

naprawdę nie ma nic przeciwko temu, zapewniam cię.

- No jasne. Przywykł już do widoku ojca całującego się z paniami w kuchni. Myśli pewnie, że to normalne u dorosłych. Ale ja wcale nie chciałam całować się z tobą. Akurat ta pani nie ma zamiaru wpaść w sieci zastawione przez tego pana.

Gdy mówiła, Brett wstał. Nie uśmiechał się już. Przez jego twarz przemknął dziwny grymas pogardy i drwiny.

- Rozumiem. Więc sądzisz, że kiedy ludzie dorośli całują się z sobą, to nie jest to normalne? Ale dziękuję za szczerość. Szkoda tylko, że doszła ona do głosu późno - powiedział chłodno, bez gniewu. - Nie powinnaś wysyłać mylnych sygnałów, Saro. Któregoś dnia ta zabawa może cię drogo kosztować. Tak czy inaczej, idę sobie. Moja matka chciała, żebym zawsze zachowywał się jak dżentelmen. Nie mogę jej zawieść. Dziękuję za znakomitą kolację.

Sara patrzyła na niego w milczeniu. Wychodził od niej nie dżentelmen, ale zagniewany, tryskający energią mężczyzna. Najwspanialszy, jakiego знаła. Działał na nią jak nikt do tej pory. Patrzyła zafascynowana na jego szerokie plecy, wąskie biodra, długie nogi. Ale przecież...

Tony wpadł do kuchni jak bomba, żeby podziękować za kolację.

- Tata powiedział, że musimy już iść, bo psy i Fawcett, nie przyzwyczajone do życia w nowym miejscu, na pewno czują się samotne.

- Samotne? Tak, tak, oczywiście - wymamrotała Sara. - Miło mi, że kolacja ci smakowała.

Stała w oknie i patrzyła, jak goście powoli, trzymając się za ręce, idą w stronę furtki. Była zła na siebie, bo przyszło jej na myśl, że długie, ciemne włosy Brett'a mogły być kiedyś bardzo podobne do czupryny Tony'ego.

Włożyła brudne naczynia do zmywarki. Jedno po drugim, delikatnie. O wiele delikatniej niż zazwyczaj. Przesunęła ręką po ustach, jakby chciała zmasać pocałunek Brett'a. Na próżno. Jason nigdy tak jej nie całował. Był egoistą. Lubił tylko brać, nie dawać.

Potrząsnęła głową. Brett był na pewno taki sam. W końcu poszedł

za nią do kuchni pewny swego. Chciał skorzystać z jej poczucia osamotnienia. Jednak nie zachowywał się brutalnie. Wcale nie. Ten pocałunek był gorący i słodki. Poza tym nie mylił się. Sara też miała ochotę go pocałować.

Zamknęła drzwiczki zmywarki. W ekspresie nie było już kawy, więc mruknęła coś jeszcze pod nosem i poszła do pokoju, żeby spokojnie zastanowić się nad wszystkim.

Światło księżycza rzucało ciemne cienie na trawę. Siedziała przy oknie i wpatrywała się w noc. Telewizor był wyłączony. W ciszy słyszała szum fal, rozbijających się o nadbrzeżne skały. Noc tchnęła samotnością, pustką, wiecznością.

Czy wprowadziła Brettę w błąd? Gdy rozmawiali o psach i czasach dzieciństwa, była odprężona i spokojna, ale czuła, że rośnie między nimi napięcie. Napięcie wynikające z ich fizycznej bliskości. I z głodu, którego istnienia nie chciała przyjąć do wiadomości. On, oczywiście, zdawał sobie na pewno sprawę ze wszystkiego. Więc nie, nie wprowadziła go w błąd! - zdecydowała, gdy ogromna fala z hukiem uderzyła o brzeg. To tylko on, pewny, że żadna kobieta nie jest w stanie mu się oprzeć, uznał jej odmowę za obrazę własnej godności. Stąd gniew i gwałtowne oskarżenia pod jej adresem. Odezwał się w Bretcie męski egoizm. Nie mógł przeboleć porażki.

Sara skinęła zdecydowanie głową i nagle uświadomiła sobie, że jest już bardzo późno, a jutro musiała wstać wcześnie. Poszła do sypialni. Okna wychodziły na dom Brettę, więc dokładnie zasunęła zasłony. Tak, żeby nawet najmniejszy promyk porannego słońca nie przedostał się przez fałdy stalowoniebieskiego materiału.

Robiła tak co wieczór przez resztę tygodnia. Nie miała się jednak czego obawiać. Psy pozdrowiały ją głośnym szczekaniem, gdy wracała z pracy. Idąc do siebie głaskała je czule przez płot. Ale Brettę nie widziała ani razu. Sprawdzała też dokładnie, czy drzwi są dobrze zamknięte. Na wypadek, gdyby Fawcettowi znów przyszła ochota na małą wycieczkę. Sąsiad nie dawał znaku życia. Nie hałasował rankami. Sara doszła już nawet do wniosku, że jej obawy były przedwczesne. Mogła spać tak długo, jak długo chciała. Nawet do

jedenastej.

W sobotę o czwartej po południu wciąż była jeszcze bardzo zajęta domowymi porządkami. Do rodziców wybierała się na piątą. Wrzuciła właśnie ostatnią porcję prania do białego wiklinowego pojemnika, gdy usłyszała dziwne drapanie do drzwi kuchennych. Za drzwiami były tylko skały i morze, niełatwo było do nich dotrzeć. Skrobanie było niezbyt głośne, ale nie ustawało. Sara spojrzała nerwowo na zegarek i poszła sprawdzić, co się dzieje.

Mała bosa postać w krótkich spodniach i poplamionej błotem koszulce stała na wąskim schodku i wpatrywała się w nią wielkimi niebieskimi oczyma pełnymi łez.

- Tony! Co ty tu robisz? Dlaczego nie wejdiesz od frontu?

- Nie chcę, żeby tata widział. -Dlaczego?

- Bo nie rozmawiam z nim. W ogóle.

- O, Boże.

Sara szybko zamknęła za chłopcem drzwi. Nie bardzo wiedziała, co robić z tym małym, zdecydowanym na wszystko uciekinierem, który w tej chwili tak bardzo przypominał ojca;

- No, mów. Dlaczego z nim nie rozmawiasz? - spytała, nie będąc wcale pewna, czy chce znać odpowiedź.

- Bo zabrał Fawcetta do kliniki na operację. A ja nie chciałem, żeby go tam zabierał. Potem powiedział, że weźmie mnie jutro do Game Farm. A teraz mówi, że nie może.

Łzy obeschły, gniewna mina wcale jednak nie zniknęła.

- O, Boże - powtórzyła Sara. - A co się stało Fawcettowi?

- Nic - odburknął Tony ze złością. - Nic mu nie było. A teraz ma szwy na brzuszku i...

-Szwy? Nie rozumiem...

- I to nie jest w porządku - ciągnął Tony. — Tata powiedział, że Fawcett nie jest już małym dzieckiem i że jest sfrus... - zaciął się na chwilę i dokończył - sfrustrowany.

- Sfrustrowany? - powtórzyła Sara.

- Tak, bo miał właśnie... - Tony zmarszczył czoło i szukał w pamięci właściwego słowa - na-pię-tny romans! - Wykrzyknął z

triumfem. - Tata powiedział tak cioci Elise. Ale nie wiem, o co mu chodziło. A ty wiesz?

Sara odwróciła się i zaczęła nagle szukać czegoś gorączkowo w lodówce.

- Wiesz? - pytał natarczywie.

Już nie mogła opanować śmiechu, ramiona trzęsły się jej coraz widoczniej.

- Sara! - Chłopiec gotów był za chwilę śmiertelnie się obrazić także na nią.

Zdobyła się na nadludzki wysiłek. Wzięła głęboki oddech, opanowała drżenie ramion i wyjęła z lodówki karton z sokiem jabłkowym.

- Może miałbyś ochotę, Tony? - spytała zmienionym głosem.

- Tak, proszę - odrzekł automatycznie i wyciągnął rękę. - Ale ciągle nie powiedziałaś mi, o co chodziło tacie. Co właściwie było z Fawcettem i z jego napięt-nym romansem?

- Idź do pokoju - odrzekła wymijająco. - Przyjdę tam za chwilę.

- Ale nie zadzwonisz do taty, prawda?

- Nie, na razie jeszcze nie. Chcę zatelefonować do moich rodziców.

- Jak tak, to w porządku.

Tony pobiegł do pokoju. Sara mogła więc spokojnie wytłumaczyć rodzicom, że spóźni się na kolację z powodu nieoczekiwanej wizyty młodego człowieka.

Była pewna, że Tony nie zapomni o kłopotach Fawcetta i nie myliła się.

- Teraz powiedz mi o Fawcecie - powiedział tonem nie znoszącym sprzeciwu.

- Ale czy ojciec ci już tego nie wytłumaczył? - spytała.

- Chyba chciał, ale kiedy wróciliśmy do domu z Fawcettem, zadzwoniła ciocia Elise. No to uciekłem.

- Tak. Rozumiem - rzekła Sara. Żałowała w duchu, że malec nie wybrał się z tym pytaniem do państwa Mackenzie, tylko przyszedł właśnie do niej. - Twój ojciec widział, że wychodzisz?

- Wyciągał właśnie Sparky z kwietnika, zrobiła tam wielką dziurę

w ziemi, kiedy się wymknąłem - powiedział z dumą.

- Rozumiem - powtórzyła Sara.

Powinna była zatelefonować do Bretta i uspokoić go. Ale skoro nie zrobiła tego ód razu, nie uczyni tego także teraz. Pięć minut niepokoju o syna dobrze mu zrobi. Nie wywiązał się z danej dziecku obietnicy. Postąpił nieładnie. Pewnie wybierał się na spotkanie z tajemniczą ciocią Elise. Przecież to właśnie z nią całował się w kuchni.

- A co się tyczy Fawcetta - podjęła Sara - twojemu tacie chodziło chyba o to, że on... no jak to powiedzieć... zakochał się. Ale nie miał żony i dlatego źle się czuł. Teraz, gdy poddał się operacji, już nigdy nie będzie czuł się źle.

Zamknęła oczy, modląc się w duchu, żeby Tony nie zadawał już więcej pytań.

- Tata też nie ma żony - usłyszała. - Czy to znaczy, że on też poczułby się lepiej, gdyby poddał się operacji?

- Ja... ja... - krztusiła się Sara, nie mogąc już dłużej opanować śmiechu. Na szczęście nie musiała odpowiadać. Przez otwarte drzwi dobiegł jej uszu znajomy męski głos.

- Nie, Tony. To wcale tego nie oznacza. Chociaż może Sara chciałaby, żebym poddał się operacji razem z Fawcettem. - Brett spojrzał na nią wyraźnie rozbawiony. Patrzyła na niego bez słowa. - A teraz, Saro, bądź łaskawa wyjaśnić mi, co skłoniło cię do dyskusowania z moim synem na temat miłości.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Może wstąpisz na chwilkę? - mruknęła pod nosem. Wiedziała doskonale, że jeśli będzie miał na to ochotę, wejdzie bez zaproszenia. Zanim znalazła się w przedpokoju, żeby mu otworzyć, już rozległo się walenie do drzwi.

- A więc - powiedział wchodząc.

- A więc co? - spytała Sara. Zmarszczył brwi i oparł się o ścianę.

- Nie udawaj niewiniątka, Saro. Co tu robicie z To-nym? I dlaczego właściwie rozmawiacie o sprawach... no, b różnych takich...

- Sprawach osobistych? - dokończyła Sara pośpiesznie.

- Właśnie. Nawet bardzo osobistych.

W oczach Bretta nie było tym razem wesołych iskierek. Głos drżał mu lekko.

- Cóż, po pierwsze, musisz wiedzieć, że Tony przyszedł tu z własnej woli, nie porwałam go. A po drugie, nie rozmawialiśmy o tobie, ale o Fawcecie.

Twarz Sary zaróżowiła się trochę.

- Nie mam innego wyjścia. Muszę przyjąć to wyjaśnienie - przyznał Brett. - Chociaż sugestia mojego syna nie przypadła mi do gustu.

- Jaka znowu sugestia? - odezwał się Tony, który do tej pory nachmurzony siedział pod oknem.

Brett oderwał wzrok od Sary i spojrzał w sufit.

- Nieważne. Porozmawiamy o tym później. O Fawcecie też porozmawiamy później.

- Ale Sara właśnie zaczęła...

- Powiedziałem, że pomówimy o tym później! - zakończył Brett.

Tony skulił się na krześle i zaczął rytmicznie kopać nogą w ścianę.

- Przestań natychmiast! - powiedział ostro Brett.

Tony przestał. Ojciec spojrzał na niego z dezaprobatą i pokręci głową. Zachowanie Tony'ego wyprowadziło go z równowagi. Sara poczuła nagły przyływ sympatii do tego wspaniałego mężczyzny.

Najwyraźniej starał się być dobrym ojcem.

- Nic się nie stało - powiedziała spokojnie. - Ściany są solidne.

- Zauważyłem. Ale nie ma powodu ich nadwerężyć.

- Tak, ale myślę... - głos uwiązał jej w gardle.

- Co takiego, Saro?

Powiedział to tak, że na wszelki wypadek odstąpiła od niego o krok.

- Myślę, że Tony jest zły nie tylko z powodu Fawcetta. Podobno obiecałeś mu wizytę w Game Farm...

- Tak, ale potem musiałem zmienić plany. Życie jest pełne niespodzianek. Nie wszystkie są miłe. Im prędzej Tony to zrozumie, tym lepiej.

Mówił takim tonem, że Sara poczuła, jak wzbiera w niej złość.

- To nieuczciwe z twojej strony, Brett - naskoczyła na niego. -

Tony ma prawo czuć się zawiedziony. To jeszcze dziecko. I powinien być dla ciebie najważniejszy. Żadne umówione spotkanie nie może stanowić dla niego konkurencji.

- Umówione spotkanie? O czym ty, u licha, mówisz?

- O cioci Elise - odparowała Sara.

- Ach, rozumiem.

Ręce wepchnął do kieszeni. Kołysał się do przodu i do tyłu, patrząc na nią z uśmiechem.

- Co rozumiesz? - spytała Sara.

- Nie domyślasz się? - spojrzał na nią ostro. - A może rzeczywiście nie wiesz. Jeśli tak, to znaczy, że uczestniczę w całkiem obiecującej scenie zazdrości. Jakie to miłe. Zwłaszcza, że już prawie straciłem wszelką nadzieję.

- Och! - krzyknęła Sara, a jej oczy zwięziły się jak szparki. - Jesteś wprost niewyobrażalnie próżny, jesteś...

- Męskim egoistą i szowinistą? - podpowiedział.

- Tak, to też. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Nie mówiąc o tym, że jesteś niewiarygodnie głupi. Dlaczego jakakolwiek kobieta miałaby być o ciebie zazdrosna? Egocentryczni dranie nie są w modzie.

Z każdą chwilą była coraz bardziej zła, a Brett patrzył na nią i

uśmiechał się spokojnie.

- Masz zamiar znów całować się z nią, tato? Kiedy ciocia Elise na ciebie krzyczy, zawsze w końcu się całujecie - powiedział nadal naburmuszony Tony.

Brett przeciągnął palcem po wardze.

- Nie, nie sądzę - odparł sucho. - I to dla mojego własnego dobra. Ta kocica może mnie podrapać, gdybym spróbował. A poza tym - zrobił małą przerwę i dodał już weselej - a poza tym już dawno nie całowałem się z ciocią Elise.

- Karygodne zaniedbanie, które już wkrótce, mam nadzieję, zostanie naprawione - burknęła rozdygotana Sara.

- Nie sądzę - stwierdził krótko Brett. Sara wzruszyła ramionami.

- Poza tym, to nie twoja sprawa - dodał.

- Tak, rzeczywiście - zgodziła się chłodno. - Tony to też nie moja sprawa. Przyszedł tu, bo ty go zawiodłeś i upokorzyłeś.

- Ani go nie upokorzyłem, ani nie zawiodłem. - Brett zacisnął usta.

- Wypełniam zobowiązanie wobec starego przyjaciela, mojej dawnej recepcjonistki, która potrzebuje pomocy przy przeprowadzce. Jej narzeczony ją rzucił, więc nie może na niego liczyć. Ale zapewniam cię, że Tony pojedzie do Game Farm. Tyle tylko, że nie jutro, a w przyszłą sobotę.

- Ale wtedy może padać - zaniepokoił się Tony. Po wielu dniach gorących i słonecznych przyszła pora na deszczową jesień.

- Do tej pory zawsze mieliśmy szczęście. Może i tym razem nam się uda - rzekł Brett. Nie był już zdenerwowany, w jego głosie słychać było raczej znużenie.

Sara poczuła, że mu współczuje.

- Zabiorę Tony'ego - usłyszała własne słowa. - To znaczy zabiorę go, jeśli pozwolisz.

- Nie żartuj. Dlaczego miałabyś go zabrać?

- A dlaczego nie? Nie mam nic ważniejszego na głowie - powiedziała kwaśno i nie bez odrobiny uszczypliwości. - Tony ma rację. W przyszły weekend rzeczywiście może padać.

- Nie, nie ma mowy.

- Tato! - krzyknął Tony. - To niesprawiedliwie. Brett przeciągnął dłońią po głowie.

- Życie rzadko kiedy bywa sprawiedliwe, Tony - powiedział zmęczonym głosem.

- Ale powinno być takie zawsze - nalegał syn. - Sara powiedziała, że ze mną pojedzie.

- O, Boże. - Brett mruknął pod nosem. - Że też zawsze musisz wszystko skomplikować, Saro.

- Myślałam, że tym razem wszystko uprosczę - odparła, wpatrując się w oparcie fotela.

- Tak, chyba rzeczywiście masz rację.

Brett sprawiał wrażenie zakłopotanego. Czuł się nieswojo. Chciał przekonać Sarę i Tony'ego, że rozwiązanie, które oboje uważają za najlepsze, w gruncie rzeczy nie jest dobre. Ale nie znajdował argumentów. Żałował, że w ogóle tu przyszedł.

- Tato, proszę - piszczął Tony, czując, że serce ojca stopniowo mięknie.

Szerokie ramiona Bretta poruszyły się nieznacznie.

- No, dobrze - zgodził się w końcu. - Niech wam będzie. Jestem przegłosowany. Weź go, Saro, jeśli chcesz.

- Dzięki - syknęła Sara. - Bardzo jesteś hojny.

- Przepraszam - uśmiechnął się lekko. - Zdaje się, że nie zachowałem się grzecznie. A ty przecież robisz mi uprzejmość.

- Drobiazg. Nie musisz być grzeczny. I bez tego masz sporo wdzięku.

- Dziękuję.

- Nie ma za co.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że ta rozmowa nie powinna była toczyć się w obecności Tony'ego.

- Czy zawsze prowadzisz kłótnie przy Tonym? - spytała chłodno.

- Może się zdziwisz, ale prawie nigdy tego nie robię. W obecności Tony'ego kłócę się tylko z tobą.

- Aha. Czarujący jak zawsze, rozumiem. - Uśmiechnęła się z ironią.

- Od piętnastu minut miałam być u rodziców, więc jeśli nie masz nic

przeciwko temu, byłabym wdzięczna, gdybyś...

- Ależ oczywiście. - Brett pokiwał głową.

- Chodź, Tony, idziemy. Na dzisiaj Sara ma nas już dość.

Umówili się, że przyprowdzi Tony'ego jutro o dziesiątej. Kiedy podszedł do drzwi, odwrócił się nagle.

- Dziękuję, Saro - powiedział z tym swoim zniewalającym uśmiechem. - Naprawdę, bardzo ci jestem wdzięczny. W pierwszej chwili, po naszym spotkaniu u ciebie, skorzystanie z twojej propozycji wydawało mi się niestosowne. Pomyślałem, że z pewnością byłby pewien dystans w stosunkach między nami. Bo nie jestem ani męskim szowinistą, ani głupcem. To tylko ty zachowujesz się prowokująco. Więc cieszę się, że choć raz mnie się udało sprowokować ciebie.

Dotknął palcem policzka Sary. Uśmiech na jego ustach zamienił się w grymas. Położył rękę na głowie Tony'ego i powędrował wraz z synem w stronę furtki spokojnym, niespiesznym krokiem. Sara miała ochotę rzucić czymś w niego na pożegnanie.

O, do diabła! - pomyślała. Za kogo on się uważa? Ona zachowuje się prowokująco? A to dopiero! I jest zazdrosna o jakąś recepcjonistkę! Spokojnie, Saro, podpowiedział głos rozsądku. Spokojnie, Brett nic nie jest ci winny. Jedziesz z Tonym do Game Farm, bo sama to zaproponowałaś. I dlatego, że nie chciałaś patrzeć na smutną minę zawiedzionego chłopca. Ale przecież nie robisz tego dla Bretta, prawda? Pewien dystans, którego sam sobie życzył w stosunkach między wami, już wkrótce będzie obowiązywał. Jak najściślej.

Weszła do sypialni. Zaplamione dzinsy wrzuciła do prania. Wzięła prysznic, włożyła nową parę spodni i szybkim krokiem wyszła na dwór, do samochodu.

Jechała po pustej drodze prowadzącej do miasta. Jak zwykle, nie przekraczała dozwolonej prędkości. Nie proponuje już nigdy sąsiadowi opieki nad dzieckiem, zrobiła to pierwszy i ostatni raz. Jeśli ma ochotę na amory z „ciocią” Elise, musi radzić sobie sam.

- Jesteś zgrzana i czymś się martwisz - zauważyła matka, gdy Sara

przestąpiła próg domu rodziców. - Chyba to nie z powodu twego sąsiada?

Sara nie była pewna, czy matka mówi to z obawą, czy z nadzieją.

- Nie, skądże - odparła i swój jasnoniebieski sweter rzuciła na kwieciste pokrycie kanapy Clary. - Właśnie wychodziłam do was, kiedy przyszedł po Tony'ego. Dlatego spóźniłam się.

Uśmiechnęła się szeroko, bo nie miała zamiaru mówić o tym, co się stało. Gdyby powiedziała, Clara z pewnością radziłaby jej albo zamążpójście, albo zerwanie wszelkich kontaktów z Brettem. Wybór któregoś z tych dwóch wariantów zależał wyłącznie od tego, co ostatnio mówiło się w mieście.

- A dlaczego pytasz? Czy słyszałaś o nim coś nowego? - spytała Sara bezceremonialnie, gdy wszyscy troje zasiedli do stołu.

- Nie. - Clara pokręciła głową. - Bardzo to wszystko dziwne, bo nikt już nie jest pewny, czy jego żona popełniła samobójstwo i czy między nim a tą jego recepcjonistką, Elise, coś zaszło.

- Och, to fatalnie... - mruknął George.

- George, jak możesz... - syknęła Clara i rozpoczęła długą mowę, z której wynikało, że ona wcale nie interesuje się plotkami.

Sara odwróciła wzrok i popadła w zadumę. A więc to prawda. Ciocia Elise pracowała u Brett'a jako recepcjonistka. I to ona odciągnęła go od żony... Ależ nie, to niemożliwe. Nie wyglądał na mężczyznę, którego łatwo uwieść. To on sam wybierał sobie kobiety. Poczowała współczucie dla matki Tony'ego. Nie widziała nawet, jak jej syn wyrósł, niedługo mogła się nim cieszyć. Jaka ona była, ta nieszczęśliwa kobieta? Piękna i smutna? Czy z rezygnacją przyjmowała dowody niewierności męża? Czy walczyła o niego zawzięcie jak lwica aż do chwili, gdy życie stało się nie do zniesienia? Czy, pomagając Brettowi podtrzymywać związek z Elise, nie sprzeniewierza się przypadkiem pamięci jego żony? Sara rozumiała doskonale, co to znaczy wiarołomność. Z drugiej jednak strony, trudno wykluczyć, że plotki były tylko plotkami.

- Idiotka - szepnęła pod nosem.

- Co, kochanie? - zacięła się matka. Przerwała swój długi

wywód i skierowała wzrok na córkę.

- Nic - wymamrotała Sara. - Zapomniałam tylko powiedzieć Angeli o czymś ważnym.

Właściwie nie było to kłamstwo. Naprawdę zapomniała przekazać wiadomość o tym, że dzwonił ktoś z Wydziału Podatkowego. I że będzie telefonował w poniedziałek.

- Hmm - bąknęła Clara.

Sara wyszła od rodziców wcześniej niż zwykle i pojechała do domu.

Minęło piętnaście po dziesiątej, a Bretta i Tony'ego wciąż nie było. O wpół do jedenastej przestała już na nich czekać. Bretta najchętniej usmażyłaby na wolnym ogniu. Jeśli zmienił zdanie, mógł przynajmniej dać znać. Korona by mu z głowy nie spadła.

Sara burczała pod nosem to i owo i właśnie siadała do stołu, by zająć się ciągle nie skończonym modelem fregaty „Victory” admirała Nelsona, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

- Jesteśmy, Saro - oświadczył Tony głosem mocno podnieconym. - Fawcett znów nam uciekł. Zgadnij, gdzie go znaleźliśmy.

Detal fregaty wypadł Sarze z ręki. Wstała i otworzyła drzwi. Gdy zobaczyła Tony'ego, tulącego do piersi mały biały włochaty tobołek, przestała myśleć

o modelach „Victory” i admirałe Nelsonie.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedział Brett, który stał za plecami syna. - Znaleźliśmy Fawcetta w łazience na podłodze. Zniszczył kilka rolek papieru toaletowego.

- Nie dałeś jej zgadnąć, tato - mruknął Tony.

- Nie mam ochoty na zgaduj-zgaduję.— powiedział krótko Brett. - I nie sądzę, żeby Sara miała ochotę się w nią bawić.

- Źle wam się zaczął dzień? - spytała, widząc zdenerwowanie na twarzy Bretta.

- Można to tak nazwać.

- No bo Sparky zrobiła wielką dziurę w kocu. A Pickles zjadł tacie nowe gatki - oznajmił uszczęśliwiony Tony.

- Nic by się nie stało, gdybyś nie wpuścił psów do domu. Tyle razy

cię prosiłem, żebyś tego nie robił.

I gdybyś Fawcetta zamknął w klatce. O co cię też prosiłem. - Brett zrobił srogą minę. - Bądź pewien, że za karę nie pojechałbyś do Game Farm, gdybym tylko chciał narazić starego, dobrego kumpla na twoje towarzystwo.

- Na szczęście, to ja będę miała Tony'ego na głowie - powiedziała Sara sucho, śmiejąc się w duchu z tego, co niesforne psy zrobiły z bielizną Bretta.

- Sama tego chciałaś - odburknął. - No już dobrze. Wycofuję to. Spadłaś mi z nieba, a ja okazuję się niewdzięcznym łobuzem.

Nie wyglądał na człowieka zakłopotanego. Był raczej źle wychowany. Sara zbierała się, żeby powiedzieć mu, co myśli o takim zachowaniu, gdy nagle obrócił się na pięcie i szybko poszedł w stronę małej ciężarówki zaparkowanej przy drodze. Zapalił silnik i ruszył w kierunku Port Angeles.

Wyprawa do Game Farm udała się. Tony był zachwycony, że mógł przez cały dzień oglądać zwierzęta większe i groźniejsze niż psy i fretki. Jak na niego, zachowywał się grzecznie, co nie znaczy wcale, że dał Sarze choć przez chwilę odpocząć. Żałowała, że nie ma dodatkowej pary rąk, nóg i oczu. Byłoby jej wtedy łatwiej go upilnować. Nigdy przedtem nie była w Game Farm. Wiedziała tylko, że to miejsce powstało dzięki Lloydowi Beebe, który założył tu przytułek dla zwierząt, biorących niegdyś udział w filmach Walta Disneya. Z równą przyjemnością jak Tony oglądała więc niedźwiedzie, wilki, kuguary, żbiki i plejadę innych znajomych z ekranu. Zabawne, ale ten chłopiec, którego poznała przecież tak niedawno, wydawał się jej bardzo bliski.

W głębi duszy rosło w niej bowiem niezadowolenie z życia, które wiodła do tej pory. Życia bez własnych dzieci, w zimnym, ascetycznie urządzonej mieszkaniu, wśród modeli statków. Było jałowe. Widziała to coraz wyraźniej. Gdy jednak w pewnej chwili tylko cudem powstrzymała Tony'ego przed podaniem ręki groźnie wyglądającej wilczycy, a następnie w ostatniej chwili uniemożliwiła mu wspięcie się po siatce oddzielającej drapieźniki od

zwiedzających, pomyślała, że bezdzietność też ma swoje zalety.

Tony koniecznie chciał, żeby w drodze powrotnej zajrzeli do Hurricane Ridge, Zgodziła się chętnie. Obiecała Brettowi, że będą z powrotem najpóźniej o siódmej. Spojrzała na zegarek, mieli jeszcze sporo czasu. Wystarczająco wiele, aby przespacerować się po górach, łąkach i wrócić do domu.

Jazda po krętych drogach nie należała do najłatwiejszych. Sara jechała spokojnie. Nie widziała powodu, żeby się spieszyć. Spacerowali ścieżką pięknie położoną wśród drzew i wrócili na parking tuż przy stromym urwisku skalnym nad morzem; nieco na południe od Port Angeles. Bez pośpiechu wsiedli do samochodu. Tony zapiął pasy. Sara popatrzyła jeszcze przez szybę na obłoki, ocierające się o pokryte lodem szczyty Gór Olimpijskich, i uśmiechnęła się. Wiał lekki wiatr. Powietrze było przejrzyste, świeże. Miło było oddychać. Przekręciła kluczyk w stacyjce. Silnik nie zaskoczył. Zamknęła oczy i spróbowała jeszcze raz.

- Co się dzieje? - zapytał Tony.
- Nie chce zapalić.
- Oho! To znaczy, że się spóźnimy.
- Niewykluczone.
- Tata dostanie szału.

W głosie Tony'ego nie było niepokoju. Stwierdził fakt. To na Sarę spadała odpowiedzialność za przywiezienie go do domu o umówionej porze.

Miała ochotę zakląć siarczyście, ale Tony przyglądał się jej uważnie, nie mogła więc sobie na to pozwolić. Wydała tylko kilka nieartykułowanych, złowrogich pomruków.

- Może w czymś pomóc? - zainteresował się człowiek w okularach, którego samochód stał zaparkowany obok volkswagena Sary.

Nie wyglądał na mechanika, raczej na młodego uczonego. Sara nie miała wyjścia. Z pewnością wiedział więcej o samochodach niż ona. Skinęła głową i uprzejmie podziękowała.

Pół godziny później okularnik, który okazał się jednak mechanikiem, wy dostał się spod samochodu z triumfalną miną.

- Uratował nas pan, naprawdę! - krzyknęła Sara.
- Miło mi, że mogłem być pani pomocny - odpowiedział, wbijając wzrok w jej dzinsy i sweter.

- Czy mogłabym się jakoś odwdzięczyć?

- Być może - odpowiedział, cedząc każde słowo.

Zrozumiała w lot, co miał na myśli.

- Idzie mi o wdzięczność... finansową - dokończyła szybko.

Mechanik pokręcił głową przecząco i roześmiał się. Sara podziękowała mu raz jeszcze i nie czekając, aż ponowi propozycję, szybko wsiadła do samochodu. Po chwili mknęli już z Tonym krętymi drogami ku cywilizacji.

Punkt wpół do ósmej zatrzymali się przed domem Sary. Tony odpiął pas i wyskoczył z samochodu. Sara wyłączyła silnik, wysiadła i właśnie zamierzała zamknąć drzwiczki, gdy potężny męski głos bez trudu przebił się przez szczekanie psów i okrzyki radości, które wydawał Tony.

-Bardzo ładnie, nie ma co! - zagrzmiał Brett. - Więc jednak zdecydowałaś się wrócić do domu, Saro? -zapytał, patrząc jej groźnie prosto w oczy. - Czy tak trudno było zatelefonować? - dodał cierpko.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Co takiego? - Sara była kompletnie zaskoczona. - O co ci chodzi, Brett? Mówiłam, że wrócimy koło siódmej. Spóźniliśmy się tylko pół godziny.

- Czyżby? - rzekł półgębkiem, nie uspokoiwszy się wcale. - Pewnie ci nawet nie przyszło do głowy, że mogę niepokoić się o Tony'ego. Zostawiłem Elise z kuchnią pełną potłuczonego szkła, wróciłem do domu licząc, że będziecie wcześniej, no i spędziłem równo godzinę i kwadrans zastanawiając się, co u licha zrobiłaś z moim dzieckiem.

Położył wielką dłoń na furtce, zagroził jej drogę. Nie mogła zrobić ani kroku, jeśli nie chciała znaleźć się w jego ramionach. Miała ochotę dać mu w twarz. Tego było już za wiele. Powstrzymała się w ostatniej chwili. Nie, pomyślała, nie będę zachowywała się jak nastolatka tylko dlatego, że sąsiad ma maniery goryla. Zresztą to złe porównanie. Goryle uchodzą za zwierzęta łagodne, tymczasem w bestii, która ryczała na nią nie było nawet śladu łagodności.

- Bardzo mi przykro, że się niepokoiłeś — odrzekła chłodno - ale nie sądzisz, że trochę histeryzujesz? Naprawdę ani nie miałam, ani nie mam ochoty porywać ci syna. Po prostu na szczycie Hurricane Ridge popsuł nam się samochód. I nie wypadało mi zostawić młodego człowieka, który uprzejmie zaofiarował nam się z pomocą, i szukać telefonu.

Brett najpierw westchnął, a później parsknął śmiechem.

- Rozumiem. A kiedy przyszło ci na myśl, że możecie się spóźnić?

- Wróciłam, jak tylko mogłam najprędzej.

- Nieprawda - wtrącił Tony, wyrywając się psom. - Moglibyśmy być wcześniej, gdybyś jechała szybciej. Ale nie chciałaś łamać przepisów.

Brett odwrócił się i posłał gniewne spojrzenie synowi, który nie przejął się tym zbyt. Sara pochyliła głowę, żeby skryć rozbawienie. Brett przeżywał konflikt wewnętrzny. Najwyraźniej nie wiedział, czy zganić ją za to, że jechała za wolno, czy pochwalić, że

trzymała się przepisów ruchu drogowego. Dylemat ten trudno było rozwiązać, zwłaszcza w obecności To-ny'ego.

- Jeśli oddawałabyś ten swój wrak częściej do przeglądu, nie miałabyś z nim kłopotów - wymamrotał, próbując wybrnąć z niezręcznej sytuacji. - Ale, ale. A co, u licha, robiliście na Hurricane Ridge?

Ciągle stał tak blisko Sary, że czuła ciepło jego ciała.

- Chciałam ci zrobić przysługę. Myślałam, że może chcesz mieć więcej czasu dla siebie. A gaźnik może się zapchać w każdym samochodzie. Tak mi powiedział uczynny mechanik.

- Hmm.

To „hmm” brzmiało już mniej agresywnie. Sara spojrzała ukradkiem na Brett. Nie był już tak pewny swego, jak przed chwilą.

-No, skoro przesłuchanie skończone, będę zobowiązana, jeśli zejdiesz mi z drogi.

- Przesłuchanie... O, do diabła!

Cofnął się tak gwałtownie, że Sara o mało nie upadła.

-Dobranoc, Brett - powiedziała chłodno, żałując jednak w duchu, że tak szybko spełnił jej prośbę. Grając nadal rolę „panny z lodu” przeszła obok niego z dumnie podniesioną głową i popchnęła furtkę.

Była już prawie dziesiąta, kiedy usłyszała pukanie do drzwi. Niepewne, ciche, delikatne. Przebrała się już w nocną koszulę. Zakłęta w duchu. Nie miała ochoty na gości, zwłaszcza że chciała jeszcze chwilę pomajsterkować przy modelach. Cóż jednak było robić. Wstała, poszła do przedpokoju i otworzyła drzwi.

- No i jak tak można! - usłyszała od progu. - Nawet nie spytałaś, kto tam. A gdybym był poszukiwanym przez policję gwałcicielem, to co wtedy?

Brett stał w drzwiach z rękami skrzyżowanymi na piersiach. I choć nie wyglądał na gwałciciela, Sara mocniej zacisnęła pasek nocnej koszuli.

- Jego już dawno znaleźli. Jeszcze cztery lata będzie siedział w więzieniu.

Pokręcił głową.

- Naiwniaczka - szepnął cicho. - Naprawdę powinnaś być bardziej ostrożna.

- Czyżby? Pozwól sobie przypomnieć, że jedynym mężczyzną w okolicy, który mógłby mi zagrażać, jesteś ty. Dziś myślałam już, że mnie rozszarpiesz na drobne kawałki. Gdzie Tony?

- Kiedy się uśmiechasz, jesteś bardziej podobna do ludzi - zauważył z wdziękiem. - Powinnaś częściej się uśmiechać, Królowo Śniegu.

Sara natychmiast spoważniała.

- A do licha! Wróciła diablica - mruknął. - Mogę wejść na chwilę, skoro już jestem?

-Po co?

-Żebyś nie zamarzła, stojąc tak w progu w tym ekscytującym kawałku jedwabiu. I jeszcze dlatego, że chciałbym porozmawiać:

-Skąd pewność, że ja mam ochotę rozmawiać z tobą? - zapytała.

- Wcześniej czy później będziesz musiała. Więc równie dobrze możemy porozmawiać teraz.

- Zawsze musisz postawić na swoim? - spytała tonem lodowatym, ciągle nie mając zamiaru wpuścić go do środka.

- Nie, ale tym razem bardzo mi na tym zależy. Objął ją wpół, podniósł do góry, wniósł do przedpokoju i piętą zamknął za sobą drzwi.

-A więc - powiedział, stawiając Sarę na ziemi i popychając lekko w głąb pokoju - pomówmy o interesach.

Sari znów ścisnęła pasek i poprawiła zakładki koszuli na biuście.

- Nie o takie interesy mi chodzi - zapewnił. - Choć chętnie bym je z tobą ubił - przyjrzał się dokładnie sylwetce Sary, w neglizju zaznaczającej się wyraźnie i kusząco. - Powinnaś mieć to na sobie zawsze. Zamiast tej twojej zbroi.

- Nie wiem, czy mój zwierzchnik byłby zadowolony - syknęła Sara.

- Więc jest durniem.

- Wcale nie jest durniem - zachnęła się Sara. - Jest wyjątkowo inteligentną kobietą.

- Ach tak, oczywiście. Niezawodna pani Baddeley. Zapomniałem.

- Jeśli nie dajesz mi spać tylko dlatego, żeby krytykować moją garderobę, to...

- Nie, nie. Bardzo mi przykro. Ale niektóre rzeczy powinny być powiedziane głośno.

- Więc powiedz, co masz do powiedzenia i wynoś się - rzekła stanowczo.

Brett oparł się o poręcz krzesła i uśmiechnął. - Przyszedłem prosić o wybaczenie - oznajmił niepewnie, głaszcząc oparcie krzesła.

- W porządku, bardzo mi miło. Wybaczam. A teraz idź już sobie, do diabła.

- Ojej - skrzywił się Brett. - Nie chcesz wiedzieć, dlaczego proszę o wybaczenie?

- Nie. Choć domyślam się, że może to mieć jakiś związek z tym pokazem złego wychowania, jaki urządziłeś dziś wieczorem.

- Stawiasz to bardzo ostro, ale masz rację - skrzywił się znowu. - To był rzeczywiście pokaz złego wychowania. Przepraszam.

Sara przyglądała mu się uważnie. Najwyraźniej miał wyrzuty sumienia. Ale do tej pory nigdy nie była pewna, co myśli naprawdę. Poza tym wiedziała, także z własnego doświadczenia, że większości mężczyzn chodzi przede wszystkim o własną wygodę. Warto było zaryzykować uroczyste przeprosiny, jeśli w przyszłości mogło to przynieść wymierne korzyści. Opiekunka do dziecka i kucharka w jednej osobie to rzecz nie do pogardzenia.

Sytuacja stawała się coraz bardziej niejasna, ale było w niej coś pociągającego; po prostu Brett był pociągającym mężczyzną.

- Już mówiłam, że przyjmuję twoje przeprosiny - powiedziała głośno. - A teraz, proszę, idź już.

- Jeżeli nalegasz... - odrzekł, bez pośpiechu podnosząc się z krzesła.

Jednak zamiast odejść przysunął się do niej i ujął drobną rękę w swe duże dłonie.

- Sara, nie lubię przeproszać i z reguły nie robię tego. Ale dziś jest dzień wyjątkowy.

- To ładnie z twojej strony - szepnęła Sara. Nie cofnęła ręki. - Ale naprawdę nie zależy mi na przeprosinach, Brett.

- Nie obchodzi mnie, czy ci na nich zależy, czy nie
- odparł zniecierpliwiony. - Chcę ci wszystko wyjaśnić.
- I przeprosić za wszystko?

- Coś w tym rodzaju. Więc słuchaj, młoda damo. Gdyby przytrafił ci się taki dzień, jaki dzisiaj miałem, może zrozumiałabyś, dlaczego tak trudno było mi zapanować nad sobą. A zaczęło się od tego, że Tony pozwolił psom pożreć dywan i moje...

- To już wiem! - przerwała pośpiesznie.

- Potem ten cholerny kawałek futra nie dość, że znów nam uciekł, to jeszcze narobił bałaganu w łazience. Przez to spóźniłem się do Elise, a ona z miejsca zrobiła mi awanturę. Następnie przez kilka godzin przewoziłem jej graty z jednego miejsca w Port Angeles na drugie. Oczywiście, niczego nie pozwoliła wyrzucić. Wszystko na mojej głowie, bo ktoś, kto miał jej pomóc oprócz mnie, wcale się nie zjawił. Wozilem więc potulnie tysiące pudeł i pudełek, jednak kiedy kazała mi przewieźć na nowe miejsce trzy ledwie żywe drzewka kauczukowe i uschniętą begonię... nie wytrzymałem.

Ekspłodowałem. Pokłóciliśmy się potwornie. Na dodatek w pewnym momencie upuściłem karton ze szkłem, które rozprysnęło się w kuchni. Tego było już za wiele. Wszedłem i trzasnąłem drzwiami, a w drodze do domu zapłaciłem jeszcze mandat za zbyt szybką jazdę. Czekałem na was długo, więc kiedy przyjechaliście, musiałem się na kimś wyładować. Oberwało się tobie. To tyle. Chciałem, żebyś wiedziała o wszystkim. Ciągle ścisnął jej rękę i uśmiechał się przy tym tak żałośnie, że miała ochotę pogłaskać go po policzku. Musiał wyczytać coś z wyrazu jej oczu, bo uściśnął też drugą rękę Sary.

- Wybaczysz mi? - spytał uroczyście. - Zachowałem się wobec ciebie strasznie.

Nie można było gniewać się na niego długo.

- Naprawdę kazała ci zabrać uschniętą begonię? - spytała drżącym głosem.

- I trzy oklapłe drzewka kauczukowe - powiedział.
- Nie znasz Elise.

Nie miała ochoty poznać Elise. Brett usłyszał w głosie Sary

stłumiony śmiech i sam się rozpogodził.

- Więc widzisz, musisz mi wybaczyć.

- Nie znajduję najmniejszego powodu, dla którego, miałabym to zrobić.

- Chcesz, żebym wiał się przed tobą w prochu i pyłe, prawda? Ale tego nawet dla ciebie nie zrobię.

- Wielka szkoda - odparła Sara.

- No tak, ale mógłbym przebłagać cię w inny sposób. Pamiętasz, że obiecałem ci kolację. W przyszły weekend Tony jedzie do kolegi w mieście. Przyjęłabyś zaproszenie na piątek?

- A kto przygotowuje kolację? - spytała podejrzliwie. - Sądzisz, że zapraszam cię z nadzieją, że sama wszystko przygotujesz? - spytał, najwyraźniej dotknięty takim posądzeniem.

- Muszę być przygotowana na każdą ewentualność.

- Ale akurat ta nie wydaje ci się specjalnie nęcąca, prawda, Królowo Śniegu? Widzę, że nie mam co liczyć na pomoc. Więc jakoś sam sobie poradzę z tym kurczakiem. Przyjdiesz?

No tak, pieczony kurczak. Nie chciała powiedzieć „tak”, ale czuła też, że nie chce odmówić. Nagle wyobraziła sobie żonę Bretta. Biedna kobieta wpatrywała się w pustą noc za oknem i na próżno czekała, aż mąż wróci do domu.

- Nie... nie wiem - powiedziała niepewnie.

- Ciągłe się mnie boisz? - spytał cicho. - Czy znów ci coś o mnie naopowiadano?

- Wcale się ciebie nie boję - odrzekła Sara. - Więc dobrze, przyjdę - zgodziła się niechętnie. - Dziękuję.

- Prawdę mówiąc nie wyglądasz na zachwyconą. Nie będzie aż tak źle, jak się spodziewasz. Zobacysz.

Sara wcale nie była tego pewna. Zwłaszcza że wszystko szło jakoś na opak. Brett puścił ręce Sary, uśmiechnął się i dotknął jej ramienia. Przez cienki jedwab czuła ciepło jego ręki. Przygarnął ją do siebie. Westchnęła, oczekując nieuniknionego. Brett tymczasem schylił się i pocałował ją w czoło.

- Dobranoc, Saro. Do zobaczenia w piątek. Drzwi zamknęły się.

Słyszała cichnące kroki na

ścieżce. Usiadła na krześle i, patrząc tępo na wciąż nie dokończony model „Victory”, pokręciła głową.

Cóż za nieoczekiwany finał! Była pewna, że rzuci się na nią i obsypie pocałunkami. A on tymczasem pocałował ją w czoło. Na dobranoc. Jak ojciec, a nie jak... No właśnie -jak kto?

Nie potrafiła zwalczyć w sobie uczucia przykrego rozczarowania. I to przede wszystkim nie dawało jej spokoju.

Poszła do sypialni, ciągle jeszcze nie bardzo wiedząc, co się właściwie stało. Machinalnie odsłoniła okno. I dopiero wówczas zdała sobie sprawę, że podeszła tu po to, żeby je szczelnie zasłonić.

- Kompletnie zwariowałaś, Saro - mruknęła do siebie.

Zanim się położyła, długo jeszcze siedziała tego wieczoru na brzegu łóżka i wpatrywała się tępo w białe, puste ściany.

Go się ze mną dzieje? - myślała gorączkowo. Czyżby spokój, samotność, dobra, bezpieczna praca, w której nie może wydarzyć się nic nadzwyczajnego, przestały jej wystarczać? Odkąd pojawił się Brett, na wszystko patrzyła jakoś inaczej. Nawet żałowała trochę, że do niczego między nimi nie doszło. I cieszyła się na myśl o kolacji we dwoje. Brett sprawił, że znów zaczęła czuć się w pełni kobietą. Nie miała pojęcia, do czego może to prowadzić. Przeszedł ją dreszcz, weszła więc pod kołdrę. Nie chciała odczuwać niczego. Bała się chłodu. Bała się bólu. Najpierw jest fascynacja, ekstaza, miłość. Ale kończy się zawsze tak samo. Nie chciała więcej łez i bólu po utracie kogoś bliskiego.

Tydzień mijał powoli. Angela z coraz większym zaciekawieniem przypatrywała się Sarze i jej podpuchniętym oczom. Tymczasem Sara zupełnie nie wiedziała, co robić. W końcu mogła zrezygnować z kolacji u Brett'a i zamknąć się na dobre w czterech ścianach swojego domu. Ale czy chciała?

Nadszedł piątek. Zaczęło padać. O siódmej wieczorem Sara ciągle jeszcze siedziała przy oknie, za którym mżył deszcz. Po pracy nie przebrała się nawet, nadal miała na sobie brązowy tweedowy kostium. Zdenerwowana, ścisnęła w dłoni rożek białej poduszki,

którą wzięła z kanapy.

Piętnaście po siódmej zobaczyła Brett. Biegł w deszczu po ścieżce. Miał na sobie tylko dżinsy i koszulkę w paski. Był cały mokry. Zobaczył ją przez szybę i przyśpieszył kroku.

- Co się stało? - spytał, gdy wpuściła go do środka. - Mieliliśmy przecież zjeść razem kolację, zapomniałaś?

- Nie - odrzekła Sara. - Przepraszam, ale...

- No tak, ale w tym czymś nie wpuszczę cię do mojego domu - rzucił okiem na brązowy kostium. - Nie ma mowy, nie usiądę do stołu z piękną kobietą, która za wszelką cenę chce wyglądać jak podstarzała, nudna urzędniczka. Ściągaj to.

- Nie będę... - zaczęła Sara.

- Właśnie, że będziesz. No już, natychmiast. - Popchnął ją lekko w stronę sypialni.

- Nie bądź śmieszny, Brett.

- Mój spokój jest już na wyczerpaniu. Jeżeli w ciągu dwudziestu sekund nie zrzucisz z siebie tego okropieństwa, ja sam postaram się, żebyś nie miała go na sobie. Ostrzegam.

Sara westchnęła ciężko. Brett uśmiechał się, ale widać było, że nie odstąpi od raz powziętego zamiaru.

- Zrobię to. Przysięgam - powiedział cicho, ale stanowczo.

Była pewna, że stać go na to. Popatrzyła na niego ze złością, dumnie podniosła głowę i wyszła z pokoju.

Za chwilę była z powrotem. Miała na sobie szarą sukienkę z małym dekoltem pod szyją. Brett oparł się o ścianę i patrzył na nią z góry. Jak senator w starożytnym Rzymie, od woli którego zależało życie krnąbrnego niewolnika.

- Niech będzie - zawyrokował wreszcie. - To już jest trochę lepsze od tamtego - powiedział zrezygowany. - Chodźmy.

Począł, aż Sara wyjmie z szafy płaszcz, chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą.

Deszcz padał coraz większy, odległość dzielącą oba domy pokonali więc niemal sprintem.

- Przemokłeś do suchej nitki - zauważyła zdyszana Sara, gdy Brett

chwycił wreszcie za klamkę.

Niemal bezwiednie dotknęła mokrej koszuli, która przylgnęła do jego ciała. Brett spojrzał na jej rękę, uśmiechnął się tajemniczo i przykrył ją swoją dłonią. Sara przełknęła ślinę i spróbowała mu się wyrwać.

Wiedziała, że igra z Ogniem. Brett puścił rękę, weszli do środka.

Poculi woń piezzonego kurczaka, napięcie między nimi znikło.

- Jest już chyba gotowy - rzekł Brett i ociekając wodą pomaszzerował do kuchni.

Sara zdjęła płaszcz i poszła za nim. Kurczak był rzeczywiście gotowy. Przypiekł się trochę, ale nie wyglądał najgorzej. Za to frytki wyschły na wiór. Dwie na trzy z jej przepowiedni sprawdziły się jak dotąd. Niezły wynik, pomyślała Sara.

- Idź się przebrać - powiedziała. - Po drodze powieś mój płaszcz, a ja popilnuję kurczaka. Co masz tu jeszcze?

- Sałatkę. Kupiłem ją wczoraj w delikatesach.

- No to komplet - westchnęła Sara. - A przez chwilę myślałam, że trzecia przepowiednia się nie sprawdzi.

- Co mówiłaś? - zainteresował się Brett.

- Nic, nic. Idź już i zrzuć z siebie mokre rzeczy.

- A jeżeli tego nie zrobię sam, pomożesz mi?

- Nie. Od kobiet nie wymaga się aktów przemocy. To specjalność mężczyzn. Jeśli chcesz złapać zapalenie płuc, rób jak chcesz. Tylko żebyś później nie żałował.

- No dobrze. Jeśli nie chcesz mi pomóc, trudno.

- Brett uśmiechnął się. - Ale mogłabyś przynajmniej nakryć do stołu. Noże i widelce są w szufladzie. Zjemy w kuchni. Piezony kurczak i sałatka nie zasługują na większe względy.

Sara pokiwała głową.

- Masz zamiar się przebrać - zaczęła rozdrażniona - czy będę jadła kolację patrząc, jak koszula lepi ci się do ciała?

- Przyznaj, że to fascynujący widok - zażartował Brett.

- Jak dla kogo - odparła Sara.

Obróciła się na pięcie i podeszła do piecyka. Trochę się

zarumieniła, więc wołała, żeby Brett niczego nie zauważył.

Piętnaście minut później siedzieli przy małym stoliku kuchennym. Ich kolana dotykały się lekko. Brett miał na sobie powyciągany sweter i znoszone dzinsy. W nich czuł się najlepiej. I trzeba przyznać, że wyglądał świetnie. Jedli szybko, rozmawiając o Tonym, o pogodzie, o przeprowadzce i związanych z nią kłopotach. Kiedy skończyli, Brett poprosił Sarę, żeby niczego nie ruszała ze stołu. Chciał się tym zająć później.

Poprosił ją do pokoju. Pokój był duży, ale ciasny. Pod ścianami piętrzyły się stosy pudeł i kartonów, których Brett nie zdążył jeszcze rozpakować. Usiąść można było wygodnie tylko na starej kanapie, przy której stał mały stolik z klonowego drewna. Brett usiłował przygotować pokój na przyjście gościa - pomyślała Sara - ale nie wysilił się zbyt.

Usiadła na kanapie i z leżącej na podłodze sterty podniosła pierwsze z brzegu pismo. Okazało się, że jest to magazyn o zwierzętach egzotycznych. Pewnie należał do Tony'ego. Sara słyszała, jak Brett krząta się w kuchni i ani rusz nie mogła się skupić na tym, co czytała. Zwłaszcza że w artykule pisano o chirurgii kotów drapieżnych, co nie wydawało się jej szczególnie zajmujące. Myśli Sary biegły bez przerwy ku mężczyźnie w kuchni, iskra, jaka przebiegła między nimi, gdy wchodzili do domu, nie dawała jej spokoju.

Co właściwie czuje do niego? Swoim zachowaniem Brett nie sprawiał żadnych kłopotów. Żartował z niej trochę, kilka razy uniósł się, raz delikatnie pocałował w usta. To wszystko. Czego się więc obawiała? Najwyraźniej lękała się własnego podekscytowania, kiedy był w pobliżu. Na przykład teraz, gdy wszedł do pokoju niosąc dwie filiżanki gorącej kawy - wiedziała, że usiądzie przy niej.

Brett postawił filiżanki, rozlewając kawę na stolik. Nie czekając na zaproszenie, siadł obok niej. Przeciągnął się i musnął ręką jej włosy. Zerwała się jak oparzona.

- Co się stało? - spytał łagodnie, patrząc jej prosto w oczy.
- Przecież dogadaliśmy się: nie proszony nie gryzę.

Sara z trudem zdobyła się na uśmiech.

- Tak, oczywiście - powiedziała ze sztucznym spokojem. - Nie lubię tylko, kiedy się mnie dotyka.

Spojrzała na niego nieśmiało i wydało się jej, że widzi w oczach Bretta skrywany smutek. Zdziwiła się. Miała go do tej pory za dziarskiego, pewnego siebie mężczyznę. Niezbyt skomplikowanego mężczyznę, dodała w duchu.

- Nie chciałam cię dotknąć - wymamrotała.

- Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie?

- Owszem - odrzekła cicho.

- Naprawdę? Zaskakujesz mnie. Więc dobrze. Nie czuję się urażony.

- Więc mam nadzieję, że...

- Nie uraziłaś mnie, bo nie mówiłaś prawdy - przerwał Brett i delikatnie dotknął jej szyi. - Dobrze znam kobiety, które nie lubią, kiedy się je dotyka. Ty nie jesteś jedną z nich. W gruncie rzeczy jesteś kobietą namiętą, która czeka tylko, by zacząć żyć pełnią życia. Prawda? Dlaczego udajesz przede mną zimną, wyniosłą damę, Saro?

Spojrzenie Bretta przygwoździło ją.

- Wcale tak nie jest - odparła sina ze złości. - Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że choć jedna kobieta na świecie może nie chcieć paść w twoje ramiona?

Popatrzył na nią lodowato.

- Owszem, przychodziło mi to często do głowy. Mówiłem ci, że znam takie kobiety. Ale odniosłem wrażenie, że ty jesteś inna. Że pod tą twoją powściągliwością, pod chłodem i rezerwą kryje się szczere złoto. Najwyraźniej myliłem się. Przepraszam.

- Przepraszasz? - zdziwiła się. - Za to, że nazwałeś mnie szczerym złotem?

- Nie. Za to, że nazwałem cię kobietą namiętą. Odwróciła głowę. Kiedy znów na niego spojrzała, nie dostrzegła już w jego oczach gniewnych błysków. Miejsce złości i pogardy zajął w nich smutek.

- Przepraszam, Brett - powiedziała powoli. - Moja wina. Wzięłam cię za kogoś innego. Nie jesteś aroganckim twardzielem. Mam

wrażenie, że ktoś cię skrzywdził.

Brett machnął ręką. Każdego ktoś skrzywdził, nie ma o czym mówić. Przeżyję to jakoś. A ty? Jak to właściwie jest z tobą? Dlaczego udajesz Królową Śniegu?

Dotknął w niej struny najdelikatniejszej. Nie chciała, by dotykał jej ktokolwiek. Ale po raz pierwszy w życiu zapragnęła opowiedzieć komuś o swoim nieszczęściu. Zwierzyć się. I to nie rodzinie. Komuś obcemu.

Pogładziła czarną wełnę swetra na ramieniu Brett'a. Gdy zdała sobie sprawę z tego, co robi, natychmiast cofnęła rękę. Brett uśmiechnął się czule i położył jej dłoń na swoim sercu.

- Tutaj - powiedział cicho. - Było miło, prawda? Było miło. Lubiała szorstki dotyk wełny, lubiała czuć jego ciało blisko, pod palcami. Potrząsnęła głową bez słowa.

- Chcesz mi opowiedzieć o wszystkim, Królowo Śniegu?

Nie drwił z niej. Dawał tylko do zrozumienia, że chce pomóc. Była tego pewna. Gdy zajrzała w złociste oczy, nic nie mogło jej już powstrzymać.

- Nie zawsze byłam Królową Śniegu, Brett - powiedziała tak cicho, że ledwie słyszał jej słowa. - Widzisz, kiedy miałam siedemnaście lat, chciałam wyjść za mąż. - Zawahała się, lecz po chwili namysłu ciągnęła dalej. - Chciałam wyjść za mężczyznę, którego bardzo kochałam.

- Mów dalej - powiedział Brett. Zwilżyła wargi.

- A potem, cztery dni przed ślubem, on, to znaczy mój narzeczony, Jason, wyjechał z miasta. - Głos się jej załamał. - Bez słowa pożegnania.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Brett mocniej ścisnął jej rękę.

- A to łobuz - powiedział cicho. - Bezczelny łobuz. Sara skinęła głową.

- Tak. Tylko że kiedy zorientowałam się, z kim mam do czynienia, było już za późno.

- Jak to się stało? - spytał Brett.

Nie było wyjścia, musiała odpowiedzieć. Wytarła nos i wbiła wzrok we wzorzysty dywanik przed kominkiem.

- Był moim szefem. Przed Angela. Zanim się zjawił, nie było w mieście biura porad prawnych. Wszyscy dziwili się, że młody człowiek zdecydował się osiąść w takiej małej i spokojnej miejscowości, jak Caley Cove. Ale on miał inne plany. Przyczaił się tu tylko na jakiś czas. Kiedy zadziałała protekcja w Waszyngtonie, natychmiast wyjechał.

- Wiedział, że za cztery dni bierze z tobą ślub i wyjechał? Nic z tego nie rozumiem.

- Tak było. - Sara skinęła głową. - Doskonale wiedział, że w najbliższym czasie wyjeżdża, ale mnie nie wspomniał o tym ani słowem. Zostawił list. Nie chciał mi spojrzeć prosto w oczy.

- Dalej nic nie rozumiem.

- Wtedy ja też nie rozumiałam. Wierzyłam święcie, że mnie kocha. Z listu dowiedziałam się, że owszem, byłam w jego typie, ale jako dziewczyna z małego miasteczka zaszkodziłabym mu w karierze w Waszyngtonie.

- Więc dlaczego, u licha, pozwolił, żeby w ogóle coś między wami zaszło? - Brett zacisnął palce na ramieniu

Sary. Powiedział to tak srogo, że spojrzała na niego przerażona.

- To proste - odrzekła, patrząc na Bretta szeroko otwartymi oczyma. - Miał wielki apetyt na te rzeczy...

- To znaczy, że ten łobuz był na dodatek erotomanem?

- Tak. Dziś już jestem tego pewna. W Caley Cove trudno było o

kobiety. Większość wyjeżdżała stąd zaraz po maturze. A ja byłam młoda i na wyciągnięcie ręki.

- Teraz rozumiem. Więc mając zaledwie siedemnaście lat... No tak, nieważne. Czegoś jednak nie rozumiem... Po co przyrzekł, że się z tobą ożeni, skoro wiedział, że nie dotrzyma słowa?

Sara wzruszyła ramionami i odwróciła wzrok.

- Nie musiał niczego przyrzekać. Zauroczył mnie zupełnie. Ale rodzice nie chcieli się zgodzić. Uważali, że jestem za młoda, by wydawać się za trzydziestoletniego mężczyznę. Nie pozwolili mi widywać się z nim poza pracą. Zaczęli nalegać, żebym poszukała innego zajęcia. Zaproponował mi małżeństwo, by dowieść, że ma wobec mnie poważne zamiary. Mamie i tacie zamknął w ten sposób usta. Zaręczyliśmy się. Rodzice nadal nie wierzyli mu, zaczął więc udawać, że zależy mu na ustaleniu terminu ślubu. Myślał pewnie, że rodzice zechcą odwlec ślub, ale nie chcieli. Obawiali się, że jeśli zaczną grać na zwłokę, ich córka jeszcze szybciej wyląduje w łóżku narzeczonego. Nie mówiliśmy im oczywiście, że ten próg przekroczyliśmy już dawno...

- Jak mogłaś to zrobić? - przerwał jej Brett. Patrzył na nią ponuro. Zacisnął wargi. Widziała, że jest zły. Wyglądał tak, jakby miał ochotę stłuc kogoś na kwaśne jabłko.

- O co ci chodzi?

- Zdenerwowałam się tym, co powiedziałaś. -Więc może...

- Nie, nie. Powiedz wszystko. Do końca - rzekł chłodno, starając się panować nad sobą.

- Dobrze, jeżeli chcesz. - Wzięła głęboki oddech. - Ustaliliśmy termin ślubu. Kupiłam ślubną suknię, wysłałam zaproszenia. A on nadal wykorzystywał moją naiwność. Dobrze wiedział, że może mnie mieć, ile razy ma na to ochotę. Później dowiedziałam się, że telegram z Waszyngtonu dostał na dwa tygodnie przed planowaną datą naszego ślubu. Cały czas po cichu przygotowywał się do wyjazdu. I wyjechał. Obyło się bez nieprzyjemnych scen, dokładnie tak, jak chciał.

Twarz Bretta nie wyrażała żadnych uczuć.

- Niczego nie podejrzewałaś? - zapytał. - Byłaś młoda, to fakt, ale nie głupia. Na pewno musiałaś coś zauważyć...

- Byłam bardzo głupia. Ale też trudno było się czegoś domyślić. Maskował się doskonale. Nalegał, żebyśmy widywali się w pokojach hotelowych. Sądziłam, że urządza nowy dom dla nas. Że chce mi zrobić niespodziankę. Obawiałam się tylko, żeby nie urządził go w kolorach, których nie lubię. - Zaśmiała się gorzko. Brett z całej siły wyrzwał pięścią w kolano.

- A rodzice? - mruknął. - Nie zdawali sobie sprawy...?

- Nie podobało im się to, ale uznali, że skoro wybrałam Jasona, to... I oczywiście przez myśl im nie przeszło, że mój narzeczony może sobie po prostu, ot tak, odjechać w siłą dal. Taka bezczelność nie mieściła im się w głowie. W Caley Cove dzieją się różne rzeczy, ale czegoś takiego nikt się nie spodziewał.

Brett przymknął oczy i burknął coś do siebie pod nosem. Delikatnie ujął palcami podbródek Sary i czule spojrzał prosto w jej oczy.

- To dlatego...? - zaczął.

- Tak, dlatego - powiedziała smutno. - Ale mam to już za sobą.

- Naprawdę? - spytał, nie spuszczając z niej wzroku.

- Oczywiście.

Powiedziała prawdę. Miała to już za sobą. Ale od bardzo niedawna. Dopiero przed chwilą poczuła, że spadł jej kamień z serca. Że czuje się lekka. Nie sądziła, że potrafi o tym wszystkim opowiedzieć obcemu człowiekowi. Zawsze obawiała się litości, fałszywego współczucia. Jednak Brett nie litował się nad nią, czuła to. Patrzył tylko i nic nie mówił.

- Jeśli to już wszystko przeszłość - odezwał się po chwili - dlaczego uparłaś się żyć jak pustelnica? Dlaczego nie dajesz nikomu dostępu do siebie?

- Wcale nie żyję jak pustelnica - odpowiedziała szybko, czując znów na dłoni dotyk jego palców.

- Czasem nawet wychodzę po pracy z domu.

- Spotykasz się z mężczyznami?

- Nie. Wychodzę sama lub z Angela. Albo z rodzicami. Czasem odwiedzają mnie koledzy szkolni. I nie chcę żadnych zmian!

Sara powiedziała to tak, jakby samą siebie chciała przekonać.

- Więc dlaczego nie pozwalasz mi nawet się dotknąć? - spytał łagodnie. - Nie wydaję ci się chyba odpychający?

- Nie, na pewno nie. - Sara odsunęła się od niego tak daleko, jak tylko mogła. - Tylko nie chcę się już w nic angażować. Nawiasem mówiąc, dotykasz mnie. I, jak widzisz, pozwalam ci na to.

- Bo przez chwilę przestałaś się kontrolować. A gdybym dotknął cię teraz...?

- Nie... nie - wzdrygnęła się. - Kawa wystygnie

- powiedziała i westchnęła ciężko.

- No widzisz, znów uciekasz - rzekł łagodnie. - Nie możesz ciągle kryć się przed życiem, moja mała.

- Nie kryję się przed życiem. Już mówiłam. Czuję się szczęśliwa.

- Tracisz więcej, niż przypuszczasz. Chciałbym cię pocałować, Saro.

- Nie, nie możesz... - szepnęła błagalnie. Ale Brett przysunął się do niej, otoczył ramieniem i czule patrzył w oczy.

- Jeden pocałunek niczego nie przesądza, naprawdę - zapewnił. - A może być miły.

Pogłaskał ją po włosach. Chwilę bawił się kilkoma krótkimi kosmykami, kolanami dotknął kolan Sary. Rozchyliła je. Poczowała ciepło ud Brett. Nagle znalazła się w potrzasku. Sparaliżowana, nie mogła zaczerpnąć powietrza. Wpatrywała się w niego błyszczącymi oczyma, ogarnęło ją dawno zapomniane uczucie słodczy. Ręka Brett dotykała jej pleców i wędrowała powoli coraz niżej. Brett pochylił się nad nią. Położyła się na kanapie, a jej wargi rozchyliły się w niemym zaproszeniu. Krzyknęła cicho i mocno objęła go za szyję. Ich usta spotkały się. I znów miała wrażenie, że całuje się z mężczyzną, któremu nie zależy tylko na własnej przyjemności. Całowali się długo. Najpierw delikatnie, potem coraz bardziej namiętnie. Palce Sary wplątały się w długie włosy Brett. Przyłgnęła do niego całym ciałem. Tak, Brett ma rację, pomyślała. To jest

dopiero prawdziwe życie.

Nagle usłyszała dziwne pomruki i sapania. Zastygła w bezruchu.

- Cholerne zwierzęta - wyszeptał Brett i uniósł się na łokciu.

- Co takiego? - z bijącym sercem spytała Sara.

- Psy - odparł krótko.

Wstał z kanapy i poprawił sweter na sobie.

- Psy?

- Tak, Sparky i Pickles.

- Ale przecież mieszkają na dworze.

- Czasem przychodzą do domu. Zwłaszcza kiedy pada. Nie zamknąłem drzwi na zasuwę. No, nie. Zdaje się, że pobiegły na górę. Chcą wygrzać się w łóżku Tony'ego. Wrócę za chwilę. Tylko zamknę je w kuchni.

- Aha - rzekła Sara. Nie tylko ona nie domyka drzwi, pomyślała.

Ciągle jeszcze leżała na kanapie; Usiadła więc i obciągnęła sukienkę. Z góry dobiegł podniesiony głos Bretta. Był zły. Mówił, że umorusanym bestiom nie wolno pakować się do łóżka. Potem usłyszała pacnięcia czterech par łap o schody. Wreszcie pomruki, już z kuchni. Ale po chwili dwa włochate czworonogi sforsowały drzwi i wpadły do pokoju.

- Nie wolno! - krzyknął Brett. - Do kuchni! Ale już! Psy nadstawiły uszu, popatrzyły spode łba na pana i, ku zaskoczeniu Sary, poczłapały tam, skąd przyszły.

- Tu też nie wolno im wchodzić? - zdziwiła się Sara. Brett potrafił więc jednak trzymać domowników w ryzach. Nie podejrzewała go o to.

- Nie wtedy, kiedy są ubłocone - stwierdził krótko.

- Znów rozgrzebały kwietniki.

- Uhm - wymamrotała Sara i pokiwała głową ze współczuciem.

Zerknęła na niego ukradkiem. Zaskakiwał ją coraz bardziej.

- No, wystarczy już tego przedstawienia z Brettem Jacksonem w roli żandarma - powiedział z uśmiechem.

- Obiecałem Tony'emu, że psy nie będą spać z nim w jednym łóżku i dotrzymałem słowa. Nigdy ich na tym nie przyłapałem, ale za

każdym razem, kiedy wchodzę rano do jego pokoju, mam wrażenie, że one tam też spały.

- Ale nie przejmujesz się tym bardzo, prawda? - spytała Sara. - Coś mi się zdaje, że gdybyś się tym naprawdę przejął, już dziś nie odważyłyby się tam wejść.

Brett skinął głową.

- I znów mnie rozgryzłaś - powiedział, robiąc zmartwioną minę. - Masz rację. Nie odważyłyby się.

Spojrzał na nią tak ciepło i czule, że Sara znów poczuła się nieswojo. Zerknęła na zegarek i wstała.

- Pójdę już. Robi się późno.

- Nonsens. Przecież jutro sobota, I mamy jeszcze ważne rzeczy do omówienia.

- Nie, Brett - twardo zaoponowała Sara. ~ Nie ma już nic ważnego do omówienia. Naprawdę.

- Co się stało, Sara? Nie jestem Sinobrodym. Ani Jasonem.

Przyrzekam, nie stanie ci się najmniejsza krzywda.

- Wierzę ci... Tylko że... - Co?

- Tylko że ja...

Najgorsze, że nie wiedziała, co powiedzieć. Nie mogła przecież oznajmić mu, że wie, co będzie dalej. Że już to wszystko przeszła. I że popełniła kiedyś błąd, którego za żadne skarby świata nie chce powtórzyć. Poza tym między nimi stała „ciocia” Elise. Brett najwyraźniej nie zamierzał rezygnować z „sympatii” dla niej. Nazywał ją wprawdzie starym kumplem, ale starczyło, że skinęła palcem, by pobiegł co tchu na jej wezwanie. Matka mówiła też, że wie od Molly, iż widziano Brettta w towarzystwie wysokiej blondynki. Sara nie chciała słuchać tych rewelacji, to tylko plotki, zachnęła się. Ale przecież nie ma dymu bez ognia...

Nie, pozostanie „panną z lodu”. Albo Królową Śniegu, jak nazywał ją Brett. Tak było bezpieczniej.

- Ja tylko chcę już iść do domu - dokończyła Stanowczo, unikając jego obezwładniającego wzroku.

- Rozumiem - odrzekł Brett. - Więc myślisz... Powinienem był się

domyślić. W porządku, zaraz przyniosę ci płaszcz.

- Tak, bardzo proszę - wymamrotała Sara. Serce waliło jej w piersi. Czegóż takiego powinien się domyślić?

Brett przygryzł wargi i nieznacznie wzruszył ramionami.

- Twój płaszcz wisi w przedpokoju - powiedział chłodno.

- Tak, dziękuję. Bądź tak dobry...

Wysłała go po płaszcz, bo chciała zyskać przewagę psychiczną. Ale czy nie zachowała się jak gwiazda filmowa? Rozkapryszona gwiazda drugorzędnych filmów? Zawahała się chwilę i poszła za Brettem do przedpokoju.

— Pada ciągle? - spytała, chcąc zatrzeć złe wrażenie, jakie musiała na nim zrobić przed chwilą.

- O, pytasz o pogodę - uniósł brew.

- Pytałam, czy jeszcze pada - powtórzyła. Nie wiedziała, o co mu chodzi.

- Pogoda, wiadomo, najbezpieczniejszy temat do rozmowy.

- Dajmy już temu spokój - odparła zniecierpliwiona, sięgając po płaszcz.

Podał jej płaszcz. Ścisnęła się paskiem i zamierzała otworzyć drzwi. Ręka Brett'a chwyciła za klamkę, zanim Sara zdążyła wyciągnąć swoją. Brett stał chwilę bez ruchu, patrzył na nią z góry. W końcu odsunął się. Pozwolił jej wyjść.

- Dziękuję za kolację - powiedziała nie podnosząc oczu. - To bardzo miło, że mnie zaprosiłeś.

Dochodziła już do furtki, gdy poczuła czyjś wzrok na plecach. Odwróciła się i zobaczyła Brett'a.

- Nie musisz mnie odprowadzać. Znam drogę.

- Jestem tego pewny. Mimo to, odprowadzę cię. Jest ciemna noc.

- Ciągle pada. Zmokniesz.

- Nic mi nie będzie, Saro. Nie jestem z cukru. Gdy podeszli do drzwi, od razu wyjęła klucz. Nie chciała patrzeć na Brett'a. I na krople deszczu, które tak pięknie błyszczały w jego włosach.

- Teraz już wszystko w porządku. Możesz wracać

- powiedziała szybko.

- Tak, już idę. Dobranoc, Saro.

- Dobranoc.

Nie obejrzała się za siebie, choć czuła, że coś traci. Było już jednak za późno.

Brett popatrzył przez chwilę na jej mokre włosy i ociekający deszczem płaszcz. Uśmiechnął się, tym razem jednak jakoś sztucznie, oficjalnie. Jeszcze raz powiedział „dobranoc” i zniknął w oddali.

- Niech to diabli! - zaklęła Sara, gdy tylko z pasją zatrzaskała za sobą drzwi. - Niech to wszyscy diabli!

- Zdjęła płaszcz i cisnęła go byle gdzie. - Niech to wszyscy diabli!
- powtórzyła.

Nagle zdała sobie sprawę, że zna skądś te przekleństwa, które miotała z zapamiętaniem. Czy nie mówił tak bohater jednego z przedstawień, jakie widziała w telewizji? Tak, to on w kółko powtarzał to samo przekleństwo. Aż wreszcie uświadomił sobie, że nie może żyć bez widoku pewnej kobiety. Widoku, który za wszelką cenę chciał od siebie odpędzić przekleństwami.

Weszła do kuchni i postawiła czajnik na gaz. Tak, tak właśnie było. Czy znaczy to, że powoli przyzwyczajala się do widoku Bretta? Niewątpliwie w jego urodzie łatwo było się rozsmakować. Poza tym współczuł jej, gdy opowiadała o Jasonie. Odnosiła wrażenie, że, pomijając Elise, pojawił się oto w jej życiu ktoś, komu mogłaby zaufać. Ale Elise istniała realnie, nie była fatamorganą. Molly plotkowała od rana do wieczora, to prawda, ale rzadko kiedy kłamała.

Sara westchnęła i szmatką przetarła kuchenkę, choć lśniła jak kryształ. Mogło tak być, jak myślała, ale mogło też być inaczej. Nadal więc musi mieć się na baczności. Lodowy mur oddzielający ją od świata nie powinien stopnieć.

Brett musiał sporo przeżyć, pomyślała. I sporo wycierpieć. To jasne, stracił żonę. Jeśli jednak informatorka matki nie myliła się, nie odczuł tej straty zbyt boleśnie. W każdym razie nie oznaczała dla niego życiowej tragedii. Sara wzruszyła ramionami i zdjęła z kuchenki gwizdzący przenikliwie czajnik. Na pewno nietrafnie

odczytała zachowanie Bretta. Uraziła po prostu jego męską dumę i tyle.

Ale jeśli nawet było tak, to przecież przez chwilę ufała mu bez zastrzeżeń. Czyżby myliła się aż tak bardzo? Czyżby współczucie i zrozumienie, jakie jej okazał, były z jego strony tylko grą?

- Głupia jesteś, Saro Malone - powiedziała głośno. - Powinnaś w końcu wbić sobie do głowy, że Brett Jackson to mężczyzna szczerzy i otwarty. Szczerze i otwarcie chce zaciągnąć cię do łóżka.

Ale gdyby nawet, to co z tego? Wewnętrzny głos znów nie dawał jej spokoju. Gzy jest w tym coś złego?

- To, że ja już to wszystko przeszłam! - krzyknęła i filiżanką uderzyła w talerzyk tak mocno, że kawa wylała się aż na podłogę. - Przesłam to i nie mam zamiaru pozwolić kolejnemu mężczyźnie, żeby mnie w podobny sposób wykorzystał. Dla kilku godzin wątpliwej przyjemności? Nie warto...

Zrozpaczona westchnęła cicho i poszła po ścierkę.

Sara przetarła zaspane oczy. Która to godzina? I cóż to za łomoty dobiegają z sąsiedztwa? Dziesiąta. To nie łomot, ale potworna kakofonia najróżniejszych dźwięków, wśród których nie brakowało walenia pięścią w drzwi i podniesionego męskiego głosu. Głosu, który znała aż nadto dobrze. Brakowało tylko szczekania psów i odgłosów młotka.

Burknęła pod nosem coś, za co matka dałaby jej porządną burę. Wskoczyła z łóżka, szybko wciągnęła na siebie niebieską sukienkę i wypadła do przedpokoju.

- Nie wiesz, draniu, że jest niedziela? I że jeszcze jest bardzo wcześnie? - warknęła cicho przez zęby i nacisnęła klamkę.

W drzwiach stał Brett.

- Co ty tu do diabła robisz?

Delikatnie odsunął ją na bok, wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

- Wygrywam ci miłosną serenadę - odrzekł spokojnie. - Inaczej nigdy byś mi nie otworzyła.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- To nie serenada! - krzyknęła z wściekłością. - To kocia muzyka!
- Najważniejsze, że okazała się skuteczna - wzruszył ramionami. -
Udało mi się wyciągnąć cię z łóżka.

- Myślałam, że chcesz mnie zaciągnąć do łóżka - odpaliła Sara. Gdy uświadomiła sobie, co właściwie powiedziała, spiekła raka.

- Masz rację - odpowiedział Brett z rozbijającą szczerością. - Ale postanowiłem odłożyć tę przyjemność na później. Do twarzy ci w czerwieni, wiesz? Powinnaś częściej się rumienić.

- Och! - wykrzyknęła Sara. Rumieniec zniknął, gdy tylko złość znów wzięła górę nad zakłopotaniem. - Och! Naprawdę jesteś najbardziej aroganckim, samolubnym, odpychającym... - przerwała nagle. - Postanowiłeś odłożyć tę przyjemność na później? Co to ma znaczyć?!

- To znaczy, że mógłbym to zrobić w każdej chwili. Nie przewiduję żadnych trudności. Myślę tylko, że nigdy byś mi tego nie darowała. W każdym razie nie darowałabyś mi, gdybym zrobił to teraz.

- Czy to ma jakieś znaczenie? - spytała Sara.

- Uhm. Myślę, że ma - uśmiechnął się smutno.

- Dlaczego? - zdziwiła się i popatrzyła na niego zadziornie. - Skoro miałbyś już to, co chciałeś?

- No tak. Może masz rację. Właściwie nie mam jeszcze na ten temat wyrobionego zdania, - Brett pokręcił głową, odsunął się od Sary o krok i oparł o ścianę. - W piątek wystraszyłem cię. I było to bardzo głupie z mojej strony - dodał z poważną miną. - Zwłaszcza że wiem, ile musiałaś wycierpieć. Wiem doskonale, co to takiego cierpienie. Nie powinienem być tak bardzo natarczywy. Należało poczekać, aż poczujesz się bezpiecznie, jak u siebie w domu, a nie złościć cię. Przepraszam.

Nie było wcale widać, że jest mu przykro. Sara dałaby wiele, żeby wiedzieć, czy wszystko, co usłyszała, mówił serio. Musiał coś przed nią ukrywać. W przeszłości Brett kryła się nie tylko utrata żony.

Obojętnie

- kochanej czy nie kochanej.

- Jesteś cudowna, wiesz - mówił dalej aksamitnym głosem, którego tak bardzo lubiła słuchać. - Pięknie ci nawet w tych okropnych rzeczach, które nosisz... Obawiam się, że w tej sytuacji moja arogancka, samolubna, niezdolna męska żądza musiała wziąć górę nad ogładą dżentelmena. Tak bardzo chciałem cię pocałować, że nie mogłem się oprzeć pokusie. - Oczy Bretta zwężyli się nagle. - Miło ci było, prawda? Równie miło jak mnie. Tak długo, jak długo nie wymyśliłaś pretekstu, żeby mnie powstrzymać!

Patrzyła na niego zdumiona. W ciągu dosłownie kilkunastu sekund potrafił złożyć uroczyste przeprosiny, uwieść ją swoim głosem, aby wreszcie, pół żartem, pół serio, stwierdzić, że to ona ponosi winę za wszystko. Wpatrywała się w niego bez słowa. Nagle odwrócił głowę. Gdy popatrzył na nią ponownie, miał już zupełnie inne oczy.

- I wszystko na darmo - rzekł spokojnie. - A co byś powiedziała, gdybyśmy zaczęli od początku - zaproponował.

Pewność siebie Bretta rozdrażniła Sarę, a jednocześnie oczarowała.

- Ja, ja - jąkała się. Zerknęła na Bretta.

Stał oparty o ścianę, nieporuszony, jakby to było jego stałe miejsce. I te oczy - wpatrzone w nią, oczekujące niecierpliwie na odpowiedź. Boże! - westchnęła. Nie mogła takiemu mężczyźnie powiedzieć: nie.

- Myślę, że moglibyśmy spróbować - szepnęła.

- Oczywiście, że możemy - dodała już pewniej. Wzięła głęboki oddech. - I ja też przepraszam. Za to, że wprowadziłam cię w błąd.

- W porządku, panno Havisham. - Odsunął się od ściany i podszedł do niej. - No, to mamy rozejm. Wybaczę ci, jeżeli ty mi wybaczysz. I jeżeli dasz się namówić na małą wspólną wyprawę.

- Wyprawę? - Sara skuliła się ze strachu.

- Uhm. Mam na myśli zwyczajną randkę. Na przykład nad jeziorem Crescent.

- Ale będzie padało...

- Już nie pada. Wróciła piękna jesień. Nie zauważyłaś?

- Nie, nie zauważyłam. - Sara po raz pierwszy tego ranka roześmiała się. - Najpierw mnie obudziłeś, a potem tak nieoczekiwanie złożyłeś wizytę, że nawet nie zdążyłam wyjrzeć za okno.

- Niech ci będzie.

- Dlaczego nazwałeś mnie panną Havisham?

- To z Dickensa. Z „Wielkich nadziei”.

- Ach tak - powiedziała Sara zmieszana. - Masz na myśli tę starą damę, którą w młodości porzucono w dniu ślubu? I która zatrzymała wszystkie zegary i nigdy już nie zdjęła z siebie ślubnej sukni?

- Właśnie.

- Ale... ale ja taka nie jestem. Zegarów nie zatrzymałam, a moją suknię oddałam...

- W zamian za ciemne kostiumy tweedowe, prawda? Czasem wydaje mi się, że między tobą a starą damą z Dickensa nie ma jednak większej różnicy.

- Oczywiście, że jest między nami różnica - oburzyła się Sara. - Nie bądź śmieszny.

- W porządku. Udowodnij to. Pojedź ze mną nad jezioro, Sara Havisham.

Podniósł rękę, by objąć Sarę, lecz zanim to zrobił, ona, ku swemu zdumieniu, skinęła głową.

- W takim razie dobrze. Pojadę.

- Świetnie. Pójdę nakarmić psy i Fawcetta. Ty przez ten czas przygotuj się do drogi. Wrócę po ciebie za godzinę..

Gdy Brett na odchodnym pogłaskał ją po głowie, westchnęła cicho. Zupełnie, jakbym była jego trzecim psem, pomyślała.

Drzwi zatrzasnęły się z takim łomotem, że serce podskoczyło jej do gardła. Popatrzyła na drgające jeszcze od uderzenia framugi i poczuła głód. Nie jadła przecież jeszcze śniadania. Nie bardzo wiedziała, co zrobić najpierw. Wreszcie wzięła się w garść i weszła do kuchni.

Co jej znowu przyszło do głowy? W co się angażuje? Jeszcze w piątek obiecywała sobie, że Brett Jackson to tylko sąsiad i nic więcej. A dwa dni później umawia się z nim na regularną randkę. To wszystko nie trzymało się kupy.

Niezależnie od tego, czy miało to jakiś sens, czy nie, dokładnie godzinę później była gotowa do wyjścia. Ubrała się w dzinsy, najstarsze ze wszystkich i najbardziej powycierane. Wiedziała jednak, że wciąż leżą świetnie. Na granatową bluzkę włożyła biały sweter. Brett mylił się bardzo, jeśli sądził, że może dyktować, w jakich kolorach jest jej do twarzy.

Kiedy wyjmowała z szafy kurtkę dzinsową, Brett w swoim ulubionym stylu załomotał do drzwi.

- O, tak lepiej - mruknął pod nosem na jej widok. - O wiele lepiej.

- Co lepiej? - prychnęła Sara.

Wiedziała, o co mu chodzi, ale nie była pewna, czy jego uwaga jest na miejscu.

- W dzinsach. Zawsze podejrzewałem, że pod tymi kostiumami ukrywasz niezłą figurę. No i rzeczywiście. Nawet całkiem niezłą, jeśli wolno mi tak powiedzieć. - Chwycił ją za rękę, okręcił kilka razy dookoła, a kiedy wychodzili, dał jej lekkiego klapsa.

- Po pierwsze, nie musiałeś tego mówić. Nikt cię o to nie prosił. Po drugie, trzymaj ręce przy sobie. I nie poklepuj mnie jak psa.

Brett westchnął głęboko i zaprosił ją do małej ciężarówki, która stała zaparkowana przy drodze.

- Postaram się, ale nie będzie to łatwe - obiecał. - I jeszcze jedno: psom nie daję takich czułych klapsów.

Sara odwróciła głowę. Chciała rzucić mu gniewne spojrzenie, ale kiedy na twarzy mężczyzny, usiłującego swoje długie nogi pomieścić jakoś pod kierownicą, ujrzała beztronski uśmiech, zmieniła zamiar i sama roześmiała się radośnie.

Godzinę później śmiała się nadal. Samochód zahamował i zatrzymał się przy małym hoteliku, podobnym do chaty pustelnika. Hotel stał nad samym jeziorem.

- Jesteś piękna, kiedy się śmiejesz - powiedział Brett z zachwytem.

- Wiesz o tym?

Sara pokręciła głową i natychmiast oprzytomniała, przestała się śmiać.

- Nieprawda, nie jestem piękna - odrzekła zagniewana. - I zupełnie nie wiem, dlaczego ciągle się śmieję.

- Jesteś, jesteś. A śmiejesz się dlatego, że odpowiada ci moje towarzystwo, to proste. Jestem dla ciebie odmianą. Może nie chcesz się do tego przyznać, ale tak właśnie jest.

Tak było, Brett miał rację. Tylko przez chwilę w czasie jazdy Sara poczuła się nieswojo. Wtedy, gdy dojeżdżali do hotelu. Przed dziesięciu laty w podobnej okolicy zatrzymała się z Jasonem. I zostali tam nie tylko na lunch...

Popatrzyła na Bretta i spostrzegła znane jej już złociste ogniki tańczące w jego oczach.

- Wiesz, właściwie masz rację - powiedziała niepewnie.

- To oczywiste - odrzekł bez namysłu i wysiadł z samochodu, żeby pomóc wysiąść Sarze. - Bo ja też czuję się świetnie w twoim towarzystwie, Saro Malone. Nawiasem mówiąc, czy nie jesteś przypadkiem głodna?

Wziął ją za rękę. Była głodna, ale nie dlatego, że dawno nie miała niczego w ustach. Nie chodziło o jedzenie. Bynajmniej. Czowała inny rodzaj głodu.

- Tak - przyznała, uśmiechając się do Bretta. - Rzeczywiście jestem głodna. Zjedzmy coś.

Trzymając się za rękę weszli do wyłożonego dywanem holu hotelowego, a stamtąd do jasno oświetlonej restauracji. Kelner wskazał im stolik na dwie osoby, przy oknie.

- Bardzo tu miło - szepnęła Sara i wyjrzała przez okno. Grube drewniane bale, z których zbudowano hotel, odbijały się w szaroniebieskiej wodzie.

- Tak - odrzekł Brett, patrząc jej w oczy. - Prawda, że tak?

Poczuła zakłopotanie i odwróciła głowę. Z Jasonem nigdy nie czuła się tak... swobodnie.

Podczas drogi nie mówili o niczym ważnym. Zachwycali się

srebrnymi nitkami babiego lata, niedostrzegalnie niemal unoszącymi się nad szosą. Żartowali z kaczek człapiących w stronę jeziora; najwyraźniej one też wybierały się na lunch. Potem chichotali z figli Picklesa i Sparky, a Sara z entuzjazmem opowiadała o swoim hobby. Gdy Brett stwierdził, że budowanie modeli okrętów jest dość niezwykłym hobby dla kobiety, potrząsnęła energicznie głową. Spytała, czy wolałby, żeby malowała kwiaty albo szydełkowała.

- Nie - odparł z mocą. - Wolałbym, żeby twoim hobby było gotowanie. Moja matka tak lubi gotować, że w potrzebie zawsze ratuje wszystkich sąsiadów.

Te słowa przypomniały się Sarze akurat w chwili, gdy do ich stolika podeszła kelnerka. Czekala na zamówienie. Sara uśmiechnęła się.

- Mówiłem, że powinnaś to robić częściej - ucieszył się Brett. - Masz najpiękniejszy uśmiech ze wszystkich kobiet, jakie znam.

- A to co znowu? - Sara zapytała podejrzliwie.

- „Uwiedzenie Sary Malone”, akt drugi. Czy tę sztukę mamy dziś w planie? Nic z tego!

- Nawet nie umiesz przyjmować komplementów

- skrzywił się Brett. - Już ci mówiłem, że nie mam zamiaru uwieść cię, póki nie będziesz na to gotowa.

Właśnie podano sałatkę z kurczaka, więc Sara musiała poczekać z odpowiedzią.

- Nie mam zamiaru być gotowa - poinformowała Bretta chłodno. - Nigdy.

- A możesz mi powiedzieć, dlaczego? - Brett domagał się konkretnej odpowiedzi. Patrzył na nią błyszczącymi oczyma. - Ciągłe boisz się, że cię skrzywdzę? Tak, Saro? - spytał, gdy nadal nic nie mówiła. - Czemu nie chcesz mi zaufać?

Widelec w ręku Sary zawisł na chwilę w powietrzu.

- Dlatego, że się boję - odpowiedziała w końcu.

- Jason też mówił, że powinnam mu zaufać. Teraz ty mówisz to samo, a przecież ciągle widujesz się z tą Elise! Molly Bracken widziała cię z kobietą w restauracji i...

-Ja nie jestem Jasonem. I nie widuję się z Elise!

- wybuchnął Brett. Kilkanaście par oczu zwróciło się natychmiast w ich stronę. - Ile razy mam ci to powtarzać, Saro? Tak. Dawno temu Elise i ja byliśmy z sobą blisko - ciągnął Brett. - Pomogła mi bardzo w trudnych chwilach. Przez moment łączyło nas coś więcej niż przyjaźń. Ale potem zdaliśmy sobie sprawę, że dzieje się to z krzywdą dla nas obojga. Rozstaliśmy się w przyjaźni. Pomogłem jej w przeprowadzce. I, tak, rzeczywiście widziałem się z nią przedwczoraj. Wypiliśmy razem kawę. No i co w tym złego? Aha, skoro już o tym mowa, po Elise była jeszcze jedna kobieta, Mary-Jo. I to już wszystko co ci mogę, moja droga, powiedzieć na ten temat. Elise jest starym przyjacielem, Mary-Jo to też już przeszłość. A jeśli jeszcze raz usłyszę z twoich ust coś na temat obu pań, jakąś aluzję, choć jedno słowo, to przysięgam, z największą rozkoszą wygarbuję ci skórę.

Spojrzała na Bretta z niedowierzaniem. Nie wiedziała, co robić, jak zareagować. Roześmiać się, spoliczkować go, czy prosić o wybaczenie.

- Nie bój się. - Przetarł ręką oczy. - Naprawdę nie jestem kombinacją Sinobrodego i Drakuli.

- No tak, Drakulą to chyba nie jesteś - wymamrotała Sara i malutki uśmiech zawisł na jej wargach.

- No, już mi lepiej. Chociaż to jest jasne. Początek zrobiony. - Brett odsunął od siebie talerz i beztrudnie wyciągnął się na krześle. Swoim zwyczajem wpatrywał się w sufit.

- Ale mówisz mi prawdę, tak? — spytała z naciskiem.

- Uhm. Taki mam zwyczaj. - Uśmiechnął się drwiąco. - A teraz, mała słodka dziewczynko, nie szukaj kłopotów tam, gdzie ich nie ma i kończ tego kurczaka. Jak zjesz, pójdziemy na przepiękny spacer. Aha, i zapewniam cię, że choć będzie to dla mnie straszny wysiłek, zapanuję nad sobą i nie zgwałcę cię. Rozumiemy się? - Uniósł brwi, czekając na odpowiedź.

Sara westchnęła z rezygnacją. Znow był górą. Ale przecież nie należało brać tego serio. Przekomarzał się z nią tylko. Szybko zjadała

kurczaka i po kilkunastu kęsach z początkowych obaw i wątpliwości niewiele zostało.

- W porządku - zgodziła się. - Dogadaliśmy się. Bardzo była zadowolona, że dogadali się tak łatwo.

Spacer udał się nadzwyczajnie. Chodząc nad jeziorem rozmawiali trochę o wszystkim, a Brett, tak jak przyrzekł, nie zachowywał się prowokująco. Kilka razy dotknął tylko jej ręki, to wszystko. W końcu spojrzął na zegarek i spytał, czy ma ochotę jeszcze pospacerować.

- Nie mam zamiaru odbierać mojego syna wcześniej, niż to było umówione - wyjaśnił.

- A dokąd chcesz pójść? - zaniepokoiła się Sara.

- Może nad wodospad Marymere - zaproponował. - Mamy mnóstwo czasu.

Zapowiadany spacer okazał się forsowną wspinaczką. Brett narzucił tempo, które Sara wytrzymywała z najwyższym trudem. Wreszcie wąską ścieżką dotarli nad wodospad. Gdy weszli na platformę widokową nad wodospadem, Sara była kompletnie wyczerpana. Oparła się o metalową barierkę, ciężko dysząc.

- Musisz zadbać o kondycję - powiedział Brett z wyrzutem raczej niż z troską. - Taki mały spacer, a ty ledwo żyjesz.

- Uhm - stęknęła Sara. Powoli dochodziła do siebie. - W dniu, w którym przeczytałam w jakiejś gazecie artykuł „Jak dbać o mięśnie”, zrozumiałam, że ćwiczeń gimnastycznych z pewnością nie wymyślono dla mnie. - Rzeczywiście konsekwentnie i od dawna opierała się próbom zarażenia jej gimnastycznym obłędem, którego ofiarą padły nawet Angela i jej rodzona matka. - Nie byłabym w takim stanie, gdybyś nie maszerował jak pociąg pośpieszny - zakończyła.

- Pociągi nie maszerują - odparł Brett.

- Ty też nie. Bo to nie był marsz, tylko wyścigi.

- Przepraszam - uśmiechnął się. - Przy Tonym przywykłem robić wszystko szybko. Właściwie w biegu.

- Rozumiem, ale ja nie mieszkam z Tonym — ofuknęła go Sara.

- No, nie - mruknął Brett i spojrzął na nią tak, jakby chciał coś

dodać. Ale zrezygnował w ostatniej chwili. - Tak, rzeczywiście. Ale skoro tu już doszliśmy, byłoby dobrze, gdybyś przestała narzekać, rozchmurzyła się i rozejrzała wokół.

- Narzekać? - zaperzyła się Sara. - Nie masz prawa...

- Oczywiście, że nie mam prawa. Ale teraz przestań już wreszcie gadać i spójrz tam.

- Tak, ale nigdy jeszcze nikt... - zaczęła Sara. Urwała jednak, gdyż zrozumiała, że Brett tylko czekał na to, aż coś jeszcze powie. Zakryła usta dłonią i spojrzała na wodospad.

Szybko zapomniała o docinkach Brett. Rozpościerał się przed nią doprawdy niezwykły widok. Srebrzysty strumień z hukiem rwał w dół między drzewami, walił o skały i zamieniwszy się w obłok miliona roziskrzonych kropli zapadał w ciemną spienioną otchłań. Dywan otaczającej wodospad zieleni falował lekko pod nawałą opadającej z łoskotem wody.

Pod ciężkimi koronami drzew pokrytych gęstym listowiem było chłodno. I choć woda huczała groźnie, nad wodospadem unosiły się piękne małe motyle.

Błyszczały w słońcu. Sara przypatrywała się długo jednemu z nich. Odprężona, spojrzała na Brett'a i uśmiechnęła się promiennie. Nie zaprotestowała, kiedy objął ją w pól. Gdy dłoń Brett'a zsunęła się w dół, wstrzymała oddech. Poczowała przenikający ją dreszcz. Ale Brett zabrał rękę.

- Nie obawiaj się - powiedział sucho. - Nie zgwałcę cię.

- Wcale tak nie pomyślałam - powiedziała szybko Sara.

- To dobrze. Chodźmy już. Spróbujemy odnaleźć ścieżkę, którą przyszliśmy. Uroczą damą, która nieopatrznie zgodziła się zająć Tonym pod moją nieobecność, z pewnością przeklina już los i żałuje swego ludzkiego odruchu.

- Na pewno niczego nie żałuje - zaprotestowała Sara. Ruszyli w stronę samochodu. - Tony jest najnormalniejszym na świecie dziewięciolatkiem.

- Mam nadzieję - westchnął Brett bez przekonania, wpatrując się w słoneczny blask prześwitujący przez gęste liście. - Lubisz dzieci?

- Lubię - odparła.

Dziwnym tonem zadał to pytanie. Odniosła wrażenie, że jej odpowiedzi oczekiwał z nadzieją.

- Jasne, że lubię dzieci - powtórzyła z naciskiem. - Większość dorosłych ludzi lubi dzieci.

- Nie - pokręcił głową. - Wcale nie. Mirandzie wcale nie zależało na dzieciach.

- Mirandzie?

- Mojej żonie.

- Aha. - Sara potknęła się i w ostatniej chwili wsparła na ramieniu Bretta. Puściła jego rękę, gdy tylko złapała równowagę.

A zatem miała na imię Miranda. Ładne imię. Nie tak słodkie i staromodne jak Sara. Spojrzała na Bretta, ciekawa, czy powie coś jeszcze. Jego twarz zastygła nagle. Czyżby był zły na nią? Za co? Do diabła, przecież to nie ona zaczęła. Sam zdecydował się mówić o żonie.

Sara wiedziała doskonale, co to znaczy cierpieć z powodu czyjejs niedelikatności. Czyżby Miranda nie kochała Tony'ego?

- Twoja żona na pewno musiała kochać Tony'ego. Była przecież jego matką - powiedziała Sara. Uznała, że nawet jakakolwiek reakcja z jej strony będzie lepsza od przedłużającej się ciszy.

- Opiekowała się nim, dbała o to, żeby był czysty - odrzekł, nie patrząc na Sarę. - A w każdym razie możliwie jak najmniej brudny. Ale wtedy jeszcze troszczyła się o wszystko, co należało do niej.

- Co należało do niej? - powtórzyła Sara. Wzruszył ramionami.

- O tak. Tony niewątpliwie stanowił jej własność. Ale czy go kochała? Tego, prawdę mówiąc, nigdy nie udało mi się ustalić. Mówiła mu, że go kocha. Ale wskazywało na to niewiele. Dzięki Bogu miał szczęśliwe dzieciństwo. Miranda nie była jednak zainteresowana powtarzaniem tego eksperymentu.

-Eksperymentu?

- Nie powtarzaj każdego słowa jak papuga!.- zdenerwował się nagle. - Tak, eksperymentu. Często mówiła, że chce wiedzieć, jak to jest, kiedy ma się dziecko. Bo inaczej nie jest się w pełni kobietą. -

**Kopnął z całej siły kamyk leżący na drodze. - W pełni kobietą!
Zabawne, prawda?**

- Jeżeli tak uważasz - odrzekła Sara.

Nie chciała, żeby jej uwaga zabrzmiała uszczypliwie. Brett najwyraźniej cierpiał z powodu swego niedawnego małżeństwa. I nawet jeśli na to zasłużył, nie chciała go dręczyć. Poza tym rozmowa już zbyt zahaczała o prywatne życie Bretta.

- Jeżeli tak uważam... Rozumiem. - Brett nagle zwolnił kroku.

Sara, która starała się nie zostawać z tyłu, znów potknęła się i omal nie upadła. Ale Brett w porę schwycił ją za rękę. Kiedy doszła do siebie i spojrzała na niego, pokręcił głową.

- Jesteś taka sama jak Tony - burknął. - Czy nikt nigdy nie powiedział ci, że nogi służą do chodzenia, a nie do potyknięcia się o byle kamień?

- Mówiono mi to często. Najczęściej matka. A czy tobie nikt nie powiedział, że między nogami i kołami istnieje jednak pewna różnica? Maszerujesz jak...

- Pociąg pośpieszny? Tak, wiem., Ten zarzut już chyba dzisiaj słyszałem...

- I to całkiem niedawno.

- No tak. Przepraszam, że zawracam ci głowę moimi sprawami. Na chwilę opadły mnie złe wspomnienia. To się już nie powtórzy.

- W porządku. Nic się nie stało. A może chcesz o tym pomówić?

- Nie.

Nie chciał. Wystarczyło spojrzeć na jego minę, aby być tego pewnym.

- W porządku. Ruszajmy więc.

- Ruszajmy.

Trzymał ją za rękę, choć się opierała. I nie puścił nawet na moment, gdy schodzili w dół. Tłumaczył, że w lesie nadzwyczaj trudno o karetkę pogotowia, więc woli nie ryzykować.

- Więcej już się nie potknę - zapewniała go. - Mogę dalej iść sama.

- Nie ma mowy.

- Brett, czy mógłbyś puścić moją rękę? Dam sobie radę.

-W porządku, wybieraj - powiedział w pewnej chwili. - Albo przestaniesz się wyrywać, albo będę musiał wziąć cię na ręce. Co wolisz?

- Zawsze musi być tak, jak ty chcesz, prawda?

- Myślę, że tym razem to konieczne.

Nie odpowiedziała. Po pierwsze dlatego, że nie miała szans przekonać go. Po drugie, nie chciała, by niósł ją na rękach do samochodu. Choć w głębi duszy nie miałyby nic przeciwko temu. Nawet dotyk jego ręki nie był jej obojętny.

W drodze powrotnej do Caley Cove prawie nie rozmawiali. Brett skupił się na prowadzeniu samochodu, Sara pogrążyła się w myślach. Myślała o dziwnym wyrazie oczu Bretta, gdy spytał, czy lubi dzieci. Wspominała dotyk jego ręki i zastanawiała się, skąd w niej to dziwne i nieładne uczucie zadowolenia, że małżeństwo Bretta rozpadło się.

Rozmyślała też o plotkach rozsiewanych przez matkę. Z Elise nie łączyło już Bretta nic prócz przyjaźni, była tego najzupełniej pewna. Za jego małżeńskich czasów mogło być jednak inaczej. Co on takiego mówił o Elise? Że pomogła mu w trudnych chwilach? Tak, chyba tak. Sara czuła się świetnie w jego towarzystwie. Ale tkwiła w nim jakaś tajemnica. Coś, co trudno było odgadnąć. Niewiele dawał po sobie poznać, ale...

Przed domem Brett pomógł Sarze wysiąść z samochodu. Musiał jeszcze odebrać Tony'ego, Sara przybrała minę lodowatą. Dokładnie taką, jaką swego czasu postanowiła okazywać wszystkim mężczyznom powyżej lat siedemnastu i poniżej siedemdziesięciu. Wyjątek robiąc tylko dla ojca.

Brett spojrzał na nią ukradkiem, potarł ręką podbródek i wymamrotał:

- O, Boże, wraca panna Havisham. Marszczysz się jak suszona śliwka. Chcesz zostać najpiękniejszą suszoną śliwką w okolicy?

Sara spojrzała na niego bez słowa i wzruszyła ramionami.

- Dobry Boże - mruknął Brett. - O co znów chodzi? Co złego tym razem zrobiłem?

Popatrzyła na niego i zrozumiała, że nie zrobił jej nic złego. Nic a nic. Nazwał ją tylko suszoną śliwką. Ale to mogła w końcu przeboleć. Poza tym bardzo dobrze się razem bawili.

- Nic - odparła z uśmiechem, gapiąc się na srebrny papierek po gumie do żucia leżący przy drodze. - Przepraszam, jeśli nie okazałam ci wdzięczności. To był naprawdę wspaniały dzień.

- Ale nadal zachowujesz się jak nadęta suszona śliwka. Czy naprawdę nie potrafisz tego wyrazić lepiej?

- Jak lepiej? - Spojrzała na niego szybko.

- Podziękuj mi tak, jak należy. - Wyciągnął rękę.

- Ja, ja... - Sara patrzyła na niego zakłopotana.

- Daj spokój. Wiem, że potrafisz wspaniale całować.

- Ty też - dodała mimowolnie. - Ale...

- Żadnych ale. Zrób, jak ci mówię. Podziękuj mi wreszcie.

Stał przed nią na szeroko rozstawionych nogach, głowę odrzucił do tyłu. Wydał jej ten rozkaz śmiejąc się od ucha do ucha. Wyglądał tak przystojnie, że Sara odruchowo zrobiła krok do przodu.

- Właśnie tak, bardzo dobrze - zachęcił ją. - A teraz pocałuj mnie, Saro.

Ciągle uśmiechał się, ale w jego głosie było też coś nieustępliwego. Sara stała jak zahipnotyzowana. Powoli przysunęła się do niego. Dotknęła ustami ust Brett. Poczowała znów ich ciepły, męski dotyk. Poczowała oddech Brett i łagodny uścisk jego ramion. Ogarnęło ją poczucie bezpieczeństwa i błogość.

Delikatnie odsunął ją od siebie.

- I co? Wcale nie takie to trudne, prawda? Dziękuję, że dałaś się porwać na tę wyprawę.

- Ja... ja też dziękuję, Brett. Było cudownie.

- Nie musisz mi się przypochlebiać - uśmiechnął się. - Nie rozumiem. Czyżbyś miała jakieś wątpliwości? Ze mną zawsze jest cudownie. No, ale teraz muszę już jechać po Tony'ego. Już po szóstej. Do widzenia, moja droga. Do zobaczenia.

Chwycił ją lekko za ramiona, okręcił kilka razy i popchnął w stronę furtki. Nie odwróciła się. Szła prosto do drzwi. Po chwili

usłyszała, że uruchamia silnik. Ruszył z piskiem opon.

Kilka minut później przygotowywała w kuchni coś do zjedzenia. Byle szybciej. Rzuciła na patelnię dwa jajka i spojrzała na biały chromowany zegar. To niemożliwe, a jednak to prawda. Nie zdawała sobie sprawy, że od rozstania z Brettem upłynęło już pół godziny. Co robiła w tym czasie? Nie miała pojęcia. Co się z nią, do diabła, działo? Śniła? Nie, przecież nie spała. Rozmarzyła się? Nie ma mowy: na marzenia nie pozwalała sobie od dawna.

Znów minęło pół godziny. Talerz był pusty, to znaczy, że musiała zjeść jajka. Nie pamiętała nawet tego, kiedy wrzuciła je na talerz. Pozmywała. Siedziała teraz przy oknie i słuchała szumu fal bijących o skały. Ten dźwięk zawsze ją uspokajał. Wystarczyło skupić się na nim, by wrócić do równowagi. Marzenia nie służyły niczemu.

Usłyszała warkot silnika samochodu. Zerwała się na równe nogi. Szum fal zszedł na dalszy plan. Zamiast nich koił ją teraz głęboki męski głos: „Pocałuj mnie, Saro”. Przecież spełniła prośbę, czegoż mógł chcieć więcej? Całowała go długo i najczulej jak potrafiła. Gdyby sam jej nie powstrzymał, całowałaby go jeszcze dłużej.

- Ale dlaczego, idiotko? - krzyknęła. - Dlaczego?

Cóż, odpowiedź znała dobrze. Brett był niezwykle atrakcyjnym mężczyzną, a jej głód miłości stawał się już nie do wytrzymania. Dobrze, lecz jeśli podda się mu całkowicie, dokąd ją to w końcu zaprowadzi? Sama przed sobą musiała przyznać, że pragnęła dokładnie tego samego, co on. Pomyślała o Mirandzie. O nieszczęśliwej kobiecie i, jeśli w plotkach było choć trochę prawdy, samobójczyni. Pomyślała o Elise, recepcjonistce Brettta. I o jego przyjaciółce, Mary-Jo, która podobno należała do przeszłości. Oto trzy kobiety - najmniej trzy - z którymi Brettowi nie ułożyło się.

Był zabójczo przystojny, nadzwyczaj pociągający, umiał być miły, potrafił żartować. Ale pod uwagę musiała brać też jego nieudaną przeszłość. Co do Jasona miała prawo się mylić. Tłumaczył ją brak doświadczenia. Ale teraz, jeśli zwiąże się z Brettem? Tej decyzji, gdyby okazała się niefortunna, nie będzie jak już sobie wytłumaczyć. Cała wina spadnie na nią i na nikogo więcej. A przecież łatwo

przewidzieć, jak potoczy się ich romans - ognisty, ekscytujący na początku, na końcu przyniesie rozczarowanie. Jak wszystkie.

Czy miała więc ochotę położyć na szali swój spokój wewnętrzny? Czy była gotowa na nieuchronny finał? Na kolejne cierpienia? Przymknęła oczy. Szum fal sprawił, że poczuła miłe odrętwienie. Długo jeszcze w tym stanie ducha leżała w łóżku. Gdy nadszedł sen, przyszło jej do głowy, że wszystko, co stało się dzisiaj, nie ma w gruncie rzeczy większego znaczenia. Tymczasem nie ma co się martwić. Gdy nadejdzie pora, podejmie decyzję. Nie teraz.

- Saro! Co też za rzeczy słyszę o tobie? O tobie i o Bretcie Jacksonie! - Głos Clary zabrzmiał donośnie, gdy tylko przestąpiła próg domu. Sara nie słyszała warkotu samochodu. Była zajęta w kuchni. Robot pracował głośno.

- O mnie i o...? A co ludzie mówią, mamó? - spytała Sara, trzymając jeszcze rękę na klamce.

- Spytaj lepiej, czego nie mówią - wtrącił ojciec.

- To znaczy?

- No, cóż, twoją matkę poinformowano, że masz płomienny romans z nowym sąsiadem. I że nie zgadzasz się romansować z nim, bo chcesz, żeby się z tobą ożenił. I że już cię rzucił. Dla jakiegoś policjanta w Seattle.

- Dla policjanta?... - powtórzyła Sara.

- Może dla policjantki, wszystko jedno. Mówią wreszcie, że jesteś w ciąży!

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Ale nie traktujecie chyba tego wszystkiego poważnie - przeraziła się Sara.

Rodzice nie mieli wesołych miń. Ciągłe stali w progu, zaprosiła więc ich do środka.

- Kolacja jeszcze nie gotowa - powiedziała nie wiadomo dlaczego.

- Nie chodzi o kolację - przerwała zniecierpliwiona Clara. - Mów nam tu zaraz wszystko o Bretcie.

Sara skinęła głową i wprowadziła ich do pokoju.

- Ale co właściwie chcielibyście wiedzieć? - spytała zakłopotana, gdy usiedli. - Czy to, która z wersji odpowiada prawdzie? Mam wam powiedzieć, czy mnie kocha, czy mnie rzucił, czy też zrobił mi dziecko?

- Sara! Bądź poważna. Nie wolno ci tak rozmawiać z matką - ożywił się George. Po raz pierwszy od dawna stanął po stronie żony.

Oczywiście, że nie wolno, tato. Nikt nie może się tak do niej odnosić. Prócz ciebie, pomyślała Sara.

- Tak, rzeczywiście, przepraszam - powiedziała głośno.

- Zaskoczyliście mnie tymi nowinami, to wszystko. Nie wiem, co powiedzieć.

- Martwimy się o ciebie, Saro. - Głos Clary, zwykle tak pewny siebie, teraz łamał się nieoczekiwanie.

- Nie mogę ci mieć tego za złe, mamu. Jeśli ludzie tak o mnie plotkują... Tylko że w tym wszystkim nie ma nawet żdźbła prawdy. Przysięgam. Więc nie powinnaś słuchać...

- Nie miała wyboru - przerwał George. - Molly Bracken przyleciała jak na skrzydłach. Od drzwi poinformowała matkę, że pani Mackenzie została poproszona o opiekę nad Tonym specjalnie po to, by Brett Jackson mógł zobaczyć się z tobą. Pani Mackenzie powiedziała wszystko Harry Koniski...

Sara zamknęła oczy. Przestała słuchać tego, co mówił ojciec. Rzeczywiście, od zeszłej niedzieli trzy razy umówiła się z Brettem. Zaproponował te spotkania, a ona mówiła „tak”, bo wydawało się jej to zupełnie naturalne.

Byli razem na kolacji, w kinie, a raz po prostu wsiedli do samochodu i pojechali przed siebie. Brett nie składał żadnych dwuznacznych propozycji. Nie próbował jej nawet pocałować. Gderał tylko, że ubiera się beznadziejnie. Dużo rozmawiali. Spędzili razem kilka miłych godzin. Dwa, trzy razy miał ten swój dziwny wyraz twarzy, kiedy odsunęła się od niego i nie pozwoliła się dotknąć. Cieszyła się ze spotkania z nim. Chociaż powtarzała sobie w kółko, że nie ma zamiaru posunąć się dalej.

Ciągle słyszała głos ojca. Westchnęła cicho. Miała przyjemny tydzień i teraz musi za to płacić. Niechcący stała się wdzięcznym obiektem plotek.

Z łatwością mogła odtworzyć kolejność zdarzeń. Pani Mackenzie wspomniała komuś, że od czasu do czasu opiekuje się Tonym i w ten sposób wywołała lawinę, która całe Caley Cove postawiła na nogi.

George Malone właśnie skończył. Droga, jaką wiadomości o Sarze przebyły, za sprawą zaprzyjaźnionych urzędów i Molly Bracken, zanim dotarły do uszu Clary, była długa i skomplikowana.

- A zatem, jak widzisz - stwierdził wreszcie George - tym razem twoja matka dowiedziała się o wszystkim na końcu.

- Ale czy jest w tym wszystkim choć odrobina prawdy? - spytała Clara, nie zwracając uwagi na męża.

- No, cóż. Ani nie romansuję z Brettem, ani nie mam zamiaru wyjść za niego za mąż. O ile wiem, nie spotyka się z policjantką. I na pewno nie jestem w ciąży.

- Dzięki ci, Boże! - wykrzyknęła Clara. - Po tym, co przeszedłaś z Jasonem, byłam niemal pewna, że to niemożliwe. Ale Molly nie miała najmniejszych wątpliwości...

- Prawdą jest jedynie to, że kilka razy umówiłam się z nim - stwierdziła spokojnie Sara.

Nie chciała mówić matce nawet o tym, wiedziała doskonale, że

Clara wszystko od razu wyolbrzymi, ale czuła się przyciśnięta do muru.

Na widok błyszczących z ciekawości oczu matki Sara jęknęła cicho.

- Ale nic jeszcze z tego nie wynika - dodała, uprzedzając kolejne pytania. - Podtrzymujemy stosunki dobrosąsiedzkie, to wszystko.

- Pani Mackenzie też jest jego sąsiadką. A z nią jakoś się nie umawia.

- Pani Mackenzie mogła nie chcieć. Albo nie miała czasu - odparła Sara z uśmiechem. - Zjemy coś? Kolacja jest już na pewno gotowa.

Przez resztę wieczoru udzielała wymijających odpowiedzi i starała się odwieść rodziców od zamiaru złożenia Brettowi nie zapowiedzianej wizyty.

- Chyba go nawet nie ma w domu - powiedziała w końcu zrozpaczona.

- Umówił się z kimś? Pewnie z policjantką.

- Może z policjantką - zgodziła się Sara.

Taka odpowiedź nie zadowoliła Clary, więc nie obyło się bez dalszych pytań. Gdy rodzice w końcu wyszli, Sara poczuła, że jest na ostatnich nogach. Boże, jeśli wszystkie soboty z rodziną będą wyglądały w ten sposób, przeniesie się chyba do Seattle.

Seattle. To stamtąd pochodziła policjantka rzekomo uwodzająca Bretta.

- Czy naprawdę umawiasz się na randki z kimś z policji z Seattle? - spytała Bretta, gdy następnego dnia rano zjawił się u niej wraz z Tonym. Obaj zakomunikowali jej, że jadą do Game Farm razem z Joe, kolegą Tony'ego ze szkoły.

- Czy ja co...? - Brett zrobił wielkie oczy.

- Z policjantem? Ale tata jest przecież mężczyzną! - wykrzyknął zdumiony Tony.

I to jakim, pomyślała Sara.

- Wiem, zauważyłam. Ale miałam na myśli policjantkę.

Brett delikatnie objął ją i przytulił.

- Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że zauważyłaś - szepnął. - A teraz

mów mi zaraz, o co ci chodzi, u licha! - dodał głośno.

- Słynna fabryka plotek w Caley Cove wznowiła produkcję - wyjaśniła Sara.

- Co takiego? - zdumiał się Brett. Wyglądał na zagniewanego, i to nie na żarty.

- To nie moja wina - dodała Sara na wszelki wypadek.

Brett odetchnął głęboko i opanował wzburzenie.

- Jasne, że nie. No więc nie spotykam się z policjantką. Z zasady nie spotykam się z dwiema kobietami równocześnie. Poza tym mundur działa na mnie tak, jak te twoje kostiumy z tweedu.

- To bardzo miło z twojej strony - powiedziała Sara.

- Więc nie mam powodów do obaw?

- Ze strony rywalki w mundurze nic ci nie zagraża. Z mojej strony, jeśli tak dalej będzie, też zagraża ci niewiele.

- Jeśli będzie tak dalej? - spytał Tony. Było mu przykro, że przestano zwracać na niego uwagę.

- To znaczy, jeśli ona będzie nadal przypominać rozgotowany kartofel - odparł Brett.

- Ale Sara nie wygląda jak kartofel - nie zgodził się Tony.

- Tak - przyznał Brett, patrząc na jej sweter i dzinsy.

- Dziś wyjątkowo nie wygląda jak kartofel.

Sara pozwoliła sobie na mały uśmiech.

- Zaraz, zaraz, coś mi świta w głowie, - powiedział Brett z wahaniem. - Wiesz przecież, że tego dnia, kiedy pomagałem Elise w przeprowadzce, zatrzymała mnie policja. I to chyba była kobieta. Mówiłaś coś o Seattle?

- Tak. - Sara skinęła głową. - Ale dajmy już temu spokój. Zaczynam rozumieć. To Seattle miało służyć jedynie upiększeniu opowieści. Policjantka z Seattle to zawsze brzmi lepiej niż posterunkowy z Caley Cove. Albo z Sequim.

- Uhm. Chyba masz rację - westchnął Brett. Patrzył na nią tak, jakby wahał się, czy wypada zapytać ją o coś. - Skoro mowa o Sequim... - przemógł się wreszcie. - Mam nadzieję, że pojedziesz z nami do Game Farm.

- Nie bardzo wiem, czy... - zaczęła Sara.

- Jasne, że pojedzie - oświadczył Tony.

- Tak, ale... - szepnęła Sara.

Mówiła coś o praniu i sprzątaniu. Brett uznał, że jedno i drugie może poczekać. A Tony zamknął dyskusję:

- Nie ma gadania, jedzie z nami.

Sara wykręcała się jak mogła, ale w końcu dała za wygraną.

Nie dojechali jeszcze do Game Farm, a już żałowała, że dała się namówić na eskapadę. Tony był nadzwyczaj żywym dzieckiem. Podjudzany przez kolegę snuł plany mrożące krew w żyłach.' Przeczucie mówiło jej, że postanowił zrobić to wszystko, czego, dzięki jej interwencjom, nie udało mu się dokonać poprzednim razem. Podejrzewała też, że Brett zaprosił ją na wycieczkę nie tyle z sympatii, ile w trosce o dzieci. Krótka mowa zależała mu na tym, żeby ktoś prócz niego miał oko na tych dwóch nieposkromionych urwisów. Nie mogła mieć mu tego zresztą za złe.

Przeczucie nie myliło jej. W chwili gdy Brett zahamował i stanął przy wieży obserwacyjnej, Tony wyskoczył z samochodu jak z katapulty i z małpią zręcznością zaczął wspinać się po drewnianych szczeblach. Wychylił się przez barierkę i spadłby w dół, gdyby Brett w ostatniej chwili nie chwycił go za pasek. Nie upłynęła nawet minuta, a Sara w podobny sposób musiała ratować Joego.

Trzy godziny później, gdy udało się przekonać chłopców, że niedźwiedzie nie lubią, kiedy przeszkadza im się w jedzeniu, nawet jeśli czynią to tak sympatyczni chłopcy jak Tony i Joe, gdy udało się udaremnić zamiar przejażdżki na zebrach i zabronić im wyjścia z samochodu tuż obok tablicy z napisem: „Surowo zabrania się wysiadania z samochodu!” - Brett zaproponował, żeby całe towarzystwo niezwłocznie wracało do domu, gdyż mogą tu postradać życie.

- Nie myślałem o zwierzętach, ale o ludziach - mruknął cicho do Sary po szybkim obiedzie w przydrożnym barze McDonalda. - Gdybym był pracownikiem Game Farm, osobiście rzuciłbym ich obu na pożarcie najbliższemu kuguarowi. Żałuję, że ten pomysł przyszedł

mi do głowy dopiero teraz.

Sara roześmiała się. Jakoś nie mogła sobie wyobrazić Bretta na ławie oskarżonych.

- Matka Joego nie byłaby zachwycona, ale jestem pewna, że i tak uniknąłbyś surowego wyroku. Kobiety na ławie przysięgłych uniewinniłyby cię.

- Uniewinniłyby mnie? Ale skądże! Elise do tej pory wypomina mi stłuczone szklanki. No, ale skoro prawisz mi komplementy... Bo to chyba był komplement, prawda? Może więc to dobry moment, aby uprzedzić cię, że w końcu przyszłego tygodnia będę miał przerwę w odbywaniu kary. Matka Joego to najwyraźniej ma-sochistka. Tak czy inaczej, zaofiarowała się, że weźmie do siebie Tony'ego. Chciałbym cię dokądś zabrać. Pojedziesz? - Spojrzał na Sarę uwodzicielsko.

- Jechać z tobą? - zachnęła się Sara, zdając sobie sprawę, że musi to wyglądać śmiesznie. - Nie mogę z tobą pojechać, Brett. Nie mogę.

Brett nie nalegał. Dopiero gdy zatrzymali się przed domem Sary, ponowił propozycję.

- Wyjedziemy w piątek, Saro. Mam ogromną ochotę porozmawiać z kobietą taką jak ty.

- Tylko porozmawiać? - spytała Sara, patrząc to na furtkę, to na drzewo, to na niebo, byleby tylko nie spojrzeć Brettowi w oczy.

- Mam nadzieję, że nie tylko - odparł. Nie pozostawiał żadnych wątpliwości, co do swoich zamiarów.

- Więc nie pojedę - odpowiedziała stanowczo. - Saro...

W tym momencie Tony i Joe, którzy mieli przykazane nie ruszać się z samochodu, zaczęli wydawać z siebie ryki przypominające melodię „Marsza weselnego”.

- Szlag by to... - zaklął Brett. - Poczekaj chwilę. Na moment zniknął w samochodzie. Hałasy natychmiast ustały.

-A więc możesz ze mną pojechać, bez obawy. Przysięgam, że nie wydarzy się nic, czego byś sama nie chciała. Ktoś powinien cię wydobyć ze skorupy, w której się zasyłaś. A zatem, Królowo Śniegu...

Oparł się o furtkę i pochylił nad nią.

- Mam przed sobą ciężki tydzień. Starym przyjacielom obiecałem, że ich odwiedzę, poza tym mam kilka ważnych spotkań. No i na dodatek rodzinne rozgrywki baseballu, w których startujemy razem z Tonym. Mam więc nadzieję, że mi nie odmówisz?

- A jeśli odmówię?

- Jestem bardzo cierpliwy, moja droga - mruknął, uderzając się lekko po udach - ale nie do tego stopnia. Prawdę mówiąc, byłbym wtedy chyba zdolny do wszystkiego. I zapewniam cię, że dość szybko bym się na coś zdecydował.

Podniósł rękę i przez chwilę nie wiedziała, czy ma zamiar pogłaskać ją, czy uderzyć. W końcu położył jej dłoń na ramieniu.

- Dziękuję za pomoc przy chłopcach - powiedział wreszcie. - Nie dałbym sobie rady bez ciebie. Chyba bym oszalał. - Uśmiechnął się. - A więc do przyszłego piątku. Wstąpię do ciebie wieczorem, o siódmej.

Pożegnał się i odszedł do samochodu, w którym Tony i Joe znów zaczęli dokazywać.

Sarze kręciło się w głowie. Nic nie odpowiedziała. Z ulgą zamknęła drzwi za sobą.

Chyba by oszalał, dobre sobie. Łatwo mu mówić. A co ona ma powiedzieć? Jeśli będzie ją dalej tak traktował, to ona oszaleje, naprawdę. Ktoś powinien wydobyć ją ze skorupy? Przecież w tym stwierdzeniu kryła się wyraźna groźba. Co do tego, że stać go na wiele, nie miała wątpliwości.

Czy traktując ją jak starego, wypróbowanego przyjaciela, nie próbował uspić jej czujności? Czy nie na tym polegała jego taktyka? W końcu wiedział, sama mu o tym powiedziała, że już kiedyś dała się uwieść niemal nieznanemu mężczyźnie. Pożądał jej i nie krył się z tym. Przynajmniej do niedawna. Bo od pewnego czasu zaczął mieć się na baczności. Czyżby obawiał się, że ją spłoszy? Niczego nie żądał. Na nic nie nalegał. Dlaczego więc teraz tak stanowczo stawiał sprawę? Było oczywiste, że jeśli Sara przystanie na jego propozycję, stosunki między nimi po tej wyprawie ulegną zmianie.

A może rzeczywiście cierpliwość Bretta była już na wyczerpaniu?

Może postawił jej ultimatum? Dobrze wiedział, że nie jest jej obojętny.

- Niech cię wszyscy diabli porwą, Bretcie Jackson! - szepnęła zrozpaczona.

Gdy nadszedł piątkowy ranek, była już kłębkim nerwów. Ciskała fragmentami garderoby w co popadnie. Nie, nie pakowała się, nie szykowała rzeczy do wyjazdu. Próbowwała uspokoić się w ten sposób. Wolała to, niż tłuczenie talerzy czy łamanie krzesel.

- Wyglądasz jakbyś cały ranek grzebała w śmietniku - powiedziała Angela na jej widok.

- Co? - zaniepokoiła się Sara. Przyjrzała się sobie uważnie. Miała rozdartą na szwie spódnicę i poplamioną bluzkę.

- O, Boże! - wyszeptała. - Przepraszam cię, Angelo. Kiedy się ubierałam, myślałam o czym innym.

- Coś mi się zdaje, że o przystojnym sąsiedzie - stwierdziła Angela.

- Nie ma za co przepraszać. Już najwyższy czas, żeby w twoim życiu zjawił się jakiś mężczyzna.

- Ale on... skąd wiesz o Bretcie, Angelo? Nigdy ci o nim nie mówiłam.

- Nie musiałaś. Masz wszystko wypisane na czole. A poza tym nie tracę kontaktu z najlepszą agencją informacyjną w Caley Cove...

- Och, rozumiem, dlaczego uważasz, że mam wszystko wypisane na czole. - Sara potrząsnęła głową. - A dlaczego koniecznie muszę mieć przy sobie mężczyznę? Mówisz jak moja matka. Ale ją mogę zrozumieć. Ona jest szczęśliwa w małżeństwie.

- A ja nie? - roześmiała się Angela. - Właściwie to masz rację. Ale to nie znaczy, że w moim życiu nie było mężczyzn. Odkąd pojawił się ten twój sąsiad, jesteś ciągle zamyślona, nieobecna. I częściej się uśmiechasz. Widzę, że nawet czasem się rumienisz. I do twarzy ci z tym.

Spojrzała na Sarę spod różowych okularów.

- Posłuchaj mnie, nie odtrącaj go.

- Skąd ci przyszło do głowy, że mam zamiar go odtrącić? - spytała Sara.

Przed Angela nie musiała niczego udawać. Zbyt dobrze się znały.

- W tym tygodniu ani razu nie przekonywałaś mnie o zaletach konstruowania modeli okrętów. A poza tym twój strój jest w nieładzie.

- Ach - westchnęła Sara i szeroko otwartymi oczyma popatrzyła na swoją szefową, powierniczkę i najlepszą przyjaciółkę.

Angela miała oczywiście rację. Sara tylko raz spróbowała zabrać się do lepienia modeli, ale nie była w stanie tego robić. A dziś rano nie wiedziała nawet, w czym poszła do pracy.

-No, dobrze - zakończyła Angela. - Ja powiedziałam swoje. Więcej nie będzie już dziś dobrych rad, przyrzekam. Czy byłabyś tak dobra zerknąć na te listy?

Sara skinęła głową. Zamyślona poszła do swego pokoju. Angela miała rację. Sara rzeczywiście przez ostatnie dni zachowywała się jak zadurzona nastolatka. Ze złością rzuciła długopisem w notatnik. Co też jej chodzi po głowie? Myśli o miłości? Nie była przecież zakochana. Brett ożywił w niej uspięne zmysły, to wszystko. Poprzysięgła sobie nie zakochać się już nigdy więcej. I nie miała zamiaru postąpić inaczej.

Tak, Saro, pomyślała, stukając palcem w notatnik. Masz ochotę na Bretta, Brett ma ochotę na ciebie. Więc co cię powstrzymuje? Zdrowy rozsądek, odpowiedziała sobie w duchu. Nie chcę się zakochać.

Nadal nie była zdecydowana, czy ma dziś spotkać się z Brettem. Długopis złamał się, odpadł czubek i uderzył w szybę. A niech to diabli! Oczywiście nic nie wiadomo.

A jednak nie. Nie pojedzie z Brettem. Sam pomysł był absurdalny. Nie ma mowy. Sięgnęła po inny długopis i zaczęła metodycznie przeglądać korespondencję.

- Saro, otwórz! Wiem, że tam jesteś.

Sara patrzyła tępo na drzwi, które drżały pod naporem uderzeń. Na pewno wytrzymają. Nawet Brett nie da im rady. Wyszły spod rąk najlepszego stolarza na półwyspie. A może? W końcu w przypiływie złości potrafi łamać krzesła. A teraz na pewno jest bardzo zły.

- Do diabła, Saro! Należy mi się przynajmniej jakaś odpowiedź! - Tym razem drzwi nie tylko całe zatrzęsły się, ale zatrzęszczały w zawiasach.

Sarą szła przez wąski przedpokój jak na szafot. Położyła rękę na zasuwie. Brett miał rację, należała mu się odpowiedź. Zamknęła oczy, by nie widzieć oczu Brett'a, gdy otworzy drzwi i bardzo powoli odsunęła zasuwę.

Stał na schodach, właśnie szykował się do kolejnego szturmu. Sara powoli podniosła powieki.

- Kobieto, na miłość boską! Nie patrz na mnie tak, jakbym cię miał zaraz zabić! - wykrzyknął Brett.

- Chociaż, prawdę mówiąc, mam na to ogromną ochotę.

Chwyił ją za rękę, wepchnął do środka i dokładnie, bez pośpiechu, zamknął drzwi.

- No, dobrze - rzekł spokojnie, wpatrując się w nią z uśmiechem. - A teraz powiedz, o co chodzi, Saro. Nie masz ochoty na wspólną wyprawę?

Ścisnął jej rękę niezbyt mocno. Wiedziała, że robił wszystko, żeby panować nad sobą.

- Ja... Tak. Myślę, Brett, że będzie lepiej, jeżeli nie pojedę...

- Dlaczego będzie lepiej? - zapytał.

- Dlatego, że... Mówiłam ci już. Nie chcę się w nic angażować.

Możemy przecież być dobrymi sąsiadami i niczym więcej, prawda? Dobrymi przyjaciółmi, tak jak przez kilka ostatnich tygodni. Kiedy pojedziemy razem, wszystko się zmieni. Będę...

- Skompromitowana? - dokończył. - Prawda, że to miałaś na myśli? Może tego nie widzisz, ale między nami już coś zaszło, Królowo Śniegu. Niewykluczone, że dla Caley Cove już jesteś skompromitowana.

Dotknął palcem jej bluzki. Gdy spostrzegł, że zbladła, natychmiast cofnął rękę.

- Chyba masz rację - przyznała Sara z goryczą. - Całe Caley Cove już myśli, że robię z siebie idiotkę. Wszyscy czekają teraz, aż kolejny raz udowodnię, że się nie mylą.

- To znaczy, że jeśli zakochasz się we mnie, to wyjdiesz na patentowaną idiotkę, tak? Dzięki za miłe słowa, Saro.

- Zakocham się w tobie? - szepnęła. - Ale...

- Ujęłaś to dostatecznie jasno. A ja nie miałem na myśli dosłownie tego, co powiedziałem.

Teraz rozumiała. Mówił o miłości, a myślał o seksie.

- Brett, idź już. Nigdzie z tobą nie pojedę i nie ma sensu przedłużać tej rozmowy.

- Nie ma sensu? - powtórzył. Na jego twarzy pojawił się drwiący grymas. - Nie pamiętasz już? Mówiłem, że moja cierpliwość nie jest nieograniczona. Jeśli ze mną nie pojedziesz, to ja już coś wymyślę. Sara przygryzła wargi.

- A co takiego, na przykład? - spytała, zakładając ręce do tyłu i patrząc mu prosto w oczy. - Porwać mnie nie możesz, bo to niezgodne z prawem.

- Tak, rzeczywiście. Więc mam tylko jedno wyjście. - Jakie?

- Właśnie to.

Napięły się w niej wszystkie mięśnie. Starła się mu przeciwstawić. Ale on chwycił ją w pól i przycisnął do siebie. Krzyknęła cicho. Brett schylił się i dotknął wargami jej rozpłomienionych ust. Czują jego ręce na biodrach, czują dotyk jego ciała. Broniła się, ale opór słabł w niej z każdą chwilą. Fala nagłego pożądania oblała ją całą. Brett całował coraz namiętniej. Muskał językiem jej zęby. Rozchyliła wargi, objęła go za szyję i poczuła bijące od niego słodkie, podniecające ciepło.

- Saro - szepnął cicho. - Saro, i co ja mam z tobą zrobić? To znaczy ja wiem.

Pogładziła go po włosach.

- Ale ja nie wiem, Brett. Ciągle jeszcze nie wiem. W każdym razie nie teraz. Nie mogę spokojnie myśleć, kiedy jesteś blisko.

- To świetnie. - Brett odetchnął z ulgą. - Kiedy tylko zaczniesz myśleć, od razu się ze mną kłócisz. Ale teraz jestem przy tobie - przytulił ją znów do siebie - więc, proszę, nie zwracaj sobie głowy myśleniem. Nie myśl, tylko jedź ze mną.

- Dokąd? - spytała, słysząc niemal bicie jego serca. - Dokąd, Brett?

- Dokądkolwiek! Na koniec świata, jeśli sobie życzysz.

- To bardzo daleko - roześmiała się. - A co z Tonym? Co ze zwierzętami?

- No, cóż - odchrząknął - perspektywa uwolnienia się na jakiś czas od wszystkich tych stworzeń bardzo mi odpowiada. Tony stanowi pewien problem.

- No, widzisz. Ale moglibyśmy wybrać się do Port Townsend. To niedaleko.

- W razie czego możesz wrócić do domu. O to ci chodzi, prawda? - spojrzał w jej oczy podejrzliwie.

- Niewykluczone - odrzekła. Odsunęła się i oparła o ścianę. - Takie są moje warunki. Przyjmujesz je?

Brett wpatrywał się w wielkie, wystraszone oczy. Ciało Sary było na wyciągnięcie ręki. Widział, że kąci jej ust drżały. Gdy patrzył na nią bez słowa, Sara pojęła, że wygrała.

Brett zaklął cicho.

- Tak, przyjmuję, Królowo Śniegu. Jeżeli nie mam innego wyboru. Niech będzie.

Brett wyciągnął rękę, Sara podała mu swoją.

- No, to załatwione. - Podniósł brwi i uśmiechnął się ironicznie.

- Tu nie będę cię napastował. Pewnie się jeszcze nie spakowałaś, prawda?

- To nie potrwa długo. - Sara zawahała się. - Brett, a co będzie ze zwierzętami? - spytała, ściskając ciągle jego rękę.

- A to co znowu? Grasz na zwłokę? Jeśli tak, to wymyśl coś lepszego. Zwierzętami zajmie się pani Mackenzie. Idź się pakować.

Powiedział to tak stanowczo, że nie zwlekała już ani chwili dłużej. Wyjęła z komórki małą walizkę.

- I bardzo proszę żadnych tweedów. Ani brązowych, ani granatowych, ani w ogóle żadnych.

- Nic innego nie mam.

- Boże! No to włóż dzinsy. A jutro kupię ci coś porządnego.

- Moje rzeczy są bardzo porządne.

- Wiem, wiem. I w tym właśnie cały kłopot. Znow chciał postawić na swoim.

- Nie będziesz mi kupował niczego do ubrania - oświadczyła stanowczo.

- Więc sama sobie kup.

- Jestem całkowicie zadowolona z tego, co mam.

- Może, ale ja niespecjalnie.

- To już twoja sprawa. Nie musisz się ze mną nigdzie wybierać. Nikt cię do tego nie zmusza, prawda? Masz prawo nie chcieć, żeby cię widziano ze mną.

- Ale ja bardzo chcę, żeby mnie widziano z tobą. Tylko że nie w tej okropnej zbroi.

- Jeśli uważasz, że jestem okropna, to w ogóle nie masz się czym przejmować.

- Nie uważam, że jesteś okropna. Myślę, że jesteś piękna. I dlatego właśnie przestaniesz ubierać się jak stary, rozgotowany kartofel. I zaczniesz ubierać się jak kobieta.

- I kto to mówi? - spytała Sara. Od dzieciństwa lubiła wprawiać w ten sposób wszystkich w zakłopotanie.

- Ja to mówię - odpowiedział Brett. Nie dał się zbić z tropu i chwycił ją mocno. Poczula, że nie ma już ochoty przekomarzać się z nim. - No widzisz, kiedy myślisz, zawsze kłócisz się ze mną. Więc przestań myśleć i posłuchaj mnie.

- To znaczy?

- Włóż dzinsy. Wpakuj do walizki nocną koszulę i chodźmy.

- A jak nie?

- Kobieto, błagam cię, bo nie ręczę za siebie. - Potrząsnął głową i popatrzył na nią surowo, po ojcowsku. - Gdybyś miała o dwadzieścia lat mniej, wiedziałbym, co z tobą zrobić.

- Ale nie mam już siedmiu lat.

- Więc, niestety, nie mogę ci dać kilku mocnych klapsów. Ale jeżeli nadal będziesz sprzeczać się ze mną zamiast szykować do drogi, zrobię to mimo wszystko, ostrzegam. A może wolisz, żebyśmy zostali u ciebie? Na całą noc? Ja chciałem to odłożyć na później...

- Próżne twoje nadzieje, przyjacielu - odrzekła Sara i z dumnie podniesioną głową pomaszerowała do sypialni, zamykając drzwi za sobą.

On jest naprawdę niemożliwy, pomyślała wrzucając do walizki koszulę nocną, szczoteczkę do zębów, dwa swetry i szarą bluzkę. Spojrzała jeszcze na trzy pary skarpetek i domowe pantofle stojące przy łóżku. Brett nie pozwoli ich zabrać, to pewne. Więc dlaczego właściwie z nim jedzie? Bo nie może się oprzeć. Bo ma wspaniałe poczucie humoru. Dlatego.

Zamknęła walizkę. Wie oczywiście, że jest przystojny, ale nie daje tego poznać po sobie. Czy ma nadzieję, że Sara ulegnie jego wdziękowi? Czy oczekuje, że w końcu zgodzi się pójść z nim do łóżka? Może nie jest w błędzie?

Pokręciła głową. Nie chciała już więcej myśleć o niczym. Szybko przebrała się - włożyła dzinsy i sweter

- i wyszła do Bretta. Leżał wygodnie na kanapie i przeglądał gazety.

- Jeszcze tylko zatelefonuję do rodziców i uprzedzę, że jutro nie przyjadę do nich - powiedziała. - I już jedziemy.

- Cuda ciągle się jeszcze zdarzają - westchnął Brett.

- Widzę, że wzięłaś sobie do serca moją radę - dodał, spoglądając na nią z satysfakcją.

- To nie była rada, ale rozkaz.

- No to miło mi, że go wykonałaś tak szybko.

- Wcale go nie wykonałam. I tak miałam zamiar je włożyć.

- W porządku.

Sara nie mogła dłużej wytrzymać. Roześmiała się w głos.

- Ale głupia awantura, co? - zauważył Brett, gdy wsiadali do samochodu.

- Też tak sędzę - przyznała niepewnie. - Bardzo głupia, naprawdę. A jutro kupię ci coś szałowego.

Już, już zbierała się, żeby mu powiedzieć, że nie życzy sobie żadnych prezentów, ale spojrzała na niego i nie powiedziała nic. Do jutra było jeszcze daleko.

Kolację zjedli po drodze. Do Port Townsend dotarli późno. Ale nie aż tak późno, by nie można było znaleźć wolnych miejsc w jednym z rozsianych po mieście domów w stylu wiktoriańskim, które pełniły teraz funkcję hoteli. I stanowiły zarazem atrakcję dla turystów. Okna jednego z nich wychodziły na przystań. Kapitan George Vancouver, który odkrył to miejsce w roku 1792, nazwał je „najpiękniejszą okolicą, jaką można sobie wyobrazić”.

Niestety, o tej porze dnia, a raczej nocy, można było polegać tylko na wyobraźni. Słońce już dawno zaszło.

Brett rzucił okiem na Sarę, gdy podeszli do recepcjonisty. Była blada. Poprosił o dwa oddzielne pokoje. Sara spojrzała na niego z taką wdzięcznością, że uśmiechnął się jak rzymski imperator, darowujący życie chrześcijaninowi.

- Rozchmurz się - rzekł, stawiając walizkę przed drzwiami jej pokoju i przekręcając klucz w zamku. - Możesz być pewna, że nie wydarzy się nic, czego byś sama nie chciała. Wstawił walizkę do pokoju i wycofał się na korytarz.

Sara spojrzała na niego uspokojona i zakłopotana zarazem.

- Dziękuję ci. To był wspólny wieczór, Brett. A co teraz... to znaczy... co masz zamiar...?

- Co mam zamiar teraz robić? Mam zamiar pójść do siebie, do pokoju numer szesnaście, który znajduje się tuż obok twojego, i poczytać fascynującą książkę o leczeniu świń. W złudnej nadziei, że zapomnę w ten sposób o pięknej kobiecie, leżącej w łóżku w pokoju za ścianą.

- Och - powiedziała Sara, nie wiedząc co odpowiedzieć. - Bardzo lubię świnie.

- Przynajmniej to nas łączy - stwierdził Brett.

- Brett - szepnęła - wiem, że... O, Boże. Po prostu nie wiem już, co robić. Naprawdę...

- Kochanie, nie masz się czym przejmować. Idź spać, a ja postaram skupić się na metodach leczenia świń.

- Dziękuję. - Sara czuła się winna, choć sama nie wiedziała, czemu.

- Dobranoc, Brett, do jutra.

- Dobranoc, Królowo Śniegu. - Przytulił ją delikatnie i musnął wargami jej usta.

Królowa Śniegu. Znów nazwał ją Królową Śniegu, pomyślała, zdejmując sweter przez głowę. Zabawne, zwykle nazywał ją tak, gdy chciał jej dokuczyć. Tym razem było w jego głosie wiele ciepła, a zarazem rezygnacji. Powiedział też „kochanie”. Nigdy dotąd tak do niej nie mówił.

Włożyła nocną koszulę. Co on takiego mówił o pięknej kobiecie za ścianą? Przejrzała się w ogromnym lustrze, wiszącym nad stylową wiktoriańską toaletką. Dziś, gdy nie miała na sobie tweedowego kostiumu, opromieniona zachęcającymi spojrzeniami Brett, wyglądała naprawdę pięknie. Gdy wsunęła się do solidnego, mosiężnego łóżka i przykryła kołdrą, pomyślała, co na to powiedziałby Brett. Wiedziała. Powiedziałby: szkoda tego piękna, które się marnuje.

Ciągle myślała o nim. Leżał w łóżku za ścianą i usiłował coś czytać. Sara nie wzięła ze sobą żadnej książki. Nie przypuszczała, że znajdzie czas na lekturę. I prawdę mówiąc wcale nie miała ochoty na czytanie. Wierciła się w pościeli, poprawiała spadające bez przerwy poduszki i uderzała głową o mosiężne pręty.

- Ojej! - krzyknęła głośno, gdy znów źle wymierzyła i zamiast o poduszkę oparła głowę o metalową poprzeczkę. Coś poruszyło się za ścianą.

- Idiotka - powiedziała głośno. Chciała, żeby Brett wiedział, że nic się jej nie stało. - Przecież to śmieszne - wymamrotała pod nosem, kiedy wreszcie udało się jej wygodnie ułożyć. Naprawdę śmieszne. Czy Brett sądzi, że ona będzie w stanie zasnąć tej nocy?

On chyba też nie spał. Dotrzymał słowa. Pewnie czytał teraz. Spojrzała na obraz wiszący na ścianie. Przyjrzała się kolorowym kwiatom w złotej ramie. Tej nocy żadne z nich nie zmruży oka, to pewne. Ale dlaczego nie mogli zasnąć? Przecież dzieliła ich ściana. Gdyby mieli wspólny pokój, dopiero nie byłoby mowy o śnie.

Wyobraziła sobie Brett leżące na łóżku. Czy jego oczy nadal tak błyszczą? Fala ciepła znów zalała ją od stóp do głowy. A niech to

diabli! Nie powinna z nim tu przyjeżdżać. No tak, ale jednak przyjechała i nic już nie można było na to poradzić. A Brett był tuż obok. Chciała być przy nim. Chciała czuć jego ramiona, pragnęła dotykać jego ciała, wplatać palce w jego włosy. Chciała go kochać.

Tak, chciała go kochać.

Nie, nie, nie i jeszcze raz nie. Usiadła na skraju łóżka i ukryła twarz w dłoniach. Ta prawda uderzyła ją jak grom. Kochała go - to jasne. Kochała go od chwili, gdy ujrzała go po raz pierwszy. Była w nim zakochana już wtedy, gdy rzucił się jak szalony na podłogę w pogoni za fretką.

Zapaliła światło. Z przerażeniem spojrzała na różowe kwiaty na ścianie. Zgasiła światło. I co teraz robić? Mogła tak leżeć do rana i spędzić noc na rozmyślaniach, co traci. Mogła też wstać i zapukać do Bretta.

No tak, ale co potem?

Potem też będzie dzień.

A później?

Później czeka ją zapewne wiele pustych nocy i ranków. Mężczyznom nie można ufać. Ale będzie miała przynajmniej piękne wspomnienia.

Usiadła, spuściła nogi na podłogę, narzuciła coś na siebie i wyszła na korytarz. Cicho i ostrożnie zastukała w brązowe drzwi. Widniała na nich tabliczka z numerem szesnaście.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Sara nie przestała jeszcze pukać, gdy Brett stał już przy drzwiach. Otworzył. W przytłumionym świetle lampy wydał jej się zupełnie nagi. Cofnęła się o pół kroku.

- Nie uciekaj - powiedział cicho, chwytając ją za rękę i nie pozwalając wycofać się. - Po coś przecież tu przyszłaś. Porozmawiajmy o tym.

Kiedy zamknął drzwi, zobaczyła, że wcale nie jest nagi. Przepasał się ręcznikiem. Kropelki wody lśniły na skórze.

- Brałeś prysznic? Nie położyłeś się jeszcze?

- A powinienem? Prawdę mówiąc tylko zimny prysznic mógł mi przynieść ulgę.

Koniuszkami palców dotknęła go. Był chłodny. Ale już po chwili pod palcami poczuła bijące od niego ciepło. Cofnęła rękę. Brett chwycił ją i przyłożył sobie do serca.

- Sama widzisz, co się ze mną dzieje - szepnął, muskając wargami jej czoło.

Serce waliło mu, jakby za chwilę miało wyskoczyć z piersi.

- Przepraszam - wyszeptała - nie myślałam...

- Nie masz za co przepraszać, moja droga. Proszę, usiądź i powiedz, czemu zawdzięczam tak miłą wizytę.

Objął ją i poprowadził do krzesła obitego karmazy-nowym brokatem, jedyne, jakie stało w pokoju. Usiadł i wziął ją na kolana. Kiedy weszła, choć myślami błędziła gdzie indziej, czuła, że stopy jej są lodowate: teraz rozgrzała się. Westchnęła i objęła Brett'a za szyję.

- Co to jest? Czyżby to była miłość? - spytała.

- Nie bój się mnie, Saro.

- Nie ciebie się boję. - Przytuliła się do niego mocniej. - Ale siebie.

- Wiem - odrzekł, głaszcząc ją delikatnie po plecach. - Obawiasz się, że znów cię ktoś skrzywdzi, prawda? Saro, moja słodka Saro, każdy kiedyś doznał jakiejś krzywdy. Życie zawsze stwarza takie ryzyko. Tak bardzo chciałbym się z tobą kochać, o Boże, o niczym

innym nie myślę. Ale nie zrobię tego, Królowo Śniegu. Chyba że przyjdiesz do mnie sama i powiesz: pragnę tego. Powiesz, że jesteś gotowa do miłości. I że poniesiesz jej konsekwencje.

Sarą wstrząsnął dreszcz. Brett przygarnął ją do siebie jeszcze mocniej. Konsekwencje miłości? Przecież nie będzie żadnego dalszego ciągu. Brett dostanie to, czego pragnie, ona przeżyje piękne chwile. I to wszystko. Lepiej sobie niczego więcej nie obiecywać.

Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Przyszłam tu z własnej woli, Brett. Chcę tego, tak jak ty - szepnęła.

- Jesteś tego pewna? - Brett starał się panować nad sobą, - Jesteś tego zupełnie pewna?

- Tak - odrzekła i delikatnie dotknęła nagiego uda mężczyzny. - Najzupełniej, Brett.

Jęknął cicho. Wstał, trzymając ją ciągle w ramionach, i bez słowa zaniósł do łóżka. Delikatnie ułożył w pościeli. Przez chwilę patrzył na nią z podziwem.

- Jesteś taka piękna, Saro - szepnął. - Taka nieprawdopodobnie piękna.

Wyciągnęła ręce. Siadł przy niej na łóżku, rozwiązał pasek szlafroka i zrzucił go z niej. Gdy ujrzał pod nim jedynie cienką koszulkę, wstrzymał oddech.

- W sypialni nie nosisz zbroi? - spytał z uśmiechem.

- Nie - odpowiedziała. Nie była w stanie powiedzieć nic więcej.

- Rozumiem. W sypialni nie była ci potrzebna - rzekł czule. - Aż do dziś nikt ci tu nie zagrażał.

- Tak - przyznała. Jasona wymazała już z pamięci. - Nikt. Ale przed tobą nie chcę się bronić. Już nie.

Brett uśmiechnął się łagodnie i władczo. Zsunął koszulkę z jej ramion. Schylił głowę i kolejno dotykał ustami wszystkich miejsc na ciele Sary, które były mu dotychczas wzbronione. Sara zdjęła mu ręcznik, który opadł na podłogę. Ciało Bretta nie było już chłodne. Płoneło całe. Zebrała palcem kilka kropli potu.

- Doprowadzasz mnie do szaleństwa, piękna Królowo Śniegu -

szepnął Sarze do ucha głosem pełnym zachwytu.

Ale on też doprowadzał ją do szaleństwa. Wszędzie czuła na sobie dotyk jego ust i rąk. Nie śpieszył się. Nie chciał sprawić jej bólu. Całował czule i delikatnie.

Gdy wreszcie krzyknęła: „Brett, zrób to...”, wziął ją. Ziemia rozstąpiła się pod nimi, wybuchnęła gejzerem doznań i barw. Nigdy dotąd niczego takiego nie przeżyła.

Także z Jasonem.

Kilka godzin później, gdy nasycili się miłością i gdy zaczął spływać na nich sen, Sara, tuląc się do uszczęśliwionego Brett, pomyślała, że oto po raz pierwszy miała do czynienia z mężczyzną, który nie tylko brał, ale także dawał.

Tej nocy dał jej jeszcze wiele miłości i szczęścia. Nie dał jednego - nadziei na przyszłość. Ale tego nie wolno się domagać od żadnego mężczyzny. Nie tylko od Brett, pomyślała Sara. Nie chciała teraz o tym myśleć. Westchnęła cicho i wygodnie ułożywszy się w jego ramionach zasnęła.

Niesamowity dźwięk saksofonu przeszył nagle powietrze, gdy Brett i Sara stali na szczycie wzniesienia nad Fort Worden. Śniadanie zjedli późno, ale nie śpieszyli się. Brett stwierdził, że tylko łyk świeżego powietrza może go wygnać z łóżka. Wstali więc i pojechali.

- Oczywiście, możemy zostać - zawahał się Brett, czując włosy Sary na policzku. - Ale to nieduży hotel i sędzę, że patrzą tu krzywym okiem na gości, którzy przez cały dzień nie wychodzą z pokoju, zajęci sobą.

Sara roześmiała się i powiedziała, że w takim razie ona także potrzebuje łyku świeżego powietrza. Jeśli ma jakoś oprzeć się pokusom...

Cudownie było obudzić się rano obok Brett i czuć jego gorące, mocne ciało. Cudowna też była cała noc, poprzedzająca to przebudzenie. Wiedziała, że ten cud nie potrwa długo, lecz nie miała ochoty zastanawiać się nad tym. Gdy zwinięta w kłębek leżała tuż obok niego, przyszłość nie miała znaczenia. Czuła wewnętrzny spokój. Nikt nie mógł jej skrzywdzić. Gdy Brett był przy niej, nic jej

nie groziło. Kochała go i wiedziała, że zawsze będzie go kochać.

Kilka godzin później stali w miejscu, gdzie nie tak dawno sterczały lufy wielkich dział wycelowanych w ocean. Wiał wiatr. Gdzieś w dole nieznany saksofoni-sta wygrywał smętną melodię, która doskonale pasowała do miejsca. Symbolizowała pustkę okolicy tętniącej nigdyż życiem. Pustkę bastionu dawniej dudniącego od stuku żołnierskich butów o betonowe platformy potężnych umocnień.

Na myśl o przyszłości, kryjącej się w cieniu dzisiejszego słonecznego dnia, Sara zdrżała mimowolnie.

- Co się stało, kochanie? - spytał Brett i silniej otoczył ją ramieniem. - Zimno ci?

- Nie, nie wiem - odparła drżącym głosem. - To ta muzyka. Taka niesamowita. I taka smutna.

- Nie mam pojęcia, kto to gra, ale przyszedł tu pewnie w poszukiwaniu ciszy i samotności. Zachwycił się nastrojem tego miejsca. Posłuchał echa. Chciałabyś dowiedzieć się kto to taki, Saro?

Sara pokręciła głową.

- Nie - odrzekła bez wahania, - Czuję, że on chce być tu sam ze swymi wspomnieniami. Pozwólmy mu na to.

Brett spojrzał na nią.

- Masz rację - powiedział zdecydowany. - No, już chyba dość oboje nałykaliśmy się świeżego powietrza. Zimno tu. Chodźmy. Kupimy ci sukienkę.

- Nie potrzebuję żadnej sukienki - zaprotestowała Sara.

Poszli drogą pod wiatr w kierunku samochodu.

- Rozmawialiśmy już o tym, Saro - westchnął Brett

- i wydawało mi się, że wszystko jest ustalone. Kupię ci sukienkę tak ładną, że bez żalu rozstaniez się ze swoim ulubionym stylem brązowego kartofla. Bez żalu, za to na dobre.

- Wolisz, żebym wyglądała jak karczoch albo burak

- burknęła pod nosem.

- Nie - odparł krzywiąc twarz. - Wolę, żebyś wyglądała jak pomidor.

- Jedno jest pewne. Nie będziesz na mnie wydawał pieniędzy.

- Ale rzecz polega na tym, że mam ich sporo. Klinika przynosi dochód. I bardzo chciałbym wydać na ciebie trochę pieniędzy.

- Nie i już! - krzyknęła Sara. - Brett, wiem, że masz dobre intencje - dodała nieco ciszej. - Ale tego wydatku na cele dobroczynne od podatku ci nie odliczą.

- Szlag by to trafił! Nie chcę, żeby mi coś odliczali od podatku! - uniósł się Brett, jak zawsze w takich razach tracąc cierpliwość. - Chcę tylko siedzieć dziś przy kolacji naprzeciw czarującej, fascynującej kobiety, której uroda powala z nóg wszystkich mężczyzn w okolicy. A nie naprzeciw warzywa.

- Warzywa...?

Sara spojrzała na Brett'a niedowierzająco. Wyglądał wojowniczo. Przygryzł lekko wargi, w oczach miał gniewne błyski. Nagle wybuchnęła głośnym śmiechem.

- Niech ci będzie - powiedziała, nie przestając się śmiać. - Poddaję się. Wygrałeś. Wyglądasz jak mały chłopiec zły na młodszego brata, że zabrał mu ukochany kolorowy kamyk. Jeżeli aż tak ci na tym zależy, niech już tak będzie.

- Mały chłopiec... - mruknął Brett i spojrzał na nią złym wzrokiem. Ale po chwili złość minęła i śmiał się głośno razem z Sarą.

- Musiałem wyglądać rzeczywiście jak uparty dzieciak - przyznał ze wstydem. - Ze starych nawyków nie wyrasta się szybko.

- Jesteś tego znakomitym przykładem - zgodziła się Sara. - Czy musiałeś często bić się ze swoim bratem, czy to, co chciałeś, dostawałeś zawsze bez walki? - spytała po chwili.

- Biliśmy się niemal bez przerwy. Raz on był górą, raz ja. Teraz jesteśmy- dobrymi przyjaciółmi i nie czujemy już potrzeby rywalizowania o każdą zabawkę, grę, samolot. Albo o to, który z nas dostanie większy kawałek ciasta.

Sara uśmiechnęła się. Podobała jej się otwartość, z jaką Brett mówił o bracie. Przez resztę drogi do miasta rozmawiali o dzieciństwie Brett'a. O jego bracie i rodzicach, nadal mieszkających w Seattle.

Trzy godziny później byli w zgoła odmiennym nastroju. Zmęczeni

szli ulicą. Sara niosła wielkie pudło, efekt kilku wizyt w miejscowych sklepach i sklepikach. O niczym nie rozmawiali. Brett miał minę naburmuszoną. Sara przybrała minę zwycięzcy. Nie byli w stanie zamienić ze sobą nawet jednego słowa.

Gdy usiedli w małej kafejce przy Walter Street, pierwsza odezwała się Sara:

- Nie chciałabym wszczynać z tobą kłótni, Brett

- zaczęła - ale wierz mi, że w tej sukience w pomarańczowe plamy nie było mi do twarzy. A w tamtej czerwonej, chociaż była bardzo ładna, wyglądałam tak jakoś staro...

- Tak, wiem - burknął Brett. - W żółtej wyglądałaś jak kanarek, a w tej w kwiaty jak kawałek trawnika...

- Ale tak było naprawdę, Brett. Przekonasz się, że miałam rację, kiedy wieczorem włożę tę nową suknię, a do niej biżuterię i odpowiednie buty. To wszystko jest piękne, bardzo ci dziękuję. - Zawahała się. - Chyba nie masz nic przeciwko temu? Może chcesz, żebym zwróciła to do sklepu...

- Nie. - Potrząsnął głową i uśmiechnął się do niej zrezygnowany. - W żadnym wypadku, Królowo Śniegu. Jeżeli ci się to naprawdę podoba... A poza tym... przynajmniej nie jest to ani brązowe, ani granatowe.

Sara rozpromieniła się i odetchnęła z ulgą. Dzięki Bogu, było już po wszystkim. Przez trzy godziny chodzili od sklepu do sklepu, nie przestając sprzeczać się ani na chwilę. Brett miał może rację. W kolorach, które nosiła na co dzień, nie było jej najlepiej. Ale to w końcu jej sprawa. Brett potrafił krytykować, ale nie potrafił doradzić. Nie wiedział, w czym jest jej dobrze. I w czym, co najważniejsze, podoba się sobie. Zupełnie nie znał się na damskiej modzie, choć, jak wielu mężczyzn, lubił przechwalać się swoim rzekomo doskonałym gustem. Sara wzdrygnęła się. Gdyby go posłuchała, już w pierwszym sklepie kupiliby sukienkę, w której wyglądała jak połączenie pięknej Tahitanki ze smutną papugą. Teraz, na szczęście, miała już wszystko za sobą. Nie przyzwyczajona do przyjmowania prezentów od mężczyzn, nadal czuła się jednak trochę dziwnie. Sytuacja, w której

się znalazła, wydała jej się dość krępująca, ale nie chciała psuć weekendu jemu i sobie.

Obiad zabrał im sporo czasu. Byli zmęczeni zakupami, postanowili więc się nie śpieszyć. Gdy zjedli, Brett zaproponował, żeby wrócili do hotelu.

- Dla zregenerowania sił - wyjaśnił, a jego złociste oczy iskrzyły się jak diamenty.

Sara niespodziewanie poczuła się zakłopotana. Bardzo pragnęła być z Brettem sam na sam, ale zarazem obawiała się, że ta przedłużająca się zażyłość odetnie jej możliwość powrotu. Powrotu do samotności i odosobnienia, które sobie narzuciła.

Trzymała w ręku kawałek bułki. Resztę bezmyślnie kruszyła na talerz. Brett zdążył już podbić jej serce. Zdawała sobie z tego sprawę. I tego nie dało się odwrócić.

Pokręciła głową i drgnęła na myśl o tym, jak zareaguje.

- Nie. Nie, Brett. Sądzę, że najpierw powinniśmy zwiedzić Port Townsend. Przecież nawet nie zdążyliśmy rozejrzeć się po okolicy...

- O, mój Boże - burknął, wznosząc oczy ku niebu. - Myślałem, że wszystko, co było do obejrzenia, widzieliśmy już rano.

- Nie zwiedziliśmy jeszcze wszystkich starych domów - powiedziała szybko,

- Saro Malone, mieszkasz w tej okolicy od urodzenia. Nie wmawiaj mi, że nigdy dotąd nie zwiedzałaś starych domów w Port Townsend.

- No tak, hm, zwiedzałam. Ale dawno temu. Brett spojrzał na twarz Sary, pokrywającą się już delikatnym rumieńcem.

- Dobrze - zgodził się zrezygnowany. - Tym razem zrobimy tak, jak ty zechcesz. A potem wrócimy do hotelu.

Sara skinęła głową. Czowała się głupio, choć nie bardzo wiedziała dlaczego. Nie zwlekając zaczęła zwiedzanie słynnych, miejscowych zabytków wiktoriańskich.

- Wszystkie te ciężkie meble, te bogate ozdoby są zupełnie nie w moim guście - mruknęła, gdy obejrzeliby wszystko, co było do obejrzenia, a Brett wziął ją pod rękę i prowadził w stronę hotelu. - Zupełnie nie w moim guście.

- Tak - zgodził się Brett. - W moim też nie. Ale w każdym razie w tych starych domach jest o wiele więcej ciepła niż w wielu nowoczesnych, zwłaszcza parterowych. Są bardziej przytulne.

Gdy weszli do hotelu, Sara znów poczuła się zakłopotana. Kiedy Brett otwierał drzwi do swego pokoju, mruknęła pod nosem, że chciałyby wstąpić do siebie.

- Nonsens - odrzekł krótko. Otworzywszy drzwi, objął ją i obrócił ku sobie. - Zostaniesz ze mną. Marzyłem o tym przez całe popołudnie. Zaplanowałem coś dla nas na najbliższych kilka godzin i nie myśl, że tak łatwo mi się wymkniesz. Na szczęście jesteśmy daleko od twojego domu, w którym mogłabyś się schować jak w skorupie.

Sara zadarła nos do góry, jej usta drżały z oburzenia.

- Okay - dodał tonem już mniej autokratycznym.

- Przepraszam, Saro. Naprawdę nie chciałem cię dotknąć. W twoim domu jest przynajmniej czysto i porządnie, czego żadną miarą nie da się powiedzieć o moim.

- Ale uważasz, że mój dom jest zimny i nieprzytulny

- odrzekła z wyrzutem. - Skorupa! Myślisz zupełnie jak moja matka.

- W najmniejszym stopniu nie jestem podobny do twojej matki. Możesz więc przestać mieć już kwaśną minę. I to natychmiast. Bo właśnie mam zamiar udowodnić, jak bardzo się od niej różnię.

Sara otworzyła usta. Chciała powiedzieć, co myśli o takim traktowaniu i dodać, że wcale nie ma kwaśnej miny, ale nie wyrzekła nawet słowa. Brett przykrył jej usta gorącym pocałunkiem, dał lekkiego klapsa i popchnął w stronę łóżka.

- Ale... - zaczęła Sara.

- Żadnych ale - powiedział Brett.

Stał za nią. Objął ją i przytulił do siebie. Gdy poczuła jego mocne ciało, męski zapach, gdy usłyszała to, co szepnął jej do ucha, nie było już mowy o żadnym ale. Odwróciła się i przywarła do niego najmocniej, jak tylko mogła. Padli na łóżko.

Było już zupełnie ciemno, kiedy Brett spojrzał na zegarek, którego

nie zdążył zdjąć z ręki, zanim zaczęli się kochać. Oznajmił, że jeśli chcą jeszcze dziś coś zjeść, powinni szybko zejść na dół. Sara popatrzyła na niego figlarnie.

- W takim razie musisz pozwolić mi wstać - powiedziała - i pójść choć na chwilę do siebie.

- Niech ci będzie - zgodził się niechętnie. - Wiem, że nie należysz do kobiet, które przez trzy godziny wkładają sukienkę, a przez trzy następne się malują. Więc mam nadzieję, że uda mi się jeszcze coś zjeść przed Bożym Narodzeniem. Tylko nie zrób mi zawodu. Nie grzeb się.

Sara wymierzyła mu szybki i lekki cios w żołądek i wyskoczyła z łóżka, zanim rzucił się, żeby ją złapać.

Pół godziny później była z powrotem. Gdy Brett ujrzał ją w jasnomiodowej jedwabnej bluzce z dekoltem na plecach, falbanką na biuście i w spódnicy podkreślającej piękną figurę Sary, lecz w najmniejszym stopniu nie krępującej jej ruchów, uniósł brwi w górę i gwizdnął z zachwytem.

- No, widzisz - rzekła. - Mówiłam, że kiedy założę czerwone pantofle i naszyjnik z granatów, będę wyglądała zupełnie dobrze.

Miała zadowoloną minę.

- Dobrze? - powtórzył Brett. - To mało powiedziane. Wyglądasz jak żywy afrodyzjak. - Podeszedł do niej.

- Chciałoby się natychmiast cię rozebrać.

- Tak, ale nie teraz. - Roześmiała się i uciekła przed nim. - Ty też wyglądasz ponętnie. Ten czarny garnitur dodaje ci jeszcze męskości. I siły.

- Będę o tym pamiętał przy naszej następnej kłótni

- odrzekł sucho.

- Ja nigdy się z tobą nie kłócę - odparła, po czym ułożyła buzię w ciup i spuściła oczy.

- Mówię tak na wszelki wypadek - mruknął, podając jej ramię.

Zeszli na dół. Wybrali restaurację spokojną i elegancką. Stały tam solidne stoły i krzesła, ogień buzował w ogromnym kominku. Nastrój wnętrza harmonizował z dostojną atmosferą całego miasta.

Wskazano im stolik w małej alkwie. Na ścianie nad nimi wisiał portret poważnego, brodatego mężczyzny, założyciela Port Townsend.

- To wspaniałe - zachichotała Sara. - Nikt nie ośmieliłby się figlować na jego oczach. I bardzo dobrze.

W końcu przyszliśmy tu coś zjeść. Więc nie patrz na mnie takim wzrokiem, Bretcie Jackson. Niczego nie wypatrzysz, pomyślałam o tym.

- Toteż niczego nie widzę - odrzekł Brett tak ponuro, że Sara znów się roześmiała.

Śmiali się tego wieczoru dużo i często. Dopiero gdy zjedli sałatkę, pstrąga, z wody z orzechami i po kawałku francuskiego pasztetu, i byli już przy kawie, rozmowa zeszała na sprawy poważne.

Sara powiedziała coś na temat małej ryciny wiszącej na przeciwległej ścianie. Brett nie zainteresował się tym zbyt.

- Uhm - mruknął - Miranda podobnych rzeczy produkowała bez liku. Walały się po całym domu.

- Walały się? Jak możesz tak mówić? - Sara uśmiechnęła się cierpko. - Nie podobały ci się?

- Nie, nie podobały mi się. Ale ona zawsze chciała być czymś zajęta.

Miranda chciała być zawsze zajęta. To jeszcze jeden dowód, że jego małżeństwo nie układało się po różach. Sara obserwowała Brett'a dyskretnie. Nagle stał się jakby nieobecny. Kiedy patrzyła na jego zmarszczone czoło i zaciśnięte usta, zdała sobie sprawę, że nic prawie nie wie o jego przeszłości.

W gruncie rzeczy wiedziała o Bretcie bardzo mało. Pewna była tylko jednego - tego, że go kocha.

- Brett - zaczęła ostrożnie - nie mam właściwie prawa pytać cię o to i już kiedyś powiedziałaś, że nie masz ochoty o tym mówić, ale... Ile jest prawdy w pogłoskach na temat twojego małżeństwa?

Przez chwilę dostrzegła w oczach Brett'a niewysłowiony ból. Żałowała, że zadała mu to pytanie. Potem znów zmienił się na twarzy, położył dłonie na stole i oparł się wygodnie na krześle.

- Aha. No tak. Wiedziałem.

- Co wiedziałeś?

- Wiedziałem, że musiałaś słyszeć te okropne rzeczy. Byłem pewny, że dotrą do Caley Gove.

- Wszystkie plotki docierają do Caley Cove - odrzekła smutno.

Rysy Bretta rozluźniły się. Jeszcze przed chwilą jego twarz przypominała maskę z brązu. Teraz maska opadła. Brett uśmiechnął się ponuro.

- Na to wygląda - powiedział. - Rozumiem, że uwierzyłaś im. Tak jak i innym.

Sara pokręciła głową.

- Nie, wcale nie. Nie chciałam im wierzyć. Ale nie mogłam oprzeć się myśli, że...

- Tak właśnie sądziłem. Zmarszczyła brwi.

- To pewnie dlatego tak często zachowywałeś się jak źle wychowany niedźwiedź. Naprawdę sądziłeś, że ja... - urwała. - Ale... ale jeśli tak myślałeś, i jeżeli wszystkie te opowieści nie są prawdziwe, dlaczego nie powiedziałeś mi...

- A musiałem? - zachrypiął. - Nie musiałem nikogo prosić o wybaczenie. Ani tłumaczyć się przed kimkolwiek. Nie mam zwyczaju komentować plotek na własny temat.

- Tak - rzekła Sara, wpatrując się w filiżankę kawy, stojącą przed nią na stole. Tak, rozumiem.

Rozumiała doskonale. Wyjaśnianie czegokolwiek w tej sprawie byłoby ze strony Bretta oznaką słabości. Nawet jeśli miał powody, aby się usprawiedliwiać. Najwyraźniej chciał, żeby ludzie akceptowali go takim, jakim był, albo nie akceptowali go wcale. Bez żadnych dodatkowych wyjaśnień z jego strony. Tego samego wymagał zapewne od niej.

Patrzył na Sarę dziwnym, jakby zamglonym wzrokiem.

- Domyślam się - rzekł, uśmiechając się smutno - że mówiąc o plotkach na temat mojego małżeństwa, naprawdę masz na myśli pogłoski o przyczynach śmierci mojej żony.

- No, cóż. Owszem. Ale czy jedno nie łączy się z drugim?

Wzruszył ramionami.

- Pewnie tak. Zawsze mieliśmy opinię niezgranego i nieszczęśliwego małżeństwa. Z powodów, w które nie chciałbym się w tej chwili zagłębiać. Plotkowano więc, że szukam szczęścia i ukojenia na boku.

- Z Elise?

- Właśnie. Była świetną recepcjonistką, ale w pewnej chwili uznała, że musi odejść. Nie - dodał zdecydowanym tonem, uprzedzając pytanie, które malowało się już w oczach Sary - wtedy z nią nie romansowałem. To stało się o wiele później i zresztą nie trwało długo. Ale kiedy Miranda umarła, oczywiście zaczęto mówić, że popełniła samobójstwo.

- Ale to nie było samobójstwo - powiedziała Sara z przekonaniem.

- Nie odebrała sobie życia, prawda?

Brett położył sobie rękę na karku, był zakłopotany.

- To był wypadek.

- Czy nie mógłbyś... to znaczy...

- Czy nie mógłbym powiedzieć ci, co się stało? Myślę, że mogę. Nic nie stoi na przeszkodzie. Masz prawo wiedzieć. I wolę, żebyś dowiedziała się o wszystkim ode mnie, niż słuchała Bóg wie jakich plotek od wiedźmy, która nie ma nic lepszego do roboty, jak tylko obgadywać sąsiadów.

Tyle było gorczy w jego głosie, że Sarę przeszedł dreszcz. O, mój Boże, pomyślała, mówiąc o wiedźmie, chyba nie miał na myśli jej matki? Chociaż... Boże, a teraz Brett patrzy na nią złym okiem. Lecz chyba nie ma powodów do obaw. Nie mogło chodzić mu o matkę, bo nie poznał jej przecież. I najprawdopodobniej nigdy nie pozna.

- Ja... Tak, tak, masz rację... Ty wiesz najlepiej, co się właściwie stało.

- O tak. Wiem — powiedział cicho, nerwowo stukając palcami o blat stołu. - Mówiąc bez ogródek, było tak: Kiedy odebrałszy kocięta od pewnej kotki, która poradziłaby sobie doskonale beze mnie, lecz której państwo nie chcieli pozostawić nawet przez chwilę bez opieki, wróciłem do domu, Tony leżał w łóżku i spał, a Miranda - Brett

zamknął oczy - a Miranda siedziała w fotelu i już nie żyła. Telewizor był ciągle włączony.

- To straszne. Tak mi przykro, Brett...

Usta Bretta wykrzywiły się nagle, odwrócił głowę. Ale wcześniej zdążyła spojrzeć mu w oczy. Chciało jej się płakać.

- Niepotrzebnie mi współczujesz - powiedział brutalnie, nie patrząc na nią. - To było rzeczywiście straszne. Ale w tych wszystkich pogłoskach kryło się też trochę prawdy. Nie byliśmy razem szczęśliwi. Bóg mi świadkiem, że nie chciałem jej śmierci, ale, no cóż, kiedy jej zabrakło, nie czułem się tak, jakbym stracił miłość swego życia.

Mówił coraz bardziej ochryłym głosem.

- Czyżby przyniosło ci to ulgę? - zapytała ze zgrozą.

- Nie. Nie przyniosło mi to ulgi. - Odwrócił się i dłonią potarł czoło.

- Może w to nie uwierzysz, ale długo tęskniłem za nią. Czasem lepiej mieć kogoś przy sobie, nawet kogoś, z kim musisz ciągle o wszystko walczyć... niż nie mieć nikogo. Ciężko jest wracać do pustego domu. Tony czuł to samo. Dlatego przeprowadziliśmy się.

- Rozumiem - rzekła powoli Sara.

Nie była pewna, czy wypada zapytać o przyczynę śmierci Mirandy. Brett, jak dotąd, nie wspomniał o tym. Być może przekraczało to jego siły.

Brett wyczuł, że Sara oczekuje dalszych wyjaśnień.

- To nie było samobójstwo - powiedział wreszcie, położywszy rękę na stole i westchnąwszy głęboko. - Miranda nigdy nie była szczęśliwa. Zastanawiałem się czasem, czy w ogóle potrafi być szczęśliwa. Robiłem, co mogłem. Przysięgam, że próbowałem na różne sposoby. Gdy przenieśliśmy się z Seattle do Port Angeles, tęskniła za przyjaciółmi i była jeszcze bardziej nieszczęśliwa. Próbowwała wymknąć się prześladowającym ją demonom. Chodziła po barach i podrywała różnych dziwnych mężczyzn. Powiedziała mi, że zapisała się do klubu brydżowego. Ucieszyłem się, że znalazła jakiś punkt zaczepienia. Potem jednak odkryłem prawdę...

- Ale z pewnością... - Sara przełknęła ślinę. - Z pewnością wszyscy

musieli o tym wiedzieć.

- Nie. Wcale nie. Wiedziałem o tym tylko ja. Zresztą dowiedziałem się o wszystkim przypadkiem. W ostatniej chwili musiałem znaleźć kogoś, kto zaopiekowałby się Tonym. Wezwano mnie pilnie daleko za miasto. Samochód potrącił psa przyjaciela. Pojechałem, zrobiłem, co było trzeba. W drodze powrotnej popsuł mi się samochód. I wtedy zobaczyłem Mirandę. Z jakimś mężczyzną. Był z niej szczwany lis, wybierała miejsca z dala od miasta, i dlatego nie wiedział o tym nikt prócz nas dwojga.

Podniósł do ust filiżankę. Wypił całą, jakby umierał z pragnienia.

- Och, Brett - szepnęła Sara. - Musiałeś bardzo cierpieć...

Bruzdy wokół ust Bretta zaznaczyły się mocniej.

- Nie było mi łatwo. - Wzruszył ramionami. - Ale jakoś to przeżyłem... Mirandzie też musiało być ciężko - dodał po chwili. - Nie umiałem jej pomóc. Chociaż chciałem. I nawet próbowałem. Ale ta walka była już z góry przegrana. A potem zaczęły dokuczać jej bóle głowy. Brała niezliczone ilości pastylek. Tej nocy, kiedy umarła, widocznie zabrakło jej proszków, bo wdarła się do mojej kliniki... prowadziłem ją wtedy przy domu, ale ze względu na Tony'ego zawsze zamykałem na klucz... i zaczęła myszkować w apteczce. Znalazła pastylki dla psów. Gdybym tylko wiedział... - Załamał mu się głos, ukrył twarz w dłoniach i po chwili dokończył z widocznym wysiłkiem: - Wzięła prawie pół opakowania środków uspokajających. Sądziła pewnie, że jeśli mają podziałać na człowieka, trzeba zażyć ich więcej niż zwykłych.

- Ależ na miłość boską! - krzyknęła Sara, wpatrując się w zastygłą z bólu twarz Bretta. - Jak ona mogła zrobić coś tak... tak...

- Szalonego?

Brett zaśmiał się chrapliwie. Sara poczuła znów dreszcze na plecach.

- Normalnie pewnie by tego nie zrobiła, ale jak wykazała sekcja, przedtem piła. Przypuszczam, że kiedy zorientowała się, że nie ma już pastylek, w pierwszym odruchu wypła kilka drinków. Zawsze mieliśmy w domu alkohol. - Brett znów zachrypnął. - Tak czy inaczej, w

chwili gdy weszła do kliniki, chyba nie była już w stanie myśleć trzeźwo. Tak mi przynajmniej oficjalnie powiedziano. Ale oczywiście nikt w tę wersję nie uwierzył.

- Biedny Brett - powiedziała Sara najdelikatniej jak umiała.

Wyciągnęła rękę i położyła ją na dłoniach Bretta kurczowo ściskających blat stołu. - I na dodatek miałeś stale do czynienia z ludźmi, powtarzającymi kłamstwa o tobie. I musiałeś stale uważać, żeby plotki nie dotarły do Tony'ego. Czy odbiło się to też na twojej praktyce?

- Na szczęście wszyscy, nawet plotkarze, w obecności Tony'ego trzymali język za zębami. A moi przyjaciele, na których mi naprawdę zależało, znali prawdę i wierzyli w nią. - Westchnął głęboko. - Tak, przez jakiś czas odbijało się to też na moim życiu zawodowym. Ale na szczęście ludzie, gdy w grę wchodzi ich własna wyгода, mają krótką pamięć. W tej części miasta byłem jedynym weterynarzem.

- Biedny Brett - powtórzyła Sara. - Tak mi przykro, że przeze mnie to wszystko znów stało ci tak żywo w pamięci. Ale... ale nie możesz się winić z powodu śmierci Mirandy.

- Tak myślisz?

- Oczywiście. Nie mogłeś wiedzieć...

- Że połknie te pastylki? Tak, tego nie mogłem wiedzieć. Jednak gdybym o tym wcześniej pomyślał, żyłaby nadal.

- Ale jak mogłeś się tego domyślić? - krzyknęła Sara, nie mogąc już dłużej znieść jego udręki. - Och, Brett, tak mi przykro, że przypomniałam ci o tym...

- Niepotrzebnie jest ci przykro.

Podniósł jej rękę ze stołu i spojrzał na nią wzrokiem, w którym malował się zarówno smutek, jak czułość i łagodność.

- Cieszę się, że wiesz. Nie lubię mówić o tym. Inaczej już wcześniej wiedziałabyś o wszystkim.

Wyznanie to brzmiało szczerze. Głos Bretta dźwięczał już jak dawniej. Sara domyśliła się, że opowiedziawszy jej swoją historię poczuł ulgę. Może wreszcie uporał się z dręczącymi go koszmarami. Ciepłe światło rozbłysło w oczach Bretta. Gdy na nią patrzył, to

ciepło udzielało się także Sarze. Wyrzucała sobie, że odkąd go poznała, nigdy właściwie nie potrafiła wyobrazić sobie jego problemów, tak bardzo pochłaniały ją własne sprawy. Stwierdziwszy to, doszła do wniosku, że może tu właśnie kryła się przyczyna, dla której przez dziesięć lat żyła w samotności. Tak bardzo skupiła się na sobie, że dopiero Brett zbudził ją pocałunkiem jak Śpiącą Królową. Teraz, nagle, chciała mu to wszystko wynagrodzić. Że tyle wycierpiał. Że więcej myślała o sobie niż o nim. Że zaczęła rozmowę na temat tak bardzo dla niego bolesny.

Kilka pytań pozostawało wciąż jeszcze bez odpowiedzi. Winę za nieudane małżeństwo ponosiła, zdaniem Bretta, Miranda. Ale najprawdopodobniej zawinili oboje. Coś musiało sprawić, że związek dwojga bliskich sobie ludzi nagle przestał być dobry.

Sara ujrzała uśmiech na twarzy Bretta i pytania, na które ciągle nie znała odpowiedzi, przestały być ważne. Myślała tylko o tym, co zrobić, by Brett znów poczuł się dobrze.

Uśmiechnęła się do niego uwodzicielsko.

- Chodźmy do domu - powiedziała cicho.

- Do domu? - powtórzył/Wiedziała, że próbował dostosować się do jej nastroju i zatrzeć w pamięci niedawne wspomnienia. - Ale chyba nie masz na myśli Caley Cove? Bo nie wiem, czy zniosę tak długie oczekiwanie.

- Ja też nie wiem - przyznała Sara.

Kilka minut później oboje stali znów w holu hotelowym przed pokojem Bretta. Tym razem jednak Sara nie wspomniała już, że chciałyby wrócić do siebie.

Następnego ranka Brett obudził się pierwszy. Usiadł w łóżku, spojrzał na kobietę, śpiącą spokojnie obok niego, i delikatnie dotknął ręką jej policzka, a gdy obudziła się, spojrzała na niego i uśmiechnęła się, powiedział mocnym głosem:

- Kocham cię, Saro. Czy zostaniesz moją żoną?

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Oczy Sary, pełne jeszcze snu i niezbyt przytomne, na dźwięk słów Bretta otworzyły się szeroko. Usiadła na łóżku.

- Co takiego? - wymamrotała drżącym głosem, podciągając kołdrę pod samą szyję. - Co ty powiedziałeś, Brett?

- Słyszałaś, co powiedziałem. Chcę się z tobą ożenić.

- Nie! - Sara krzyknęła, jakby przeszył ją nagły ból. Brett skrzywił się. Spojrzał jej prosto w oczy.

- Nie kochasz mnie, Saro?

Powiedział to spokojnie, ale Sara wyczuła w jego głosie napięcie. Zrozumiała, że nie ma wyboru. Brett musi poznać prawdę.

- Kocham - odrzekła i dostrzegła błysk łez w jego oczach. - Tak, Brett, bardzo cię kocham. Myślę, że zakochałam się w tobie od pierwszego wejrzenia. Jednak nie mogę cię poślubić.

- Dlaczego? - spytał i mocno ścisnął jej rękę. - Dlaczego nie możesz mnie poślubić, Saro? Kocham cię i chcę być z tobą już zawsze. - Kąciki ust Bretta uniosły się lekko. - Nie dopuszczałaś mnie do siebie, a mimo to nigdy nie czułem się szczęśliwszy. A wszystko to zawdzięczam tobie, Królowo Śniegu. Twojemu ciepłu, którego starałaś się nie okazywać... nawet mnie. Twym uśmiechom, których często nie udawało ci się zamaskować. Tak wiele nas łączy, Saro. Choćby twoje uczucie do mojego syna. Jeśli się nie mylę... ty go kochasz. Przy tym potrafisz być wspaniałą kobietą, kochającą namiętnie, bez opamiętania. Nie odrzucaj tego wszystkiego dla... - Brett zawahał się, widząc białe pręgi w miejscu, gdzie ścisnął jej rękę zbyt mocno. - Dla świętego spokoju, do którego przywykłaś— dokończył i delikatnie roztarł jej rękę.

- Dla świętego spokoju? - zdziwiła się Sara. - Nie zależy mi na nim.

- Naprawdę? Więc dlaczego, Saro?

Sara przełknęła ślinę i jeszcze szczelniej owinęła się kołdrą.

- Dlatego... dlatego... Tak, wiem, ty teraz myślisz, że mnie kochasz, Brett. Może zresztą jest tak naprawdę. Ale potem, za jakiś czas,

zmienisz zdanie. Znudzę ci się. Tak jak znudziłam się Jasonowi. Chociaż będzie ci ze mną łatwo...

- Do diabła, kobieto, ja nie jestem Jasonem! - ryknął Brett. - Ile razy muszę ci to powtarzać? - Bruzdy wokół ust Bretta pogłębiły się, oczy błyszczały mu gniewnie. - Bądź tak dobra i zrozum, że to ja najlepiej wiem, co czuję i myślę. Zaufaj mi choć trochę. Nigdy mi się nie znudzisz. I wiedz, że nie spotkałem kobiety tak trudnej do zdobycia jak ty.

- Och - powiedziała Sara cicho.

- Och? - Brett spojrział na nią uważnie. - Czy to wszystko, co masz mi w tej sprawie do powiedzenia?

- Nie, Brett... Wdzięczna ci jestem za tę propozycję. Nie chcę cię zranić. Masz rację, bardzo lubię Tony'ego. Jednak wyjść za ciebie nie mogę. Nie chcę już wychodzić za mąż. Nie chcę znów upokorzenia. Ale to nie tylko to. Gdyby twoje małżeństwo z Mirandą było udane, gdybyś potrafił ją uszczęśliwić, miałabym jeszcze cień nadziei. Skoro więc nie udało ci się to wtedy, czy może udać się teraz? Nadzieje i obietnice niewiele już dla mnie znaczą.

-Saro... - Brett pokiwał głową, nie wiedząc co począć. - Saro, byłem wtedy taki młody. Od samego początku nie układało się między nami. Z tobą uda mi się na pewno. Musimy tylko postarać się o to razem. Ciebie kocham.

- A Mirandy nie kochałeś? Nigdy?

-Wydawało mi się, że ją kocham. Dzisiaj jestem starszy i mądrzejszy. Umiem odróżnić miłość od zaślepienia. - Przygłodził jej mały kosmyk włosów za uchem. - Saro, wiem, ktoś cię skrzywdził. Mnie też skrzywdzono. I nie pozwolę, żeby ktokolwiek ważył się skrzywdzić cię jeszcze raz. Czemu mi nie wierzysz? Nie zachowuj się jak panna Havisham. Nie chcę, żebyś zestarzała się i zgorzkniała, pielęgnując w sobie poczucie krzywdy. Saro, wykorzystaj tę szansę... Skorzystaj z szansy na miłość!

Sara potrząsnęła głową. Nie chciała patrzeć na niego. Rozglądała się po pokoju, szukając czegoś, na czym mogłaby dłużej zatrzymać wzrok.

- Nie mogę, Brett. Tu nie chodzi o miłość, ale o mój wewnętrzny spokój. I o twój wewnętrzny także, Brett. Ten weekend jest cudowny, to prawda. Ale gdybyśmy się pobrali, nasze szczęście rozsypałoby się jak domek z kart. Chciałam mieć miłe wspomnienia i mam je. Niczego więcej nie pragnę. Wybacz mi, nie chciałam cię dotknąć, ale uwierz, że na dłuższą metę dla nas obojga będzie lepiej, jeśli nie pozostaniemy razem. Osobno będziemy szczęśliwsi. - Zacisnęła palce i mówiła dalej. - Nie powinnam była... Nie powinnam była pozwolić ci na tak wiele... Więc jeśli zgadzasz się ze mną, będzie lepiej, jeżeli od jutra przestaniemy się widywać.

Brett patrzył na nią w milczeniu. Jego twarz zamieniła się w kamienną maskę.

- Więc to tak? - warknął. - Odmawiasz mi prawa do widywania się z tobą? Po tym, co przeżyliśmy razem. „Miło było, Brett, pobaraszkwaliśmy trochę, no i kocham cię, oczywiście, ale sam rozumiesz, to wszystko szybko minie, więc...”

- Brett! - krzyknęła Sara, nie mogąc znieść goryczy, z jaką mówił to wszystko. - Brett, proszę cię...

- Prosisz? O co prosisz? Żebym nie budził „panny z lodu”, której śpi się tak słodko? Ale ty już się przebudziłaś, Saro.

Groźny grymas wykrzywił mu usta, patrzył na nią pogardliwym wzrokiem. Nigdy dotąd nie widziała w jego oczach takiej wrogości. Przełękła się go. Nie mogła pojąć, jak to się stało, że ten łagodny, kochający Brett w jednej chwili zamienił się w groźną bestię. Był w stanie zniszczyć wszystko. Zawsze dotąd umiała stawić mu czoło. Ale teraz pochylił się nad nią, chwycił ją mocno za ramiona, widziała kropelki potu na jego skórze, niemal słyszała przyspieszone bicie serca...

- Brett - szepnęła w rozpacz.

Udał, że nie słyszy. A może nie słyszał naprawdę. Bo już za chwilę zgniótł jej wargi swoimi ustami i odebrał oddech. To nie był już pocałunek delikatny i czuły. Całował ją dziko, namiętnie, boleśnie. Chciał sprawić jej ból, bo sam czuł się zraniony. Szarpnął nią, przyciągnął do siebie i odepchnął. Przyciągnął i znów odepchnął.

Czuła ból w sercu, ale nie potrafiła opanować namiętności, która pchała ją ku niemu. Gdy zaczęła odpowiadać na jego brutalne czułości, gdy dotknęła jego bioder, oderwał usta od jej krwawiących warg, odwrócił się od niej i wbił wzrok w sufit

Sara bez słowa wpatrywała się w jego nieruchomy profil.

- No i co? Czy będziesz potrafiła obyć się bez tego, Saro? Chcesz budzić się w środku nocy i płakać z żalu, że nie ma mnie przy tobie?

- Doskonale mogę obejść się bez seksu, Brett - powiedziała chłodno. Wiedziała, że dotknęła go do żywego. Chciał się jej zrewanżować, ale ona miała już tego dość. - Przez dziesięć lat dawałam sobie bez niego radę. To prawda, że z Jasonem nie było mi nigdy tak dobrze jak z tobą. Ale seks naprawdę nie jest tak ważny.

Brett nagle zerwał się z łóżka i odwróciwszy się do niej plecami, zaczął zbierać z podłogi ubranie, które miał na sobie poprzedniego wieczoru. Po chwili stał przed nią w czarnym garniturze. Trochę pogniecionym. Ale i tak wyglądał imponująco.

- Rozumiem - powiedział chłodno, obróciwszy się ku niej. W jego głosie nie było już gniewu, ale każdym słowem kłuł ją jak sztyletem. - Rozumiem. A zatem „panna z lodu” radzi sobie bez seksu, którego nie wolno mylić z miłością. Obywa się bez uczuć, towarzystwa, nie ma zamiaru być namiętną kobietą. Woli piękny i bezpieczny chłód skorupy, w której się zasyła. W porządku, Saro. Jeśli tak jest naprawdę, wstań, ubierz się, odwiozę cię do domu. Obędziemy się jakoś bez śniadania, prawda?

Sara, zaskoczona, patrzyła na niego w milczeniu.

- Powiedziałem: wstawaj - powtórzył chrapliwym głosem. - Skończmy z tym już, bo zrobię coś, czego potem mógłbym żałować.

Nie pytała, o czym myślał. Ale wystarczyło spojrzeć mu w oczy, żeby wiedzieć. Bez słowa odrzuciła kołdrę. Brett siedział na krześle wyściełanym brokatem, nogi wyciągnął przed siebie. Musiała wytrzymać jego wzrok, śledzący każdy jej ruch, gdy wkładała na siebie sukienkę w kolorze miodu. Zamek błyskawiczny zaciął się. Walczyła z nim przez chwilę bez skutku. Wreszcie Brett wstał, podszedł do niej i pomógł go zapiąć. Czubki jego palców przez

sekundę dotknęły pleców Sary. I to starczyło. Przeszedł ją dreszcz. Gdy odwróciła się do niego, uśmiechał się. Ale był to uśmiech złowrogi. Brett nie chciał z nią rozmawiać. Raz tylko zagadnęła go o obłoki szybko płynące po niebie. Ale on milczał. Więcej nie próbowała. Pogrążyła się w myślach, ale prawdę mówiąc w głowie miała pustkę. Słyszała wciąż echo melodii, którą ktoś wygrywał na saksofonie. Melodii zwiastującej koniec, no właśnie, czego? Nadziei? Życia? Szansy na szczęście?

Między Brettem a nią mogło przecież wszystko pozostać bez zmian. Być może niesłusznie obawiała się przyszłości otwierającej się przed nimi. Być może pośpieszyła się z tą decyzją. Nie. Skądże. Przez dziesięć lat goiła rany, trzymała się na uboczu. I wyszło jej to na dobre. Była z siebie zadowolona. A teraz wszystko popsuła. Pozwoliła Brettowi skruszyć mur, który wzniosła wokół siebie. Dlatego czuła się tak zakłopotana i nieszczęśliwa, to nieprawda, że dbała tylko o swój spokój. Za przewodnika miała zdrowy rozsądek.

Brett odprowadzał ją do furtki, szedł zasepiony i zadumany. Czuła się tak, jakby obok niej stąpał jakiś czarny anioł. Nie mogła wydusić z siebie jednego słowa. Gdy zaczęła grzebać w torebce w poszukiwaniu kluczy, Brett postawił jej walizkę na ziemi i przytrzymał ją wpół.

- Do widzenia, Saro - powiedział, wpatrując się w jej ciemne oczy.
- Przez chwilę było nam ze sobą miło, prawda? Będę o tym pamiętał.

W jego głosie nie było ani śladu gniewu. Gdy podniosła wzrok i spojrzała na niego, przeraziła się. Był zmieniony na twarzy, jakby się postarzał. Patrzył na nią uporczywie. Nie wiedziała, co wyrażały jego oczy: wzgardę czy udrękę.

Nie mogła wytrzymać tego spojrzenia. Opuściła powieki, torebka upadła na ziemię.

- Do widzenia, Brett - szepnęła. Nie była w stanie głosem wyrazić tego, co czuje. - Przykro mi.

Krótki, chrapliwy dźwięk wydobył się z gardła Brett. Przygarnął ją do siebie po raz ostatni i pocałował. Długo nie odrywał ust od jej warg. Wreszcie puścił ją, odwrócił się i odszedł, nie oglądając się za

siebie.

Po chwili usłyszała, że zatrzymał samochód przed garażem. Drzwi zamknęły się. W świetle Sary zapadła wielka cisza. Po pewnym czasie przerwały ją krople deszczu bębniące o dach i mewą, krzycząca daleko nad oceanem.

- Jak myślisz, Saro? Trwa to chyba już wystarczająco długo. Może już czas z tym skończyć?

Angela rzuciła kilka książek na biurko Sary i poprawiła różowe okulary na nosie.

- Z czym? - spytała, myśląc o czymś innym.

- Z tą ponurą miną, z tym przygryzaniem warg i z tym wisielczym nastrojem. Odstraszasz mi klientów.

- Wcale nie - odrzekła Sara bezbarwnym głosem. - Od dwóch tygodni z żadnym nie rozmawiałam.

- Zgadza się. Bo przejęłam część twoich spraw. I teraz najpierw przychodzą do mnie. Nie powinnam była tego robić. Poza tym, Saro, są jakieś granice.

- Przepraszam - odrzekła Sara cicho.

Angela miała słuszną rację. Dwa tygodnie temu zerwała z Brettem i odtąd chodziła nadęta i zła na cały świat. Dobrze jeszcze pamiętała, jak zapewniała go, że będą szczęśliwi żyjąc osobno. Nie wiedziała, co czuje on - nie widziała się z nim ani razu - ale ona z pewnością nie czuła się szczęśliwa. Gorzej, nigdy dotąd nie była aż tak bardzo nieszczęśliwa. Nawet wtedy, gdy porzucił ją Jason. Chodziła do pracy, jadała kolację z rodzicami, próbowała wykończyć ciągle nie skończony model, próbowała też czytać, ale nigdy nie udało się jej wyjść poza pierwszy akapit. Jej życie nie zmieniło się na jotę. To ona się zmieniła. Spokój był teraz dla niej równie nieuchwytny, jak własny cień. Kiedyś, zanim spotkała Brettta, miała go w sobie pod dostatkiem. Teraz, jeśli nawet pojawiał się, znikał natychmiast, jak śnieg w lipcu.

Clara załamywała ręce, że córka, zazwyczaj tak pogodna, pogrążyła się w depresji. Angela nie załamywała rąk, ale bacznie obserwowała Sarę i stanowczo doradzała jej, by przyjęła

oświadczyły Bretta.

- Ale ja nie mogę - wzbraniała się Sara.

- Wymień chociaż jeden rozsądny powód.

- No bo... no bo nie wiem, czy on nadal chce się ze mną ożenić.

- Nie bądź śmieszna. Jesteś osobą zbyt inteligentną, by dać się omotać mężczyźnie, który bez przerwy zmienia zdanie i sam dobrze nie wie, czego chce.

Owszem, pomyślała Sara. Brett też coś o tym mówił. Prosił ją o zaufanie. Twierdził, że on najlepiej zna swoje myśli i pragnienia. Wiele razy chciała do niego zatelefonować. Marzyła o tym, żeby się z nim spotkać. Być z nim. Ale gdyby podniosła słuchawkę i wykręciła numer, wszystko zaczęłoby się od początku.

- Nie mogę wyjść za niego, Angelo - powiedziała cicho. - Nic z tego nie będzie.

- Dlaczego? Oboje jesteście młodzi, finansowo niezależni, oboje lubicie dzieci...

- Tak i okropnie tęsknię za Tonym. Ale Brett już raz był żonaty i źle to się dla niego skończyło. Dlaczego więc ze mną miałyby być szczęśliwy? I ja teżomalże nie wyszłam za mąż. I wszystko zakończyło się katastrofą.

- Hmm - Angela wydeła wargi. Długo i uważnie przyglądała się Sarze. - W porządku - powiedziała w końcu. - Więc nie wychodź za niego. Ale ponieważ brak męskiego towarzystwa wpływa zdecydowanie ujemnie zarówno na twoją cerę, jak i na samopoczucie, więc doradzałabym ci gorąco, żebyś znów zaczęła się z nim spotykać. Albo rozejrzała się za kimś innym. Za kimś, kto może nie chciałby z miejsca żenić się z tobą, ale sprawiłby, że na chwilę przestałabyś myśleć o Bretcie Jacksonie.

- Nikt nie jest w stanie tego zrobić - powiedziała Sara szczerze.

Ta odpowiedź zdumiała Angelę.

- Jesteś głupia, Saro Malone! - krzyknęła, patrząc na przyjaciółkę z rosnącą irytacją. - Ale trudno, jeśli nie chcesz porozumieć się z Brettem, myślę, że najlepiej zrobię, jeśli umówię cię z Johnem Marlowe'em. To mój stary przyjaciel. Bardzo odczuł rozpad swego

małżeństwa, więc nie interesują go stałe związki. Przynajmniej to was łączy.

- Angelo, dlaczego uparłaś się, żeby mi kogoś znaleźć? - Sara zrobiła naburmuszoną minę. - Przedtem nie troszczyłaś się o mnie w ten sposób. O co ci chodzi?

- Chcę ci otworzyć oczy. - Angela zaśmiała się. - Jeżeli będziesz mieć skalę porównawczą, zdasz sobie sprawę, co i kogo tracisz.

- Boże, czy ten John Marlowe jest aż tak okropny? - spytała Sara, uśmiechając się po raz pierwszy od dwóch tygodni.

- Nie, on jest bardzo miły. Ale to nie to, co Brett.

- Uhm. Rozumiem. Chyba mnie jednak z nim nie umawiaj.

- Postępuj, jak chcesz. - Angela wzruszyła ramionami. - Ale musisz coś zrobić ze swoją twarzą. Moja sekretarka nie może wyglądać bez przerwy jak kawałek przedwczorajszego befsztyka.

Tym razem Sara wybuchnęła gromkim śmiechem. Dobry humor nie opuszczał jej przez cały wieczór. Dopiero jednak wtedy, gdy wkładała brudne naczynia do zmywarki, przyszło jej do głowy coś, na co powinna była wpaść o wiele wcześniej. Czuła się lepiej dzięki Angeli, która uzmysłowiła jej całą prawdę. Rzeczywiście, odkąd zerwała z Brettem, wyglądała jak przedwczorajszy befsztyk, nic dodać, nic ująć. Bliscy martwili się o nią nie na żarty. Wystawiła ich na ciężką próbę. Zupełnie niepotrzebnie.

Brett miał całkowitą rację. Dała mu kosza, aby utrzymać swój święty spokój. Przyzwyczała się do cieniutkiej warstwy lodu, jaka dzieliła ją od świata i, jak to kiedyś powiedział Brett, od prawdziwego życia. Czy tylko jej zależało na tym, by miłość trwała jak najdłużej? Brett, poślubiając Mirandę, był bardzo młody. Teraz można było już na nim polegać. Sam przecież mówił, że dobrze wie, czego chce.

Postąpiła jak tchórzliwa idiotka, a nie jak dojrzała kobieta, za jaką się uważała. Wszystko sprowadza się do tego, czy można zaufać komuś obcemu. Przez wiele lat nie ufała żadnemu mężczyźnie. Czy nauczyła się ufać Brettowi?

Rozmyślała o tym, gdy dziesięć minut później Tony zastukał do

drzwi.

- Witaj, Tony! - wykrzyknęła. - Jak się cieszę, że cię widzę.

Piegowata buzia chłopca rozpromieniła się.

- Wiedziałem, że nie będziesz miała nic przeciwko temu! - zakrzyknął z triumfem. - Tata mówił, że nie lubisz, jak ci się przeszkadza. Ale chodziło mu chyba o to, że on sam tego nie lubi. Ostatnio zupełnie nie można z nim wytrzymać.

- Naprawdę? - spytała Sara, wprowadzając malca do kuchni.

- Uhm. Dostał furii, kiedy Fawcett zżarł do połowy wszystkie ręczniki, które wisiały w łazience. A kiedy Sparky zjadła resztki pomidorów, tak się wściekł, że zastanawiałem się, czy nie eksploduje. Jak bomba atomowa! - Wielkie oczy Tony'ego zrobiły się okrągłe jak spodki. - Ale nie eksplodował - dodał już bez entuzjazmu.

- Więc jednak nie eksplodował - rzekła Sara. - Tak myślałam, szczerze mówiąc. Jeśli jednak zwierzęta tak źle się zachowują, trudno mu się dziwić.

- Uhm - odrzekł Tony z namysłem. - Ale to chyba nie tylko chodzi o zwierzęta. Tata powiedział, że szybko można ich wielu rzeczy nauczyć, tak, żeby już więcej nie rozrabiwały. A w każdym razie można by je tego nauczyć, gdybym z nim współ... współ...

- Współpracował? - podpowiedziała Sara.

- Właśnie! - wykrzyknął zachwycony. - Współpracował. Ale nie tylko dlatego tak ciągle zrzędzi. Ciągle coś mu się przypala w kuchni i przeklina. A zna takie atomowe słowa, że...

- Domyślam się - przerwała mu Sara, bo nagle poczuła głód i otworzyła szafkę, żeby zobaczyć, co tam ma. - Ostatnio niewiele gotuję - powiedziała i spojrzała na Tony'ego - ale jakieś ciastka na pewno tu gdzieś mam. Miałbyś ochotę spróbować?

- Tak, bardzo proszę - odrzekł Tony, sadowiąc się na krześle. - A czy mógłbym wziąć dwa? Tata spalił dziś cały makaron.

- Nie można spalić makaronu - upierała się Sara. - Tacie się udało - stwierdził Tony z absolutną pewnością siebie.

Sara znalazła biszkopty w jednej z szafek. Leżały obok mydła, a niech to!

- Proszę - rzekła, niepewnie wręczając Tony'emu pudełko biszkoptów: - Ale skoro nie jadłeś jeszcze kolacji, to może miałbyś ochotę na coś bardziej pożywne?

- Nie lubię tego słowa - przerwał jej Tony. - Zawsze kiedy je słyszę, każą mi jeść jakieś świństwo.

Sara zacisnęła usta i, aby nie dać poznać nic po sobie, zanurkowała w lodówce.

- W każdym razie - zauważyła, zamykając drzwiczki - powinieneś zjeść na kolację jeszcze coś poza ciastkami.

- Zjadłem. Zdrapaliśmy makaron z patelni i pokroiliśmy go na drobne kawałeczki.

- Brzmi to nie najlepiej - mruknęła Sara i wzdrygnęła się na samą myśl o jedzeniu przypalonego makaronu.

- No jasne. To straszne świństwo. Ale przypuszczam, że jutro będzie lepiej. Tata powiedział, że ciocia Elise nam coś jutro ugotuje.

Sara znieruchomiała.

- Ciocia Elise? - powtórzyła takim tonem, że Tony spojrzał na nią podejrzliwie. - Tata dokądś się z nią wybiera, tak?

- Nie wiem - odparł Tony jedząc ciastka. - Chyba nie, bo teraz ciągle siedzi w domu. Ale bez przerwy rozmawia z nią przez telefon. Wygląda na to, że się kłóca, ale tata zawsze najpierw kłóci się z paniami, a potem...

- Tak, wiem - wtrąciła Sara. - Potem całuje się z nimi.

- Noo - potwierdził Tony z dezaprobatą. - Najczęściej w kuchni.

Sara wyprostowała się i spróbowała wziąć się w garść. Dlaczegoż by Brett nie miał spotykać się z Elise? Z Sarą nie wiązało go już nic. A Elise najwyraźniej potrafiła dobrze gotować. Sara usiłowała sama siebie przekonać, że będzie najrozsądniej, jeśli właśnie tak potraktuje wiadomość o ich spotkaniu.

Nagle poczuła, jakby stanęło jej coś w gardle. Oddychała ciężko. Obawiała się, że zaraz pęknie i rozleci się na kawałeczki.

Tony patrzył na nią lekko zdziwiony. Szybko opanowała się i uprzytomniła sobie, że nieświadomie przetrzymuje u siebie syna Brett.

- Tata wie, że jesteś tutaj? - spytała z poczuciem, że cała ta scena zdarzyła się już kiedyś.

- Tak jakby - odrzekł Tony, zabierając się już do ostatniego ciastka.

- Zapytałem, czy mogę pójść do ciebie. A on na to, że na pewno nie masz ochoty mnie widzieć. Na co ja, że na pewno masz ochotę mnie widzieć. No to on wzruszył ramionami i tak kopnął z całej siły mały stolik w pokoju na dole, że stłukł sobie palec u nogi. A potem to już tylko mówił do siebie takie różne słowa. Wiec chyba nie miał nic przeciwko temu, że wyszedłem z domu.

Tak, pomyślała Sara i przymknęła oczy. Najprawdopodobniej Brett nie miał nic przeciwko temu. Wiedział, że syn jest w dobrych rękach i że teraz będzie mógł spokojnie opatrzeć sobie palec. Nie wyglądało na to, żeby był szczęśliwszy od niej.

Ale... miał przynajmniej Elise.

Jeszcze przed chwilą Sara czuła w sobie przypływ optymizmu. Teraz powoli zalewała ją fala czarnej rozpacz. Nie wykorzystała szansy. I nawet jeśli Brett spotyka się z Elise z powodów czysto praktycznych, nie traci czasu. Niewykluczone, że nadal żałuje rozstania z Sarą. Inny mężczyzna, po rozstaniu z ukochaną kobietą, odczekałby chociaż kilka miesięcy, a Brett już po dwóch tygodniach szukał kontaktu z dawną przyjaciółką. Nie zwlekał z poszukiwaniem sobie, jak mówiła Angela, „kogoś w zamian”.

Tony, marszcząc brwi, walił nogą w oparcie krzesła.

- Dlaczego już do nas nie zaglądasz, Saro? - spytał wprost. - Lubiłem, kiedy do nas zachodziłaś.

- Ja też lubiłam do was przychodzić - odrzekła Sara stłumionym głosem.

- Oho - powiedział Tony kiwając głową. - Rozumiem, pokłóciliście się z tatą. Tylko że nie skończyło się to...

- Tak, coś w tym rodzaju - odrzekła szybko Sara.

- Ale my możemy być nadal przyjaciółmi, Tony. Twój tata nie będzie miał na pewno nic przeciwko temu, jeśli odwiedzisz mnie od czasu do czasu.

- Okay! - krzyknął Tony, odsuwając krzesło i skacząc do góry z

radości. - To genialnie! Jak tata znów spali kolację, to na pewno wpadnę. Ciastka były świetne, takie pachnące!

- Cieszę się - uśmiechnęła się Sara. - Ale teraz już lepiej wracaj do domu.

- Noo - zgodził się z nią Tony. - Muszę jeszcze wypuścić z klatki Fawcetta, zanim pójdzie spać. Zwykle bawi się w łazience. To tam zżarł te ręczniki.

- Tak, tak, rozumiem - mruknęła pod nosem. - Miło, że zajrzałeś, Tony. Wpadaj częściej.

- Będę zaglądał! - krzyknął, biegnąc już do domu.

- Przyjdę niedługo!

Obserwowała go, aż dopadł swoich drzwi. Potem poszła do sypialni i rzuciła się w ubraniu na świeżo pościelone łóżko.

Sara siedziała przy oknie i patrzyła na śnieg, który cienką warstwą przykrył kępki trawy za domem. Za chwilę powinna być ubrana i gotowa do wyjścia. John Marlowe miał przyjść za pół godziny, żeby zabrać ją na ślizgawkę.

Już prawie trzy miesiące minęły od pamiętnego weekendu, który spędziła z Brettem. To wtedy nauczyła się go kochać... i wtedy zaraz też utraciła go. Wszystko w ciągu dwóch fantastycznych dni, które wydawały się snem. Wspomnienia tych dwóch dni nawiedzały ją często. Tysiące już razy zastanawiała się, czy podjęła wtedy słuszną decyzję. Czasem, gdy od strony domu

Bretta dolatywały wspaniałe zapachy i był to znak, że gości tam właśnie Elise, myślała, że postąpiła słusznie. Innym razem, a zdarzało się to najczęściej w nocy, gdy leżąc w łóżku z otwartymi oczyma wpatrywała się w mrok, symbolizujący jej życie, dochodziła do wniosku, że jest największą idiotką, jaką kiedykolwiek widział świat.

Nie wiedziała ciągle, jakiego rodzaju więzy łączyły teraz Bretta z Elise. Tony zaglądał do niej zwykle raz w tygodniu. Opowiadał, że tata i ciocia Elise siedzą najczęściej przed kominkiem i wieczorami czytają książki i gazety. Tony mówił też, że Elise ciągle namawia Bretta, żeby przestał już wreszcie mieć minę Drakuli i zajął się czymś

poważnym. „Chociaż on wcale nie wygląda jak Drakula - zapewniał Tony - po prostu jest smutny”.

W nocy, po wizycie Tony'ego, Sara zwykle zastanawiała się, czy nie przełamać swoich oporów i pójść do Bretta. Ale w końcu zwyciężała w niej zawsze ostrożność. Nie potrafiła uwolnić się od dziesięciu lat samotności. Rozmyślała nad przeprowadzką do innego miasta. Wszystko jedno dokąd. Byle gdzie. I wiedziała, że kiedy przyjdzie czas, zrobi to.

Brett nie zabraniał Tony'emu przychodzić do niej. Sam nigdy się jednak nie zjawił. Sara nie widziała go od października i sądziła, że unika spotkania z nią. Sąsiad, kiedyś hałasujący ponad miarę, teraz ukrywał się i nie dawał znaku życia. Nie zachęcało' jej to do zrobienia pierwszego kroku, przeciwnie, odbierało resztki otuchy, pomyślała odchodząc od okna, by przygotować się na przyjęcie Johna. Wyobrażała sobie Elise, Tony'ego i Bretta, siedzących razem przy kominku.

Dopiero przed świętami Bożego Narodzenia uległa wreszcie namowom Angeli i umówiła się z Johnem Marlowe'em. Matka też namawiała ją na to. Kilka miesięcy wcześniej nie zgodziłaby się pod żadnym pozorem, ale od tego czasu bardzo się zmieniła. Poza tym miała już dość zarzutów, że prowadzi samotny tryb życia i stroni od towarzystwa.

- Dzięki Bogu - westchnęła Angela, gdy Sara poddała się w końcu. - Ta mina, z którą obnosisz się tak długo, nie popsuje nam przynajmniej dobrego nastroju w święta.

Kilka razy poszła z Johnem do kina, a raz na ślizgawkę. Potem nadeszły święta i szybko się skończyły. Posepną minę starała się od czasu do czasu zastąpić uśmiechem, by nie psuć dobrego nastroju rodzinie i znajomym. Jedynym jasnym momentem w czasie świąt była rozradowana twarzyczka Tony'ego na widok groźnego robota, który podarowała mu na gwiazdkę. Dzięki temu Wigilia przez kilka minut nabrała dla Sary dawno zapomnianego uroku. Ciągle jeszcze miała przed oczami rozpromienioną buzię chłopca, to było jej najmiłsze wspomnienie świąt Bożego Narodzenia.

Wciągnęła przez głowę brązowy sweter. Spojrzała na zegarek. Był pogodny niedzielny ranek. Dochodziła dziesiąta. Niedługo miał przyjść John. Był zawsze punktualny. Odpoczywała w jego towarzystwie. Oboje szybko zgodzili się, że dobrze mieć kogoś, z kim czasem można pójść na spacer lub do kina. Choćby dlatego, żeby nie dać sobie wejść na głowę natrętnym znajomym i rodzinie. Ta umowa, zawarta w głębokiej konspiracji, bardzo ich do siebie zbliżyła. Ich związek był całkowicie platoniczny. Z czasem stawali się coraz lepszymi przyjaciółmi.

Matka nie cieszyłaby się tak, gdyby wiedziała, że nie ma między nimi nic oprócz przyjaźni, pomyślała Sara, kiedy samochód Johna zatrzymał się przy furtce. An-geli to nie obchodziło. Dla niej było ważne tylko samopoczucie Sary. I to, żeby w pracy nie nachodziły jej czarne myśli. I Sara starała się być pogodna.

- Brrr - wstrząsnął się John pół godziny później, gdy wysiadali z samochodu nie opodal zamrożonego stawu za miastem, który o tej porze roku służył za ślizgawkę. - Ale zimno, co?

- Uhm - przytaknęła Sara przypinając łyżwy. - Mroźno, ale przyjemnie. Lubię, kiedy wszędzie leży śnieg, staw jest zamrożony, a słońce przygrzewa. Zawsze zastanawiam się, dlaczego w zimie świeci jaśniej.

-Nie wiem. Chodźmy, zanim zrobi się tłok na lodzie. Jeszcze nie widziałem tu tylu ludzi.

John miał rację. Wyglądało na to, że wszystkim mieszkańcom Caley Cove przyszła do głowy tego ranka jedna myśl. Sara uśmiechnęła się na widok małej dziewczynki w czerwonym kapelusiku, która wpadła na nią i chwyciła się jej, próbując złapać równowagę. Przez chwilę straciła Johna z oczu. Spostrzegła go wreszcie. Stał na brzegu stawu i wpatrywał się w niską blondynkę ubraną na niebiesko. Ona też ani na chwilę nie odrywała od niego wzroku.

- Co się dzieje? - spytała podjechawszy do niego.

- To Deirdre. -. Czują, że John drżał cały. - Deirdre, moja żona. Wróciła.

Sara przyjrzała się lepiej blondynce i zauważyła, że tamta zbladła.

- Idź do niej - powiedziała Sara tonem nie znoszącym sprzeciwu.

- John, ona tęskni za tobą. Jestem tego pewna. Idź już.

John uśmiechnął się do Sary zakłopotany.

- Musiała wiedzieć, że tu będę - szepnął. - Zawsze chodziliśmy razem na łyżwy.

- Idź - powtórzyła Sara.

Zrobił, jak mówiła. I po chwili jeździli już razem. Wysoki mężczyzna i niska blondynka ubrana na niebiesko. Zachwyceni sobą, przytuleni.

Sara przyglądała się im przez chwilę i poczuła, że łyzy napływają jej do oczu.

- Powodzenia, John - szepnęła cicho i dołączyła do tłumu łyżwiarzy.

Jeździła dookoła stawu, obdarowując uśmiechami nie kończącą się procesję znajomych. Po drugiej stronie stawu dostrzegła znajomą piegowatą buzię. Tuż za nią zobaczyła napis: „Uwaga, od tego miejsca cienki lód!”.

- Tony! - zawołała i zamachała do chłopca. Tony uśmiechnął się szeroko na jej widok i ruszył ku niej. Sara uśmiechnęła się również i zaczęła jechać powoli w jego stronę. Gdy był już w zasięgu ręki, nagle skręcił i puścił się pędem na drugą stronę lodowiska.

- Na pewno mnie nie złapiesz, Saro! - krzyknął.

- Złapię cię! - odkrzyknęła i ruszyła za nim w po-ścig. Była tuż za nim, gdy znów kątem oka ujrzała tablicę ostrzegawczą. Tony jechał dokładnie tam, gdzie lód był najcieńszy.

- Tony! - krzyknęła głośno. - Tony, zatrzymaj się! Ale chłopiec tak był pochłonięty jazdą, że nie słyszał

Sary. Na lodowisku panował duży gwar. Nie zauważył znaku. Sara rzuciła się za nim. Widziała, jak cienka warstwa lodu kruszy się i pęka. W chwilę potem lód załamał się. Drobną postać Tony'ego zniknęła jej z oczu. Sara po chwili już tam była. Tony, krztusząc się i prychnając, wyłonił się spod lodowatej taili lodu. Sara też wpadła do wody, ale pod stopami czuła twardy grunt. Dla Tony'ego było tu za

głęboko.

- Och, ty niemądry dzieciaku! - krzyknęła, śmiejąc się i płacząc, gdy udało się jej chwycić go za ramiona i wyciągnąć z wody. - Mogłeś się utopić, ty głuptasie!

Serce szybko biło jej w piersi, ale była szczęśliwa, że ocaliła Tony'ego. Dopiero po pewnym czasie wydostała się z przerębli. Nie czuła jednak chłodu. Ofiar cienkiego lodu było więcej. Nie tylko Sara i Tony wpadli do lodowatej wody.

Kiedy podała Tony'ego stojącemu na brzegu brodatemu mężczyźnie, ujrzała twarz drugiego mężczyzny, który z drugiej strony asekurował chłopca. Po chwili to on właśnie wyciągnął Sarę z wody.

Znała dobrze te ręce i te ramiona. Marzyła o nich już od kilku miesięcy. Teraz, kiedy ją obejmowały, nie były tak gorące i delikatne jak tamtej nocy. Były zimne jak lód i kapiała z nich woda.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Brett - powiedziała Sara półgłosem, chwytając go zziębniętymi na kość rękami. - Brett, nie wiedziałam, że tu byłeś.

- Oczywiście, że byłem - rzekł szorstko. - Jak myślisz, kto przyprowadził tu Tony'ego? Stałem pół metra od niego, gdy krzyknął, żebyś go złapała. Gdybyś spojrzała trochę w bok, zobaczyłabyś mnie.

- Och - rzekła Sara. - Nie widziałam...

- Właśnie. Gdybyś mnie dostrzegła, byłoby ci teraz ciepło i sucho. I nie trzęsłabyś się jak listek w moich ramionach.

Sara, ciągle jeszcze w szoku, przez chwilę pomyślała o tym. Rzeczywiście drżała na całym ciele, ale teraz nie była wcale pewna, czy czułaby się lepiej, gdyby była ciepła i sucha. Najważniejsze, że po długiej rozłące wróciła tam dokąd powinna.

Podniosła twarz, siną z zimna, spojrzała na niego i uśmiechnęła się uszczęśliwiona.

- Nic mi nie jest - szepnęła. - Lód załamał się, trochę się zamoczyłam, ale czuję, że w środku jest mi bardzo ciepło.

Brett zeszywniał. Z nadzieją i niedowierzaniem spojrzał na nią. Napięte rysy twarzy złagodniały.

- Chodź - powiedział cicho - już najwyższy czas, żebyśmy was oboje odwiózł do domu.

Sarę i Tony'ego, owiniętych w suche płaszcze, ofiarowane przez świadków wypadku, wciśnięto do samochodu. Zegnały ich troskliwe i serdeczne pozdrowienia.

- Może podwieźć was gdzieś? - brodaty mężczyzna spytał Bretta. - Pan też wygląda na solidnie przemarzniętego. Da pan radę prowadzić?

- Dziękuję, czuję się dobrze - odrzekł Brett. - To niedaleko. A po drodze mam jeszcze pewną osobistą sprawę do załatwienia.

Mężczyzna spojrzał na obie trzęsące się z zimna postacie i pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Wszystko jasne. - Podniósł rękę tak, jakby chciał zsalutować. - Powodzenia.

- To wam powinien życzyć powodzenia, tobie i Tony'emu - wymamrotał Brett, jadąc z góry na łeb na szyję. - Myślę, że mógłbym was zamordować z zimną krwią, a przynajmniej stłuc na kwaśne jabłko.

- Dlaczego? - spytała Sara. Nie bardzo wiedziała, dlaczego te groźby sprawiają jej przyjemność.

- Bo cholernie mnie nastraszyliście. Przez sekundę myślałem, że straciłem was oboje, jedynych ludzi, na których naprawdę mi zależy.

Sara uśmiechnęła się. Teraz już rozumiała, skąd czuje w sobie tyle radości.

- Musimy porozmawiać, Saro.

Siedzieli u Brett'a w kuchni i popijali gorące kakao. Brett miał na sobie stary szary pulower i dzinsy. Sara włożyła jedną z jego koszul i otuliła się kocem. Tony, który po wypadku prawie nic nie mówił, zgodził się bez sprzeciwu położyć do łóżka.

- Myślisz, że nic mu nie będzie, Brett? - spytała Sara. Nie chciała o niczym rozmawiać, dopóki nie była pewna, że jej mały przyjaciel nie rozchoruje się.

- Wszystko w porządku. Śpi spokojnie. Sparky leży mu w nogach, a Pickles przytulił się do jego piersi. Mówi, że grzeją go w ten sposób.

- I pozwalasz im na to?

- W takich okolicznościach... tak.

- Jasne, że tak - powiedziała Sara półgłosem, grzejąc ręce o filizankę z kakao. - Żądza mordy opuściła cię, prawda?

- To zależy wyłącznie od ciebie.

- Ode mnie?

- Tak. Od tego, czy przestaniesz traktować mnie z dystansem i czy porozmawiamy o przyszłości.

- O jakiej przyszłości?

- O naszej. Zawsze mnie potrafisz rozwścieczyć. - Miał nachmurzoną minę. - Mam coraz większą ochotę zamordować cię.

- Och - powiedziała bez przekonania. Przyjrzała się dokładnie jego

twarzy i zobaczyła na niej to, czego przedtem nie było. Ciemne cienie pod oczami i bruzdy na czole. Nie miała najmniejszych wątpliwości, że cierpiał nie mniej niż ona. Starał się żartować, ale Sara widziała, że drżał w nim każdy mięsień.

Patrzyła na niego. Długo nie odpowiadała na pytanie, które wisiało w powietrzu.

- Masz oczywiście rację. Musimy porozmawiać o naszej przyszłości.

Wbił wzrok w stół, ale na dźwięk tych słów podniósł głowę.

- A mamy jakąś przyszłość?

- Och, Brett. - Głos jej się załamał. Oczy zaszyły łzami. - Och, Brett, mam nadzieję, że tak. Bo jeśli nie, to chyba już dłużej tego nie zniosę.

Nie widziała twarzy Bretta. Płakała. Usłyszała okrzyk triumfu, który zarazem brzmiał jak obietnica. Przytulił ją do siebie z siłą młodego niedźwiedzia. Nie myślała już o tym, że może ją zgruchotać. Myślała o miłości do mężczyzny, który stał się dla niej najważniejszy na świecie.

Koc zsunął się z niej i spadł na podłogę.

- Od kiedy to wiesz?

- Zrozumiałam to wtedy, gdy lód się załamał - odrzekła Sara. - Wpadłam do wody, Tony był uratowany i nagle poczułam chłód, a potem ty się tam znalazłeś, podałeś mi rękę i znów zrobiło się ciepło. Zawsze chciałeś mi podać rękę, zawsze chciałeś mnie ogrzać. To tylko ja byłam tak głupio uparta i ślepa. Nie chciałam tego dostrzec.

- A więc moja „panna z lodu” stopniała wreszcie - powiedział cicho Brett. - Zobaczyłem to w twoich oczach, kiedy staliśmy na brzegu.

Zapalił zapałkę. Małe ogniki tańczyły po ścianie.

- Tak - przyznała Sara, opadając na kanapę i naciągając koszulę na kolana. - Och, Brett, jaka ja byłam głupia.

- To dla mnie nic nowego, moja ty Królowo Śniegu. Podszedł i ukucnął przy niej.

- Jeżeli czułaś się tak nieszczęśliwa jak ja... a sądzę, że tak było... dlaczego nie przyszłaś do mnie?

- Wybierałam się. Ciągłe o tym myślałam. Ale Tony mówił, że widujesz się z Elise. A tego ostatniego ranka, kiedy powiedziałam, że za ciebie nie wyjdę, byłeś taki zimny i okrutny. Pomyślałam, że nie chcesz mnie już nigdy więcej widzieć. Nie pierwszy raz mężczyzna prosił mnie o rękę, a właściwie wcale nie chciał...

Brett zaklął tak siarczyście, że aż wzdrygnęła się.

- Pytałeś, więc odpowiedziałam - usprawiedliwiła się Sara i odsunęła od niego.

- Tak, wiem. A teraz posłuchaj, Saro. - Chwycił ją za łokcie i odwrócił ku sobie. - Mówię ci to po raz ostatni. Elise to tylko przyjaciel. Na tyle dobry, że czasem martwi się o mnie, jeśli oczywiście akurat się na mnie nie wścieka. Rozumiała, przez co przeszedłem. Sama niedawno utraciła ukochanego mężczyznę. Inni moi znajomi mają udane małżeństwa i nie zrozumieliby mnie. Jeśli chcesz wiedzieć, Elise przez trzy miesiące namawiała mnie, żebym porzucił męską dumę i spróbował przemówić ci do rozsądku. Kłóciliśmy się o to bez przerwy.

- Ach, więc Tony to miał na myśli... - zaczęła Sara.

- Nie przerywaj! - krzyknął Brett. - Jeszcze nie skończyłem. Musimy jeszcze przez chwilę pogadać o panu Jasonie. Przysięgam ci, moja złota, jeżeli jeszcze raz porównasz mnie do tego drania, obawiam się, że nawet nie zdążysz tego pożałować. Rozumiemy się? Nie jestem i nigdy nie byłem Jasonem.

Patrzyła na jego srogą, ale kochaną twarz. Wiedziała, że ma rację. Uśmiechnęła się niepewnie.

- Rozumiemy się - zapewniła.

- To dobrze. A teraz przechodzę do punktu trzeciego.

Rysy twarzy Bretta rozluźniły się. Tak jakby przestały nim już miotać sprzeczne emocje. Puścił ją i zapatrzył się w kominek.

- Jakiego punktu trzeciego? - spytała zaciekawiona Sara.

- Chodzi o moje zachowanie ostatniego dnia, zanim rozstaliśmy się... że byłem... jak ty to nazwałaś? Okrutny i zimny? Wiedziałem, że twoje poczucie własnej wartości, twoja wiara w sens życia zostały zachwiane przez Jasona. Powinienem więc zachować się delikatnie.

Dać ci czas na odpowiedź, a nie wymuszać jej na tobie. Gzy możesz mi to wybaczyć?

Sara z uśmiechem spojrzała w oczy, które patrzyły na nią z taką łagodnością i żalem, że o mało nie pękło jej serce.

- Oczywiście, Brett - odrzekła cicho. - Jeśli ty mi przebaczysz, że byłam tak niewiarygodnie ślepa.

- Nie ma czego wybaczać - odburknął. - W każdym razie byłaś grzeczna. A ja zachowałem się jak najgorszy łobuz. Mimo że wiedziałem, jak wiele robisz, żeby wydostać się ze swojej skorupy. Powinno się mnie utopić i poćwiartować. Ale...

Zawahał się. Sara wiedziała, że cokolwiek chciał powiedzieć, będzie to dla niego bardzo trudne.

- Nie mogłaś o tym wiedzieć, to jasne. Ale tamtego ranka dotknęłaś mojego najczulszego miejsca. Kiedy mi odmówiłaś, poczułem się zupełnie rozbity i powiedziałem mnóstwo okropnych rzeczy. Wiem. Ale kiedy pocałowałem cię, a ty stwierdziłaś, że seks nie jest ci do niczego potrzebny...

- To nie była prawda - wtrąciła Sara. - Oczywiście, że nie. Ale Miranda też to mówiła.

I w jej wypadku była to prawda. Od tego się zaczęły jej wyprawy do barów. Szukała nowych wrażeń. Podniecenia, którego ja nie byłem w stanie jej dać. Choć starałem się bardzo. - Usta mu drżały, mówił tak ponurym głosem, jak wtedy, kiedy powiedział jej po raz ostatni: do widzenia. - To dlatego moja głupia męska duma kazała mi odegrać się na tobie. To dlatego za żadne skarby świata nie chciałem jeszcze raz prosić cię o rękę. Nikt nie był w stanie zmusić mnie do tego.

- Nie rozumiem. - Sara zmarszczyła czoło.

-No jasne. Nie możesz tego zrozumieć. Bo na szczęście nie jesteś taka, jaką udawałaś.

- Ale dlaczego Miranda za ciebie wyszła, skoro...? -Nie miała wyboru. Była bardzo młoda i była w ciąży. Jej rodzice nie wyobrażali sobie innego rozwiązania.

- Brett. - Sara spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami i

położyła mu rękę na ramieniu. - Ale czy ty chciałeś się z nią ożenić?

- Prawdę mówiąc, chciałem. Byłem w niej zakochany. Od chwili, kiedy poznaliśmy się w Grade Ten. Zabawne, ale tylko raz kochaliśmy się przed ślubem. Już wtedy odkryła, że niewiele to dla niej znaczy. Za pierwszym razem to normalne, pomyślałem. Nie byłem specjalistą w tej dziedzinie. Ale zaszła w ciążę. A potem już nigdy nie chciała mi dać do tego okazji. Odrzucała w ogóle możliwość...

- To znaczy, że nigdy...

Oparł się łokciami o kolana i twarz ukrył w dłoniach.

- No, nie, robiliśmy to z początku - powiedział cicho. - Kiedy Tony przyszedł na świat. Nienawidziła tego. A potem nie chciała już w ogóle mieć ze mną do czynienia. Przypuszczałem, że wcześniej czy później musimy się rozwieść. Doszedłem do wniosku, że nie jest zdolna do miłości. To było nieszczęście dla nas obojga. Był jednak jeszcze Tony. - Przesunął ręką po włosach, nie patrząc na Sarę. - Kiedyś, a było to już pod koniec naszego małżeństwa, upiłem się okropnie. To wtedy połamałem krzesło i zacząłem ciskać filiżankami po kuchni.

- I Tony przyłapał cię na tym.

- Uhm. Myślał, że to wspaniała zabawa. Miranda była innego zdania.

- Mogę to sobie wyobrazić. Brett? - Podniósł głowę i spojrzał na nią. - Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym? Wtedy rozumiałabym, dlaczego wpadasz w złość za każdym razem, kiedy tylko udawałam „pannę z lodu”.

Potrząsnął głową.

- Nie mogłem. Miałaś dość kłopotów z rozwiązywaniem własnych problemów. Nie chciałem cię wciągać w moje.

- Tak, rzeczywiście, rozumiem. - Wpatrzyła się w filiżankę kakao. - Pomyśl tylko, gdybyśmy oboje nie wybrali się dziś na ślizgawkę, nigdy nie dowiedzielibyśmy się...

- Myślę, że w końcu dowiedzielibyśmy się. Prawdę mówiąc, domyślałem się, że wybierasz się dziś na ślizgawkę. Spotkałem Johna

Marlowe'a. Wiedziałem, że bardzo lubi jeździć na łyżwach.

Wiedziałem też, że się widujecie...

- Och, ale to nie było nic poważnego - przerwała Sara.

- Wiem. - Uśmiechnął się chytrze, ponura mina zniknęła. - Nasze spotkanie nie było zupełnie przypadkowe.

- Cóż. Z tych wszystkich kombinacji... - Sara urwała nagle. Sama przecież doskonale wiedziała, że Tony też uwielbia jeździć na łyżwach. Odchrząknęła i spojrzała na Bretta z figlarną miną.

- Powiedz - spytała łagodnie - gdybym też nie chciała kochać się z tobą, czy zacząłbyś łamać krzesła i rzucać filiżankami o ściany?

Przestał robić nieśmiałą minę, rozluźnił się.

- Niewykluczone - odpowiedział, uśmiechając się. - Zwłaszcza że nie podobają mi się twoje krzesła. Nasze meble tak się od siebie różnią, że będziemy musieli coś z nimi zrobić. Po ślubie. Ale dopilnuję tego, żebyś nie odmówiła mi teraz.

Sara uśmiechnęła się tak delikatnie i uwodzicielsko, że serce Bretta zaczęło bić mocniej i szybciej. Odetchnął głęboko, położył Sarę na kanapie i zrobił tak, jak powiedział. Dotrzymał obietnicy.

Cztery dni później Sara, ubrana w czerwony kostium z czarnymi dodatkami, wróciła do domu, nucąc cicho.

George Malone był zachwycony, Clara szalała z radości. Zwłaszcza kiedy Brett powiedział jej, że zaraz po ślubie Sara przenosi się do niego, a jej meble sprzedadzą.

- Ten mężczyzna ma dobry gust - oświadczyła Clara z zachwytem w głosie.

Sara nie była pewna, czy zniszczona kanapa i dziwacznie obite krzesła Bretta zasługują aż na takie pochwały, ale postanowiła nie sprzeczać się z matką.

Angela też cieszyła się z powodu ślubu Bretta i Sary. Zdaniem Sary, była nie tylko zachwycona, ale też zadowolona z siebie. Słowa: „mówiłam ci przecież” miała wprost wypisane na twarzy.

Ale Sara najbardziej była ciekawa, jak zareaguje Tony. Otworzyła frontowe drzwi i, ciągle cicho podśpiewując, weszła do kuchni. Tony nie tylko nie rozchorował się po niespodziewanej zimnej kąpieli, ale

już kilka godzin po tym, jak poszedł do siebie na górę i zasnął, zszedł z powrotem na dół. Sara i ojciec zajęci byli właśnie przygotowywaniem kolacji. Wystarczyło, że spojrzał na nich tylko raz i wiedział już. wszystko.

- Znowu się z nią całowałeś, prawda, tato?

Brett przyznał się z uśmiechem. Tony stwierdził, że to dobrze i że nie miałyby nic przeciwko temu, gdyby tata jak najszybciej ożenił się z Sarą, bo ona gotuje znacznie lepiej niż ciocia Elise, rzadko używa słowa „pożywny”, a nawet lubi psy i Fawcetta.

Jeśli to wystarczy, żeby być dobrą macochą, to niech tak już będzie, pomyślała. Rzuciła torebkę na blat stołu. Wstawiła wodę i zaczęła szukać herbaty. Nagle usłyszała dziwne kichnięcie. Było ciche i dochodziło z szalki pod zlewozmywakiem.

Podeszła do szafki i ostrożnie schyliła się, żeby otworzyć drzwiczki. Spod sterty czystych ścierek do wycierania naczyń wystawał mały, różowy nos. Para małych ślepek patrzyła na nią smutno.

- Fawcett - rzekła Sara. - Nie, tylko nie to! - Sięgnęła po niego, a on wskoczył jej na rękę.

W tej chwili zdała sobie sprawę, że oprócz niej i Fawcetta w domu jest ktoś trzeci. Ktoś, kto w przeciwieństwie do nich potrafił kłać siarczyście. I właśnie przed chwilą zrobił z tej umiejętności użytek.

Zmarszczyła brwi i podeszła do drzwi.

Nie mogła uwierzyć w to, co zobaczyła. Kilka razy zamknęła i otworzyła oczy. Dwie wielkie męskie stopy w ciężkich butach wystawały spod kanapy. Tym razem buty nie były zabłocone. Poza tym jednak nic się nie zmieniło. Te same brązowe skarpety, te same sztruksowe spodnie...

- Nie, nie wierzę - powiedziała Sara półgłosem. - Brett - dodała trochę głośniej - mówi się, że historia lubi się powtarzać. Ale to nie do wiary.

- Nie zamknęłaś drzwi. - Naburmuszony głos wydostał się spod kanapy. - I ten piekielny włochaty zwierzak znów zrobił to samo.

- Wiem. I wcale nie narzekam. Bardzo zresztą ładnie wyglądasz,

gdy tak leżysz pod kanapą. Ale niepotrzebnie się trudzisz i łykasz kurz. Ja mam Fawcetta.

- Jak to, do diabła?

Brett wygramolił się spod kanapy i po chwili stał już przednią.

- Tak też nie wyglądasz najgorzej - zauważyła. Aby spojrzeć mu w oczy musiała zadrzeć głowę do góry.

- A to dopiero - mruknął pod nosem. - Najpierw zostawiasz drzwi otwarte, choć przecież tyle razy mówiłem ci, żebyś tego nie robiła. Później porywasz fretkę Tony'ego. A wreszcie pozwalasz sobie czynić nieprzyzwoite uwagi na mój temat.

- To nie były wcale nieprzyzwoite uwagi - zaperzyła się Sara. - Mam słabość do tej części twojego ciała. I wcale nie porwałam Fawcetta. Znalazłam go pod zlewozmywakiem.

Brett niespodziewanie zainteresował się jednym z modeli, których tu nie brakowało.

- Aha, rozumiem - rzekła Sara. - To ty go wypuściłeś, prawda? I miałeś czelność mnie oskarżać?

Brett roześmiał się i objął ją.

- Tak, przyznaję. To ja jestem wszystkiemu winien. Tony poszedł do Joego, a Fawcett był taki smutny, że chciałem poprawić mu jakoś nastrój. Zapomniałem, że fretki zawsze mają smutne ślepki, taka już ich uroda. A potem wdały się w to psy...

- I Fawcett skorzystał z okazji i uciekł? Nic dziwnego, bo Tony go terroryzuje. A ty, zdaje się, jesteś jeszcze gorszy.

- Wcale nie - odrzekł Brett, całując czubek jej nosa. - Ale jest faktem, że ciebie Tony nie spuszcza z oka.

Sara zmarszczyła brwi.

- Co przez to rozumiesz?

Brett przytulił ją do siebie jeszcze mocniej i oparł podbródek na jej głowie.

- Przez te wszystkie miesiące, kiedy się do mnie nie odzywałaś, tylko dzięki niemu wiedziałem, co się z tobą dzieje. Bez jego szczegółowych relacji chyba bym zwariował. A tak wiedziałem, że ciągle nosisz te swoje brązowe kostiumy. Mogłem spać w miarę

spokojnie. Bo gdyby mi powiedział, że widział cię w czymś takim jak to, co masz na sobie teraz - pogładził ręką po jej czerwonym nowym kostiumie - pewnie bym przyszedł tu natychmiast. Żeby połamać kości twojemu nowemu mężczyźnie. Bo wiedziałem, że stary, dobry John Marlowe nim nie jest.

- Gdybym wiedziała, że tak zrobisz, kupiłabym go już dawno - roześmiała się Sara.

-Naprawdę? No, to znaczy, że byliśmy głupcami oboje. Prawda, Królowo Śniegu?

- Uhm. - Sara potarła policzkiem o ramię Bretta. - Och, Brett. Tak bardzo cię kocham. Jak mogłam kiedykolwiek pomyśleć, że życie bez ciebie ma sens?

- No tak - odpowiedział głaszcząc jej włosy. - Jeżeli jeszcze kiedyś coś takiego przyjdzie ci do głowy, to wtedy...

- Co zrobisz? - Sara uśmiechnęła się i spojrzała na niego.

Brett popatrzył na nią czule.

- To wtedy cię pocałuję. O tak.

- Jak? - pisnęła Sara, bo coś białego i włochatego poruszyło się między nimi.

Brett westchnął. —O tak - odrzekł.

I jedną ręką przytrzymując Fawcetta, pokazał jej, co miał na myśli.